



NESTOR

Czasopismo Artystyczne

2(20) 2012

Rok VI

www.nestor-krasnystaw.eu

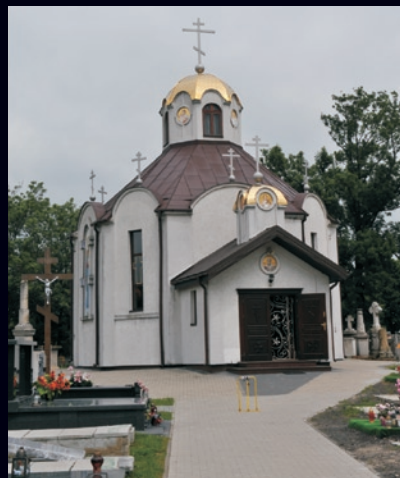
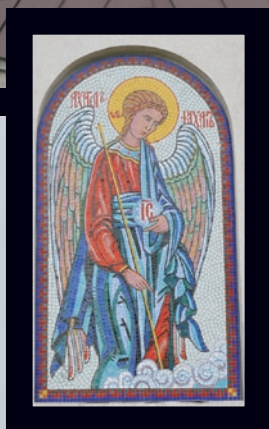
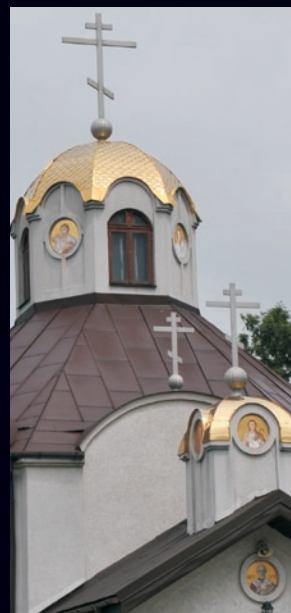
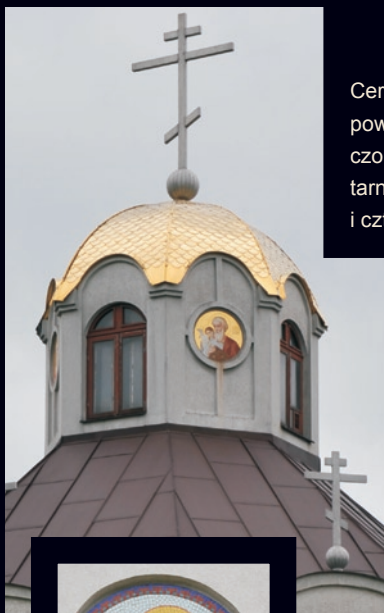
ISSN 1898-1801



fot. Michał Żywot

zabytek z okładki

Cerkiew św. Mikołaja Cudotwórcy w Zamościu powstała w latach 1986-1992 na miejscu zniszczonej w 1938 roku drewnianej kaplicy cmentarnej. Cerkiew posiada jedną główną kopułę i cztery mniejsze.



Spis treści

Słowo redaktora	2
<i>Andrzej David Misiura</i>	
Herbarz Niesieckiego. Nowe wydanie w Lipsku	3
<i>Józef Ignacy Kraszewski</i>	
Kasper Niesiecki i jego dzieło	6
<i>Iwona Monika Dacka-Górzyńska</i>	
Perła w koronie polskiej heraldyki. W 330. rocznicę urodzin Kaspra Niesieckiego	9
<i>Zbigniew Atras</i>	
Uwagi o życiu i twórczości polityka i pisarza Jana Stanisława Jabłonowskiego	16
<i>Katarzyna Sobczyk</i>	
Poezja - Stanisław Bojarczuk	23
Wędrownie trupy teatralne w XIX-wiecznym Krasnymstawie	24
<i>Agnieszka Szykuła-Żygawska</i>	
100 lat z pełną kasą	27
<i>Andrzej David Misiura</i>	
Kolej wąskotorowa Izbica - Żółkiewka	32
<i>Ryszard Maleszyk</i>	
Prasa konspiracyjna obozu narodowego na terenie powiatu krasnostawskiego w latach 1939-1945	34
<i>Artur Borzęcki</i>	
Jan „Stoigniew” Stachniuk - twórca i ideolog neopogańskiej, nacjonalistycznej grupy Zadruga	36
<i>Marcin Podgórski</i>	
Historia pewnego rodu nauczycielskiego. Część II	39
<i>Grażyna Wójcik</i>	
Pochodzę z Chorupnika	46
<i>Wanda Jadwiga Włoch</i>	
Poezja - Wanda Jadwiga Włoch	50
Miejsce z przeszłością - Wielkopole	51
<i>Joanna Antoniak</i>	
Łapanka	53
<i>Lidia Kosk</i>	
Jassy - kulturalna stolica Rumunii	57
<i>Aleksander Śerban</i>	
Poezja - Michał Eminescu	58
Rumuńscy poeci - Bukowina	61
Róża z Katalonii i bibliotekarka pisarką	62
<i>Andrzej David Misiura</i>	
Trener duszy (fragment)	63
<i>Anna Rychter</i>	
Poezja - Zygmunt Marek Miszczak	67
Hubertuski	68
<i>Andrzej David Misiura</i>	
Mądrości życiowe Hubercika	68
<i>A. i H. Znajomscy</i>	
Satyra - Marian Karczmarczyk	69
Żelazniakiem w absolut	70
<i>Mariusz Kargul</i>	

Spis treści

Wybudzanie dinozaurów - 2012	71
<i>Andrzej David Misiura</i>	
Poezja - Stanisław Jachymek	71
Poezja - Dominika Tchórz	73
Solo na wszystkich	74
<i>Kazimierz Bolesław Malinowski</i>	
Dzieje Pawłowa	76
<i>Artur Borzęcki</i>	
Poezja - Andrzej David Misiura	77
Poezja - Mirosław Iwańczyk	78
Rosyjski Sfinks	79
<i>Kazimierz Bolesław Malinowski</i>	
A lato było piękne tego roku	81
<i>Kazimierz Bolesław Malinowski</i>	
O prawdach nieobjawionych Henryka Radeja	82
<i>Piotr Linek</i>	
Mamy takie same półbuty	84
<i>Bożena Fornek</i>	
Poezja - Henryk Radej	85
Zgrzyt (peryferyjnego) noża po (wielkomiejskim) szkle czyli jak śladami Stanisława Bojarczuka obcykać sobie warsztat	87
<i>Aleksandra Nizioł</i>	
Kręgi energii - Mariusz Kargul	89
Poezja - Stanisław Bojarczuk	89
Banany z kopca	90
<i>Mariusz Kargul</i>	
Czas biegnie... ..	91
<i>Lucjan Cimek</i>	
Krasnystaw - Kalifornia	93
<i>Irena Malec-Iwańczyk</i>	
Poezja - Irena Malec-Iwańczyk	97
Poezja - Mateusz Grzeszczuk	98
Wiosenne przedsięwzięcia „Iluzjonu”	99
<i>Ewa Magdziarz</i>	
Poezja - Saturnin Naliwajko	101
W poszukiwaniu teatru	102
<i>Andrzej David Misiura</i>	
Kilka pytań na piątkę. Agnieszka Szykuła-Żygawska do Andrzeja Davida Misiury	104
Mój prawdziwy ojciec	108
<i>Zbigniew Masternak</i>	
Poezja - Paweł Kuszczyński	109
Odważyć się myśleć	110
<i>Zbigniew Cimek</i>	
Chrześcijańskie niebo	112
<i>Wiesław Krajewski</i>	
Sztuka życia... kulturalnego	114
<i>Henryk Radej</i>	



NR 2(20) 2012 NESTOR Czasopismo Artystyczne

Wydawca:

Oficyna Wydawnicza „ELIPSA”
ul. Piłsudskiego 2, 22-300 Krasnystaw, tel. 82 576 60 09,
Konfederacja NESTOR,
www.nestor-krasnystaw.eu, e-mail: david57am@op.pl

Montaż elektroniczny:

Paweł Pilat

Druk:

Wydawnictwo „ROMAR”, ul. Poniatowskiego 20, 22-300 Krasnystaw

Nakład sponsorowany przez:

Starostwo Powiatowe w Krasnymstawie

Redagują:

Andrzej David Misiura (redaktor naczelny)
Tadeusz Andrzej Kiciński (z-ca redaktora naczelnego)
Wiesław Krajewski (sekretarz redakcji)
Paweł Pilat (skład i łamanie)

Stale współpracują:

Zbigniew Atras (Krasnystaw)
Artur Borzęcki (Krasnystaw)
Leszek Janeczek (Krasnystaw)
Mariusz Kargul (Krasnystaw)
Henryk Radej (Chelm)
Kazimierz Stolecki (Puławy)
Elżbieta Szadura-Urbańska (Warszawa)
Agnieszka Szykuła-Żygawska (Zamość)

Redakcja nie zwraca materiałów niewykorzystanych.
Zastrzega sobie prawo wprowadzania zmian i skrótów.
Dziękujemy Autorom, którzy zrezygnowali z honorariów
za swoje publikacje w niniejszym wydaniu.

Słowo redaktora



Za nami 5 lat i 20 wydań, w których blisko 300 autorów wypełniło prawie 1800 stron czytanych na całym świecie. Spora to satysfakcja mieć tylu przyjaciół wśród autorów, czytelników, a jednocześnie i sponsorów. Bo na nic zdałyby się redakcyjne zabiegi, gdyby nie hojność mądrych i uczciwych mecenasów, chociaż i im coraz trudniej dotrzymywać obietnic. Ostatnio w wyczerpującej rozmowie z Agnieszką Szykułą-Żygawską (czytaj str. 104-107) stwierdziłem, że zjawisko „Nestora” powinno być postrzegane w kategoriach cudu, ponieważ od pięciu lat ukazuje się bez własnego budżetu. I trudno powiedzieć jak długo jeszcze będzie istniało, bo koszty są coraz większe...

Trwa Herbarzowy Rok Kaspra Niesieckiego. Od dzisiaj, przez najbliższe wydania będą przybliżane zasługi tego wybitnego krasnostawina, a jesienią odbędzie się konferencja naukowa i szereg aktów upamiętnienia i pochwały dzieła jego życia. Do uroczystych obchodów zachęcam stowarzyszenia, szkoły i instytucje kultury. Liczę, że takim sposobem Krasnystaw zacznie śmiało czerpać ze swojej bogatej historii. Mając za wzór na przykład znacznie mniejszą, ale bardziej aktywną Siennicę Różaną, w której z zazdrością obserwuję jak w budżecie robi się miejsce na Teatr Pokoleń, na kult Mikołaja Reja, Mikołaja Siennickiego, czy też dla Wakacyjnej Akademii Reportażu im. Ryszarda Kapuścińskiego, do której próbuję zawitać każdego roku. Chociaż z drugiej strony, zawsze o tej porze skutecznie przyciąga swoim klimatem Zamojskie Lato Teatralne.

Odwiedził nas rumuński dramatisarz i tłumacz, profesor Aleksander Șerban. Nie mógł być obecny na promocji bieżącego numeru, ale za to odbył interesujące spotkanie w redakcji oraz krasnostawskim II LO im. C. K. Norwida.

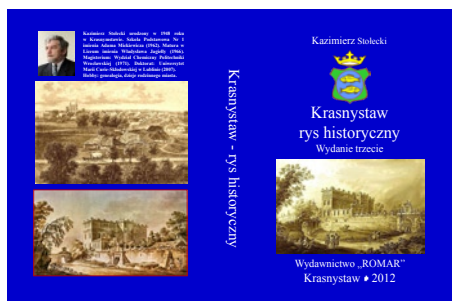
Serdecznie dziękujemy za nadesłane pisma: „Lublin. Kultura i Społeczeństwo”, „Zamojski Kwartalnik Kulturalny”, „Głos Pawłowa” i krasnostawskie „Boże Sieci”, oraz za książki, o których napisaliśmy lub jeszcze napiszemy.

Od kilku miesięcy na rynku wydawniczym można zaobserwować wzmogłą aktywność. Pojawiają się tomiki poetyckie autorów, którzy długie lata ich nie wydawali. Wśród nich są Henryk Ra-

dej i Stanisław Jachymek. To zjawisko pozwoliłem sobie nazwać „wybudzaniem dinozaurów - 2012”. Podobne ożywienie zaznaczyło się wśród regionalistów w obu Rejowcach. W Żółkiewce natomiast, w marcu powstało kolejne pismo „Głos Młodej Żółkiewki”. Izbica pozyskała zarys historii swoich szkół Elżbiety Kmieć. Sam Krasnystaw natomiast, za sprawą Lucjana Cimka i Artura Borzęckiego, otrzymał interesujące opracowanie „Książd kapitan Aleksander Miszczuk 1905-1982. W służbie Bogu i Ojczyźnie”, Henryk Choryngiewicz zadbał o wydanie historii miejscowego Banku Spółdzielczego. Siennica Różana prawdopodobnie jest już w posiadaniu 3. tomu reportaży swojej słynnej „ARRKI” pod redakcją Franciszka Piątkowskiego. Do książek albumowych należy zaliczyć II uzupełnione i poprawione wydanie „Krasnystaw wczoraj, Krasnystaw dziś”, które ukazało się staraniem Stowarzyszenia „Gloria Vitae” pod redakcją Jana H. Cichosza, Władysława Fedorowicza, Leszka Janeczka i Andrzeja Leńczuka. W tej luksusowej pracy zauważony został także „Nestor”, ale na temat tego albumu i innych nowości szerzej napiszemy w następnym numerze.

Listę wieńczy III wydanie książki „Krasnystaw. Rys historyczny” autorstwa Kazimierza Stoleckiego. Pięćsetstronicowa księga imponuje swoją zawartością, a niestrudzony autor wyznaje we wstępie: *...odnowiłem i zawarłem szereg sympatycznych znajomości z ludźmi, którzy napędzają krasnostawską działalność kulturalną, byłem zapraszany w różne miejsca, a nawet otrzymałem Order Nestorii, który szczególnie cenię...* - Panie Kazimierzu, my z kolei cienimy Pańską wielką pasję i oddanie rodzinnej miastu. Z szacunkiem

Andrzej David Misiura



Według pierwszych informacji, książka „Krasnystaw. Rys historyczny” jest do nabycia w Wydawnictwie Romar przy ul. Poniatowskiego 20 w Krasnymstawie oraz w krasnostawskich bibliotekach.

Józef Ignacy Kraszewski

Herbarz Niesieckiego. Nowe wydanie w Lipsku



W chwili, gdy powtórnie herbarz Kaspra Niesieckiego wychodzić w Lipsku zaczyna, zdaje się rzeczą stosowną zastanowić się trochę nad jego układem i wartością historyczną, a zarazem nad sposobem, jakiego nowi wydawcy użyć powinni, aby ten przedruk użytecznym i zajmującym uczynić. Nie mając pod ręką lipskiego wydania, a zasłyszawszy o nim tylko, ograniczę się do kilku słów na temat dzieła użytego do przedruku.

Wartość historyczna herbarzy znacznie wzrosła od czasu jak historię zaczęto inaczej pojmować, i od jej szczegółów, charakterów i odbicia czasów wymagać, słowem odtąd, jak ją poczęto ożywiać i ze szkieletu dat i nazwisk właściwy obraz przeszłości tworzyć. W nich bowiem historia domowa, wewnętrzna i szczegółowa się znajduje. Pod tym względem herbarze użyteczne dzisiaj być mogą bardziej od genealogicznych wywodów, po części bardzo podejrzanych, po części oczywiście fałszywych i bezzasadnych. Pracowity badacz z pojedynczych i rozsypanych rysów zbiera materiały wielkiego obrazu ubiegłych wieków, i tylko domyślać się pozwala, gdy już nic odkryć nie potrafi. Z książek heraldycznych (już nawet niezbyt ściśle historycznych) korzystał wiele Walter Scott, a u nas pierwszy przeczuł ich wartość i użytek autor „Jana z Tęczyna” [J. U. Niemcewicz - przyp. red.]. Lecz nie tylko poetyzującym przeszłość romansopisarzom, ale i historykom wielce mogą być użyteczne, byle były umiejętnie użyte. Pierwszy ojciec (bo nie liczę już Bielskiego, który mimo hałasu herby wspomina) z rzędu pisarzy polskich jest nieoceniony Bartosz Paprocki, bogaty w charakterystyczne drobne opowiadania, którego „Gniazdo” a daleko więcej „Herby rycerstwa” obfitują w mnóstwo szczegółów, omyłek naiwnych, niedokładności, razem i wielce ciekawych, zajmujących rysów. Obok tego z rękopisów pozbierane przywileje, z kościelnych chorągwi i marmurowych nagrobków, raz częstkowo, a raz w całości umieszczone, czynią jego dzieło użytecznym nawet dla poważnych historyków starego kraju. Jest to niejako konieczny dodatek do suchych kro-

nik, w których tylko szkielety wypadków się znajdują. Ta pierwsza próba domowej, wewnętrznej historii kraju, ma wszystkie cechy dzieła oryginalnego, nie sztucznie, lecz spontanicznie stworzonego i wszystkie anachronizmy, fałsze i śmieszności nagradzają ulotne w kilku słowach zamknięte, lecz nieocenione obrazki. Po moralisście Reju, historyk Paprocki najlepiej odmalował wiek XVI w Polsce, chociaż niechęć i sam o tym nie wiedząc; lecz rysy tego obrazu w jego wielkim dziele są rozproszone, i bez wielkiej pracy zebrać się w jedną kształtną całość nie dadzą. Gdybyśmy mieli miejsce na przykłady, łatwo dowieść niedowiarkom, jakie są ukryte skarby w na pozór śmiesznym Bartoszu, którego pamięć i dobroduszość Polacy i Czesi daleko wyżej niż dotąd cenić powinni i obowiązani lepiej nagrodzić, ale nie prześladowaniem, od którego podobno nasz dziejopis z Polski uciekać musiał. Okolski w złacinionym, rozszerzonym, co do ducha mocno zmienionym swoim herbarzu, mało co się dalej posunął jako historyk, a piękności, tak cenne w Bartoszu Paprockim, u niego w większej części znikają. Oprócz nich, nawet suchych genealogicznych wywodów, aczkolwiek trzymając Paprockiego, Okolski wiele opuścił, a krytyki nie okazał prawie żadnej; ślepo się zdając na większą część raz wypracowanych faktów. Bardzo wiele było na niego krzyku za pominięte zacne familie i za krótkie o innych wspomnienia. Niesiecki najgorzej wspomnianym św. Stanisławem Kostką się obruszył. Była nawet podobno mowa w swoim czasie o paleniu „Orbis polonus” o czym Braun upewnia, chłoscząc go ze zwykłą sobie na duchownych zajadłością, lecz krytyka Brauna dawno już pogrzebana spoczywa.

Po Paprockim i Okolskim dopiero wystąpił ze swoją „Koroną” Kasper Niesiecki jezuita. Praca jego daleko jest obszerniejsza, sumienniejsza, regularniejsza od poprzedzających. Trzeba mu przede wszystkim mieć za zasługę, iż się jej ogromem i łatwo przewidzianym sarkaniem nie zrażał. Biorąc za zasadę poprzedzające dzieła Paprockiego i Okolskiego, Niesiecki nie kontentował się cytowanymi przez nich rękopisami; sam wertował różne rękopisy, akta, metryki, zbiory przywilejów itp. Oprócz źródeł znajomych: herbarzy, kronik, wielu panegiryków i dedykacji, stanowiących ważny materiał do tego rodzaju pracy, miał jeszcze przygotowane monografie wielu rodzin jako „Fasti Radiviliara, Chodkiewicziana,

Sapiehani”, Historia Sapiehanae domus Misztolta, jenealogie sztychowane Ogińskich i wielu innych znaczniejszych rodów. Posłużyły mu także zaprowadzone po jezuickich *Collegiach Historiae domus**, z których czerpał fundacje i pobożne epizody, aż po rękopisy Konopatskiego, ks. Rutka, Janczyńskiego (anegdotyczny w sposobie facies rerum ks. Naromowskiego), rękopis Załuskich o familiach pruskich i Herbarz litewski ks. Kojałowicza w rękopisie także, gdyż ledwie drukować zaczęty nieprzyjaźni udusili w zarodku. Z tego ostatniego suche tylko genealogiczne wywody i pochodzenia czerpał Niesiecki, lecz w znacznej mierze z początku nawet (w 1. tomie) był mu rękopis ks. Kojałowicza nieznajomy, a gdy w ciągu pracy do materiałów go włączył, wynikły z tego liczne poprawki, wobec czego nigdzie stanowczo na Niesieckiego zdać się nie można; bo się ciągle sam zbija, odkrywając coraz nowsze źródła, lub w starych lepiej się rozpatrując. Z Paprockiego najbardziej interesujące nas wątki Niesiecki usunął, zachował część bardziej oschłą; lecz trudno w nich szukać tych naiwnych Bartosza dzienników wypraw bojowych, dzienników podróży, powieści, obrazków, nawet przywilejów dawnych, po większej części *per extensum* u Paprockiego wypisanych, wszystko znikło, a na to miejsce, dodane są legendy, żywoty świętych i zakonników Societatis Jesu, ojców, braci, koadiutorów, protektorów, fundatorów itd. szeroko opisane, ozdobione uwagami i służące umocnieniu. Widoczny jest w Niesieckim duch zakonnej konfraterni, podziwiający jezuitów i skłaniający się w stronę ich rodziny, które, jak pisze, „z naszymi” powiązane były węzłem pobożnej fundacji lub braterstwa zakonnego. Stąd jego herbarz, przesycony martyrologiami, trudny jest do czytania. Niesiecki, używając i uznając za zasadny materiał swoich poprzedników, ciągle ich jednak krytykuje, sprawiedliwie bardzo częste fałsze zarzuca i usiłuje jasno rzecz rozpoznać i mgliste podatki herbowe rozjaśnić gruntowniej. Lecz jego krytyka, podpierana licznymi obecnymi dziełami, a mianowicie ojcem Petra Saneta i dziwnym Schentivianim, nigdy nie jest rozumową, zawsze tylko materialną, i nie sięgając prawdopodobieństwa, zamyka się oczywistą zgodnością dat i nazwisk. I to w niej dobre, że przynajmniej widać zastanowienie się sumiennie nad rzeczą, samo przez się. Chociaż przy oczywistej słuszności, Niesiecki bardzo tchórzliwie swo-

je poprawy nanosi. Nawet bajeczno-heraldyczne zwierzęta: gryfy, centaury, smoki itp. dostarczają często materiału do krytycznych ustępów, okazujących tylko wątpliwy stan nauk przyrodniczych. Styl Niesieckiego zupełnie zaniedbany; w cytatach odbija się czasem tłumaczenie dosłowne z łacińskiego lub XVI wieku jędrne, wystawienie. Mimo apeli na końcu każdego tomu o użyczenie nowych wiadomości przez zainteresowane strony, mimo suplementów i popraw dzieła, Niesiecki nie uniknął zarzutów, przed którymi bronił swoich poprzedników, czując że i na niego spaść mogą. Wymawiano mu interesowność niesłusznie, lecz bardzo sprawiedliwie zarzucić mu można zbytnią gorliwość zakonną. Najznacniejszą poprawą jednego herbarza, jest w tym celu umyślnie wydany oschły Duńczewskiego foliał, lecz niemniej jako źródło kompletujące go, potrzebny dla heraldografów.

Nowi wydawcy herbarza Niesieckiego, chcąc go użytecznym i interesującym uczynić powinni: 1) poprawy w ciągu dzieła przez niego samego porobione w miejsca stosowne poodnosić, bez czego żadnej z niego korzyści nie będzie: bo i spisy dygnitarzy, i rodzinne wywody nie są stanowczo skończone i w wielu miejscach poprawione zostały. Oprócz zaś własnych uwag autora, dołączyć wypadało i inne, późniejsze, odkryte z nowymi źródłami. Widziałem jeden egzemplarz Niesieckiego, na którym dość ważne poprawki Naruszewicz z metryk porobił. Te można, mówiąc później o lipskim wydaniu, choć w części zacytować. 2) dostać potrzeba z nowych herbarzy i słowników biograficznych, jak ks. Siarczyńskiego, Ossolińskiego, Sołtykowicza itp. wszystko, co nowego, stanowczego, o sławnych ludziach odkryto. Do tego nie należy pogardzać i zagranicznymi dziełami, które z wielu powodów niedokładne, ale z innych względów, jako że utworzone ze źródeł po części dla nas niedostępnych, mają swoją wartość, także jeśli chodzi o zbiór encyklopedyczny. 3) wyrzucone przywileje z Paprockiego i Okolskiego potrzeba znowu w całości umieścić, inne zaś starać się skompletować, aby w miarę możliwości uniknąć krótkich cytatów, które w dziełach tej natury nie uchodzą. 4) z Paprockiego, wszystko co w nim jest charakterystyczne: podania, dzienniki, opisy, wyrzucone, jako niby powadze dzieła uwłaczające, dosłownie przywrócić. Takimi są np. przedziwny w swoim rodzaju opis podróży Jana Tęczyńskiego

po Hiszpanii; powiastki o Wojciechu Brudzińskim (herby f. 499), o kasztelanie Zborowskim (f. 92, 93), gdzie pisze jak on bił adwokatów na stołach, o Marcinie Brzozowskim (f. 332), o Janie Jordanie, o braciach Winiarskich, o Pawle Prawdziku co za parę ogarów dał dwie wsie pod Łomżą, o czystym Andrzeju Boratyńskim (f. 539) itd., itd. Przywrócić podobnie należy szczegóły dotyczące fundacji pałaców, zamków, kopania stawów, rysy obyczajów i zwyczajów do jakich należy np. owe przy fundacjach wymowy serc bydłych i wnętrzości dla ptaków myśliwych itp. (o tym patrz 5 wspomnień z fundacji Jędrzejowskich, f. 73 w latach 1366, 1370, 1375, 1368 i 1368 raz jeszcze). Znajdą się w Niesieckim niektóre podobne szczegóły, lecz zalane potopem świątobliwych legend, jak o wieży Dorotce, o widzeniu przedśmiertnym Gamrata z Kuroszem, o przyjęciu w senacie przez braci męża Katryny Ślężanki, o weselu księżny Beaty Dolskiej w Dubnie, o dworze książąt Ostrogskich itd. 5) krytycznie poprawić trzeba jak w nim, tak w tych, z których czerpał, dziecinne herbów wywody jakimi są śmieszne np. familii Ogończyków od Oga, króla Scytów, którego zabił Josne, Janinów i Kisków - tak jednak, aby ślad bajek zostawić dla pamiątki, bo i one mają swoją w pewnym rodzaju wartość; do sprostowania pochodzeń użyć należy herbarzy obcych, mianowicie niemieckich. 6) genealogie domów książęcych z krwi panujących, które Niesiecki obiecywał osobno opisać, trzeba całkiem na nowo zebrać, ułożyć i dodać inne domy książęce, mianowicie rusko-litewskie, także książąt Czetwertyńskich, Druckich itd. rozszerzyć, bo o nich bardzo szczupło. 7) prosilibyśmy też za litewskimi familiami, które są dość zaniedbane. 8) i za obcymi które otrzymały indygenaty, a których historie przed ich pojawieniem się w kraju prawie całkiem opuszczono. 9) na koniec samą nomenklaturę heraldyczną niestałą, ukształtować należy i na wzór innych, postanowić pewne znaki, jednymi nazwiskami mienić, aby ciągłych wątpliwości nie było gdzie są klamry lub kotwice, rzeki lub pasy, szachownice lub mury, strzały lub litery, krzyże lub miecze otłuczone itp., aby i helmy, i pola, i barwy ustalić i każdy herb umieścić opisać, co się nie zawsze udaje Niesieckiemu; (zobacz nieopisany herb a *Kreutz* t. II 703).

Na zakończenie starać się dodatkami (oddzielnymi od tekstu, aby natury dzieła i charakteru

nie popsuć) uczynić raczej to dzieło wielkim słownikiem biograficznym, niżeli dziełem wyłącznie heraldycznym.

Oto, co nam się udało podać do rozważy wydawcom, którzy w każdym razie wielką przysługę zrobią nowym wydaniem, lecz zrobiliby nieocenioną, gdyby dodali poprawki i uzupełnienia konieczne potrzebne w dzisiejszym stanie nauk historycznych i literatury.

Józef Ignacy Kraszewski

Omelno, dn. 18 października 1837 roku

* Był to zwyczaj w dawnych klasztorach, w których wyznaczano jednego z mnichów, aby opisywał znaczniejsze wypadki swojego klasztoru, a nawet zakonu i to było początkiem annalium czyli latopisów. W Rosji świadczy o tym latopis najdawniejszy z wieku XII, pod nazwiskiem Nestora, kronikarza Kijowskiego Pieczerskiego, który podobnie do wiary pisał żywoty świętych ojców, na wzór greckich Paternikonów (wyd.- Tyg. P.).

przedruk: J. I. Kraszewski, Krytyka. Herbarz Niesieckiego. Nowe wydanie w Lipsku, „Tygodnik Petersburski”, R. VIII, 1837, nr 89, s. 534-536.

Józef Ignacy Kraszewski (Warszawa 1812-1887 Genewa) - polski pisarz i publicysta w 1837 roku przebywał, a rok później osiedlił się wraz z żoną (na dwa lata) w Omelnie (obecnie Ukraina), jako dzierżawca wsi.



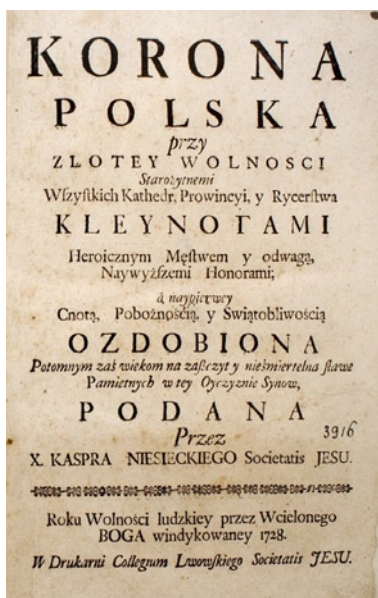
Jastrzębiec - herb Kraszewskich

Iwona M. Dacka-Górzyńska

Kasper Niesiecki i jego dzieło



Kasper Niesiecki (1682-1744) znany jest powszechnie jako autor herbarza pt. *Korona polska przy złotej wolności starożytnemi wszystkich kathedr, prowincyi, y rycerstwa kleynotami, heroicznym męstwem y odwagą, naywyższemi honorami; á naypierwey cnotą, pobożnością y świątobliwością ozdobiona, potomnym zaś wiekom na zaszczyt y nieśmiertelną sławę pamiętnych w tey oyczyźnie synów podana*, wydanego w czterech tomach we Lwowie w latach 1728-1743. Herbarz ten zyskał ogromną popularność dzięki lipskiej, XIX-wiecznej reedycji oraz wydawanym na jej podstawie licznym reprintom.



Druk i układ treści herbarza Niesieckiego

Bronisław Natoński przypuszczał, że zainteresowania heraldyką Niesieckiego wzięły się z poszukiwań conceptów do kazań. Niesiecki nieobarczany nadmiernymi obowiązkami w administracji zakonnej, mógł spokojnie pisać dzieło swego życia. Pracował także nad piątym tomem herbarza, który miał zawierać genealogie królów

polskich, książąt litewskich oraz władców ziem, które kiedykolwiek należały do Rzeczypospolitej. Pracy tej nie ukończył, po jego śmierci dzieło to kontynuował jezuita Stanisław Czapliński. Tom piąty herbarza jednak nigdy nie ukazał się drukiem, a jego rękopis zaginął.

Czterotomowa *Korona polska*, wydrukowana techniką drzeworytniczą w typografii jezuickiej we Lwowie, pod względem estetycznym nie odbiega od poziomu innych XVIII-wiecznych książek. Niestety, z braku materiałów źródłowych, nie udało się ustalić wysokości nakładu (do dzisiaj zachowało się ponad 110 egzemplarzy), autora rycin herbowych oraz innych szczegółów dotyczących druku. Niezwykle cenne są dodatki do herbarza, jak aprobacje władz kościelnych, listy dedykacyjne, *Przestroga* i *Protestacje* autora. Tom drugi i trzeci swego dzieła Niesiecki dedykował kolejno Mariannie z Potockich Tarłowej i Franciszce Urszuli z Wiśniowieckich Radziwiłłowej. Z powodu braku innych źródeł, tylko na podstawie tych dedykacji, obie panie można uznać za mecenaski dzieła. Józef Andrzej Załuski był zdania, że to Marianna z Potockich Tarłowa „wysypała [na druk herbarza] sto kilkadziesiąt tysięcy złotych” i nakłoniła Niesieckiego do wydania dzieła w języku polskim. Jan Daniel Janocki, za sponsorkę druku *Korony polskiej*, uznał Elżbietę z Branickich Tarłową.

Wszystkie cztery tomy *Korony polskiej* mają format *in folio*. Treść herbarza została wydrukowana XVIII-wieczną antyką, nazwy herbów i nazwiska wyróżniono kursywą. Znane egzemplarze dzieła mają najczęściej skórzaną oprawę, o którą zadbali właściciele książki.¹ Wszystkie ryciny ozdobników i herbów w *Koronie polskiej* są drzeworytami. Rysunki herbów zostały wykonane niestarannie. Klejnot często nie łączył się z całym wizerunkiem herbu, pozostawał nad nim zawieszony, co należy do często spotykanych błędów heraldycznych. Zdarza się, że ryciny herbowe w ogóle nie mają klejnotu.

W tomie pierwszym *Korony polskiej*, w części pierwszej, Niesiecki przedstawił genezę herbów państwowych Królestwa Polskiego i Wielkiego Księstwa Litewskiego oraz spis władców. Następn-

1. Uwagi o wyglądzie dzieła uzyskano dzięki uprzejmości Pani Marii Zychowiczowej z działu Starych Druków BN. BN sygn. XVIII 3.1254; BN sygn. W 31202.

nie omówił strukturę organizacyjną Kościoła, dzieje poszczególnych biskupstw i podał spisy hierarchów duchownych. Po herbach państwowych i kapituł, przyszła kolej na herby ziemskie, którym towarzyszą odpowiednio spisy wojewodów i kasztelanów. Po omówieniu heraldyki terytorialnej, dołączono spisy innych urzędników zasiadających w senacie wraz z określeniem ich kompetencji: marszałków, kanclerzy, podkanclerzych, podskarbich, marszałków nadwornych. Poza spisami urzędów senatorskich, Niesiecki uwzględnił także spisy hetmanów, marszałków izby poselskiej i starostów generalnych wielkopolskich.

W części drugiej tomu pierwszego, herby szlacheckie ułożono alfabetycznie i równolegle z nimi podano informacje o dziejach poszczególnych rodzin. Układ ten zastosowano po raz pierwszy w heraldyce polskiej.²

Podstawa źródłowa herbarza

Niesiecki często cytował źródła i literaturę o charakterze biograficznym. Te liczne opisy pobożnych żywotów, spowodowały ataki na jego osobę i podważyły wiarygodność samego dzieła. Oprócz pobożnych żywotów, Niesiecki zamieścił także w *Koronie polskiej* (na podstawie genealogii szlacheckich, zbiorów biografii, katalogów biskupów) biogramy innych wybitnych jednostek, które dzisiaj jeszcze stanowią podstawę do poszukiwań informacji o osobistościach dawnej Rzeczypospolitej.

Kolejnym ważnym składnikiem podstawy źródłowej herbarza Niesieckiego są źródła normatywne. Najwięcej informacji genealogicznych autor *Korony polskiej* znalazł w dyplomach władców, konstytucjach sejmowych i aktach sądowych. Przedkładał źródła prawa świeckiego nad ustawodawstwo kościelne.

W warsztacie historycznym jezuickiego heraldyka można odnaleźć także odwołania do korespondencji urzędowej świeckiej i kościelnej, listów prywatnych oraz do szczególnego rodzaju listów, jakimi były listy dedykacyjne. Ponadto Niesiecki

chętnie korzystał z literatury okolicznościowo-panegirycznej, zacytował ponad stu autorów kazań pogrzebowych (Mateusz Bembus SJ, Piotr S. Dunin SJ, Paweł Kaczyński SJ, Tomasz Młodzianowski SJ, Adam F. Birkowski, Jacek M. Mijakowski, Augustyn Wituński), epitafiów (ponad sto) i elegii (A. Krzycki, J. Kochanowski, M. K. Sarbiewski, A. Trzeciecki, M. Rej).

Kasper Niesiecki dobrze znał historiografię antyczną (Herodota, Józefa Flawiusza, Plutarcha, Heliodora, Juliusza Cezara, Owidiusza, Tytusa Liwiusza, Tacyty i innych) oraz zachodnioeuropejskie piśmiennictwo historyczne. Najwięcej informacji o genealogiach rodzin polskich lub herbowych emigrantach znalazł w kronikach czeskich (Kosmas, Eneaszy Sylwiusz, Vaclav Hajek, Jan Dubravius, Bogusław Balbin), niemieckich (gł. Thietmar, Helmond, Piotr z Dusburga) i węgierskich (Janos Thuroczy, Miklos Istvanffy). Marginalne znaczenie miało dlań piśmiennictwo angielskie (William Camden), francuskie, włoskie, skandynawskie (Saxo Gramatyk, Samuel Pufendorf). Nie korzystał ze źródeł ruskich; w kwestiach wschodnich polegał na kronikach litewskich.

Kasper Niesiecki, oprócz źródeł pisanych, sięgał do źródeł ikonograficznych i materialnych. Najbardziej cenne dla autora herbarza były nagrobki i tablice epitafijne, na których zazwyczaj znajdowały się herby „genealogiczne”, czyli wielopolowe. Herbarz Niesieckiego zawiera także wartościowe informacje o 42 chorągwiach pogrzebowych, znajdujących się niegdyś w powszechnym użyciu, których rolę i znaczenie można dziś badać zaledwie na kilku zachowanych przykładach.

Niesiecki, blazonując herby, wykorzystywał ustalenia swoich poprzedników i często powielał ich błędy. Próbował także stworzyć własny język opisu herbu. Można zarzucać mu chaotyczność, niepewność i nadmierną rozwlekłość języka blazonowania. Należy jednak dodać, że miał świadomość reguł heraldycznych, wypracowanych na zachodzie Europy. Poprawnie określał elementy składowe herbu, strony heraldyczne i figury, znał zasadę alternacji barw. Herbarz Niesieckiego jest doskonałym źródłem do badań nad kształtowaniem się polskiego języka blazonowania, który do dnia dzisiejszego nie został przecież w pełni wypracowany.

2. J. A. Załuski, *Biblioteka historyków, prawników, polityków i innych autorów polskich lub o Polsce piszących z przypisami Józefa Epifanio Minasowicza*, wyd. J. Muczkowski, Kraków 1832, s. 142-143.

W podanych przez Niesieckiego ponad dwustu legendach herbowych, badacz antropologii kulturowej znajdzie nawiązania do historii starożytnej, średniowieczną symbolikę, anegdoty, historie nadprzyrodzone i inne. W chaosie tych różnych wątków, Niesiecki pozwalał sobie na wyrażenie własnej opinii o genezie danego rodu i herbu, zwracał uwagę na rodzime korzenie oraz kładł nacisk - jak zwykle - na treści religijne. Nawet ten ostrożny krytycyzm nie spodobał się odbiorcom herbarza, którzy często próbowali wywierać nacisk na autora *Korony polskiej*, by ten „godnie” przedstawił początki danej rodziny.

Ponowna edycja herbarza w XIX w.

Ponowne wydanie herbarza w Lipsku, w latach 1839-1846, w dziesięciu tomach, nie tylko przypomniało to cenne dzieło, ale dzięki większej dostępności, umocniło również jego znaczenie w polskim piśmiennictwie heraldycznym. Oryginalny tekst *Korony polskiej* pozostawiono nietkniętym. Wydawca - Jan Nepomucen Bobrowicz - nakłonił Joachima Lelewela do napisania dwóch rozpraw naukowych o herbach i urzędach, które zostały włączane do nowej edycji herbarza. Perypetie tej współpracy są bardzo interesujące. Wydanie Bobrowicza uzupełniono także wiadomościami z późniejszych herbarzy (W. W. Wielądka, E. A. Kuropatnickiego, S. J. Duńczewskiego, P. Małachowskiego), które słusznie wyróżniono inną czcionką. Ponadto w herbarzu znalazły się cenne rękopiśmienne uwagi biskupa warmińskiego Ignacego Krasickiego, które ten sporządził we własnym interpaginowanym egzemplarzu *Korony polskiej*.

W XIX w. wyciągi z herbarza uzyskiwały rangę dokumentów w wywodach szlachectwa przed władzami w zaborze austriackim (19 VII 1782, 16 X 1800). W zaborze rosyjskim, jak sprawdziłam, wywody szlachectwa polskiego przed gubernialnymi deputacjami wywodowymi zaczynało zazwyczaj od powołania nazwiska Niesieckiego, zaś przed Heroldią Królestwa Polskiego *Koronę polską* cytowano tylko w wywodach tytułów honorowych. Z powodu braku źródeł, można przypuszczać, że dzieło Niesieckiego było także pomocniczym środkiem dowodowym uznawanym przez Heroldię

w wywodach szlachectwa. Może o tym także świadczyć inicjatywa Rady Obywatelskiej województwa sandomierskiego z 1826 r. W aktach Heroldii odnalazłam projekt ponownego wydania *Korony polskiej*, który wychodził naprzeciw trudnościom, jakie szlachta napotykała w zdobyciu dowodów swego pochodzenia. Projekt ten skierowany do senatu Królestwa Polskiego nie doczekał się wówczas realizacji.³ Niezależnie od niego doszło do reedycji herbarza w Lipsku.

Recepcja herbarza Niesieckiego

Dzieło Kaspra Niesieckiego miało znaczny wpływ na dalszy rozwój polskiej historiografii. Do ustaleń Niesieckiego odwoływali się jego następcy na polu heraldyki, np. Benedykt Chmielowski, Wacław Warszucki, Hipolit Stupnicki, Ignacy Kaplica Milewski, Kazimierz Łódzia Czarniecki. O ogromnym zainteresowaniu herbarzem świadczy także stwierdzona przeze mnie obecność *Korony polskiej* w ważniejszych bibliotekach dawnej Rzeczypospolitej: prywatnych (Ignacego Krasickiego, Czartoryskich w Puławach, Działyńskich w Kórniku, Ordynacji Kasińskich w Warszawie, Ossolińskich we Wrocławiu, Raczyńskich w Poznaniu i inne), zakonnych (jezuickich w Mińsku, Chodlu, Krasnymstawie, Pińsku, Krośnie, Krakowie, u kapucynów, bernardynów i franciszkanów we Lwowie, pijarów warszawskich i innych), bibliotekach instytucji naukowych (biblioteki towarzystw naukowych w Wilnie, Lublinie, Warszawie, biblioteki uniwersyteckie w Wilnie, w Kijowie, Warszawie, Krakowie i inne) i państwowych (biblioteka Heroldii Królestwa Polskiego). Właściciele dzieła często emocjonalnie podchodzili do treści znajdujących się w *Koronie polskiej*. W odrębnym notatkach komentowali, poprawiali wiadomości podane przez Niesieckiego.

Na doborze treści dzieła Niesieckiego zażyło wywodenie się autora ze środowiska zakonnego. Jezuita ganił odchodzenie szlachty od

3. AGAD, *Heroldia Królestwa Polskiego*, sygn. 1, k. 33-34; I. M. Dacka, *Nieznaný projekt wydania „Korony polskiej” Kaspra Niesieckiego*, „Rocznik Polskiego Towarzystwa heraldycznego” n.s., t. V (XVI), 2001, s. 161-163.

katolicyzmu, gloryfikował powroty na łono Kościoła katolickiego, wyliczył długą listę dobrodziejów Towarzystwa Jezusowego, uczniów i zakonników oraz podał - jako godne naśladowania - liczne przykłady „świątobliwych” żywotów. Autor herbarza, przejęty troską o pozycję i wizerunek Kościoła, przypisał niektórym biskupom, jezuitom lub postaciom otoczonym „nimbem świętości” szlacheckie pochodzenie. Niesieckiemu nie można zarzucić dokonywania fałszerstw heraldycznych, których świadomie dopuszczali się inni heraldycy. Przekręcał czasami daty i nazwiska, te ostatnie zazwyczaj na skutek błędnych zapisów, jakie spotykał w źródłach. Znacznym osiągnięciem Niesieckiego na polu heraldyki było zdyscyplinowanie wyobrażeń herbów. Niesiecki był w tej dziedzinie tak poważnym autorytetem, że niektóre rodziny zaczęły posługiwać się zaproponowanymi przez niego herbami.

*dr Iwona Monika Dacka-Górzyńska
Instytut Historii PAN*

Iwona Monika Dacka-Górzyńska - adiunkt w Instytucie Historii Polskiej Akademii Nauk w Warszawie i dyrektor Wydawnictwa DiG. W latach 2005-2012 związana z Instytutem Badań Interdyscyplinarnych Artes Liberales UW. W 2003 r. obroniła pracę doktorską „*Korona polska*” **Kaspra Niesieckiego**. *Pomnik staropolskiego piśmiennictwa heraldycznego*, opublikowaną w 2004 roku, która w 2005 r. otrzymała nagrodę im. Adama Heymowskiego, przyznaną przez Polskie Towarzystwo Heraldyczne. Zainteresowania naukowe dotyczą zagadnień związanych z heraldyką, genealogią, epigrafiką, piśmiennictwem staropolskim, szczególnie tekstami paraliterackimi, działalnością kulturalną zakonu jezuitów (XVI-XVIII) oraz losami Polaków przebywających we Francji w XIX i na początku XX w.



2012
Herbarzowy Rok
Kaspra Niesieckiego

Zbigniew Atras

Perła w koronie polskiej heraldyki. W 330. rocznicę urodzin Kaspra Niesieckiego



Krasnystaw przełomu XVII i XVIII wieku, podobnie jak większość miast ówczesnej Polski, a szczególnie w ziemi chełmskiej i na Rusi przeżywał głęboki kryzys i upadek. Niekończące się wojny, napady oraz przemarsze wojsk moskiewskich, szwedzkich i kozackich, połączone najczęściej z rabunkiem i niszczeniem miasta, a także zarazy morowe zdziesiątkowały ludność i doprowadziły królewski gród na skraj przepaści. Ludne i bogate miasto, które na terenie międzyrzecza Wisły i Bugu pod względem liczby mieszkańców ustępowało jedynie Lublinowi, wyludniło się i zbiedniało. Z około 70 istniejących wcześniej domów położonych w murach miasta, ocalało zaledwie kilkanaście. Upadło rzemiosło i handel. Zubożała wieś. Szacuje się, że w powiecie krasnostawskim zniszczeniom wojennym uległo 80-95% wsi królewskich i 65-70% wsi prywatnych. *Krasnystaw zwolna zszedł na ubogie miasteczko, samymi drewnianymi domami zabudowane, ze zruinowanym zamkiem, opustoszałymi gmachami i rozwalonymi murami.*

A przecież jeszcze nie tak dawno był prawdziwą ozdobą nie tylko ziemi chełmskiej. Położony na wysokim brzegu, u zbiegu rzek Wieprza i Zółkiewki, w sąsiedztwie wielkiego stawu, otoczony solidnymi murami obronnymi z trzema bramami i kilkoma basztami, z licznymi, murowanymi kamienicami i gotyckim ratuszem na rynku, ozdobiony przez wieże oraz kopuły czterech kościołów, w tym katedry diecezji chełmskiej, a także dwóch cerkwi, a zwłaszcza dużego, murowanego zamku królewskiego, bogaty w dwa, a może i trzy szpitale, znany z cenionej powszechnie szkoły przykatedralnej słynącej z wysokiego poziomu nauczania, oraz ze zdobywającej coraz większe uznanie nowej szkoły jezuickiej, uważany był przecież za jedno z lepiej urządzonych miast Rzeczypospolitej. Gród królewski, siedziba starostwa grodowego i stolica biskupów chełmskich oraz дума jego mieszkańców popadał w coraz większą ruinę. Po-

dejmowane wielokrotnie próby odbudowy miasta niweczyły kolejne wojny i napady. Dopiero po roku 1715 nastąpił okres względnego spokoju. Miasto z całym powiatem leczyło ciężkie, wojenne rany. Pozyskiwało mecenasów oraz dobroczyńców i podnosiło się powoli z upadku. Stopniowo odbudowano zniszczoną katedrę, kamienice na rynku, królewski zamek, opatrzone mury miejskie i wznieziono nowy most na Wieprzu. Ponownie wzrastała liczba mieszkańców. Odradzało się rzemiosło i handel. Kończono budowę jezuickiego kościoła św. Franciszka z jego dwoma wieżami i górującą nad całym miastem miedzianą kopułą. Z mozo-



Budowle jezuickie w Krasnymstawie

tem pięły się w górę mury jezuickiego kolegium, ale sama szkoła rozwijała się szybko i zdobywała coraz większe uznanie. Przy krasnostawskiej katedrze erygowano seminarium duchowne. Moż-



Budynek seminarium duchownego

na powiedzieć, że całe miasto stało się jednym, wielkim placem budowy. Znów rozkwitała kultura i oświata, a Krasnystaw wracał na swoje dawne miejsce i odzyskiwał utraconą rangę.

Jednym z głównych motorów napędzających rozwój miasta byli sprowadzeni w 1685 roku jezuici - trzeci po augustianach i bonifratrach zakon w Krasnymstawie. To oni w tych trudnych czasach

wojen rozpoczęli budowę nowego i największego kościoła w mieście, a następnie budynków kolegium. Założyli szkołę, którą w 1720 roku podnieśli do rangi kolegium, czyli uczelni wyższej. Oni też stanowili kadrę naukową dla utworzonego właśnie seminarium duchownego. Z tego powodu do Krasnegostawu przybywali kolejni zakonnicy jezuickcy, a w latach 1720-1770 liczba rezydujących tu stale jezuitów wahała się w granicach od 18 do 39.

W 1724 roku do klasztoru w Krasnymstawie przybył skromny jezuita ks. Kasper Niesiecki. Niestety, dane na temat jego osoby są więcej niż skromne i pomimo podejmowania wielu starań, jego biografia wciąż pozostaje niekompletna, a większość dat związanych z jego życiem została przyjęta na zasadzie, że za prawdziwe uznano te, które powtarzały się najczęściej w różnych źródłach jezuickich. Urodził się prawdopodobnie 31 grudnia 1682 roku, być może we wsi Niesięcin koło Łodzi, leżącej na terenie Wielkopolski. Czy Kasper Niesiecki pochodził z rodziny mieszczańskiej, czy też szlacheckiej pieczętującej się herbem Poraj, też trudno powiedzieć, ponieważ własnej rodziny w swoim herbarzu nie umieścił. Ale być może przyczyną jest tutaj wrodzona skromność jezuitę. W wieku 17 lat, może 2 września 1699 roku wstąpił do zakonu. Przez dwa lata przebywał w nowicjacie w Krakowie, gdzie 22 lipca 1701 roku złożył pierwsze śluby zakonne. Kolejne trzy lata spędził w Lublinie, studiując filozofię. W latach 1704-07 przebywał kolejno w Łucku, Lublinie i Krośnie, gdzie w szkołach jezuickich prowadził infimę oraz nauczał poetyki i gramatyki. Kolejne lata, 1707-11 spędził w Krakowie, studiując teologię, i tam, w czerwcu 1710 roku przyjął święcenia kapłańskie. Przez następny rok przebywał w Jarosławiu, gdzie studiował prawo zakonne. W latach 1712-14 pracował w Bydgoszczy i Chojnicach. Tam wykładał retorykę i poetykę, piastował funkcję kronikarza kolegium i był członkiem rady kolegium, protokolantem oraz spowiednikiem. Następny rok szkolny spędził w Kaliszu, pełniąc obowiązki profesora retoryki i matematyki, oraz zarządcy spraw domowych miejscowego kolegium. Jako kaznodzieja, pracował w latach 1715-16 w Rawie Mazowieckiej, 1716-17 - w Krakowie, gdzie 19 marca, w wieku 35 lat złożył profesję czterech ślubów zakonnych i był tu ponownie w okresie 1721-22, w Lublinie (1717-

18), w Kaliszu (1718-19), dwukrotnie we Lwowie (1719-20 i 1722-23), a w 1720-21 w Krasnymstawie. W 1724 roku przybył ponownie do Krasnegostawu, gdzie, z roczną przerwą w 1740 roku, w czasie której zarządzał konwiktem szlacheckim w Sandomierzu, przebywał już na stałe. W 1726 roku w Krasnymstawie pełnił obowiązki regensa seminarium i prefekta kościoła, wykładając jednocześnie teologię moralną w miejscowym kolegium. Od 1727 roku był zarządcą kościoła i kaznodzieją, a od 1741 roku - doradcą rektora krasnostawskiej uczelni.

Jezuickie katalogi sekretne i „Informationes ad gubernandus” zawierają informacje, z których wynika, że charakter Kaspra Niesieckiego przełożeni określali jako choleryczno-sangwiniczny, czyli skłonny do uniesień i emocji, a jego zalety umysłowe oceniano różnie, początkowo na przeciętne i wystarczające, a z czasem na znakomite. Szybko zauważono i doceniono jego zdolności kaznodziejskie i takie zadania najczęściej mu powierzano, odsuwając go jednocześnie, ze względu na wymienione wcześniej cechy charakteru, od funkcji czysto nauczycielskich i sprawowania wyższych godności w zakonie. Z przedstawionego kalendarium wynika, że Kasper Niesiecki często zmieniał miejsca swojego pobytu. Częściowo wpływ na to miała sama organizacja zakonu jezuickiego, ale chyba w dużej mierze przyczyniły się do tego jego własne zainteresowania i praca naukowa, jaką prowadził, popierana zapewne przez wpływowych mecenasów i sympatyków.

Otóż Niesiecki był z zamiłowania heraldykiem i genealogiem, a dziełem jego życia stał się herbarz „Korona polska”. Wykorzystując częste podróże i zmiany miejsca pobytu, gromadził materiały do swego przyszłego, heraldycznego dzieła. Poza wymienionymi już wcześniej miejscowościami, Niesiecki z całą pewnością przebywał w Brześciu Litewskim, Gdańsku, Jędrzejowie, Leżajsku, Łowiczu, Międzyrzecu pod Ostrogiem, Pępulinie, Samborze, Suchej Beskidzkiej, Toruniu, Warszawie i Zamościu. Wszędzie tam, przy okazji głoszenia słowa bożego poznawał miejscowe rody szlacheckie, przeglądał archiwa i prowadził szeroką korespondencję, z której zachowały się, niestety, tylko trzy listy wymienione z biskupem Józefem Andrzejem Załuskim, twórcą Biblioteki

Narodowej w Warszawie, datowane na 15 grudnia 1729 roku, 26 listopada 1732 roku i 20 marca 1739 roku. Jak pisze Kazimierz Tyszkowski: *Załuskiego i Niesieckiego łączyła wspólna nieprzemierzona żyłka heraldyczna, która nakazywała pierwszemu zapisywać całe tomy notatkami genealogicznymi, a drugiemu życie całe poświęcić na jeden trud - utworzenie wielkiego herbarza Korony Polskiej. Z tych dziwnie skąpych wiadomości, które mamy o życiu i działalności skromnego kapłana, możemy zdać sobie sprawę, ile trudu i zabiegów włożył w swą pracę, by zebrać możliwie kompletne i dokładne wiadomości o szlachcie polskiej. W zabiegach swych ks. Niesiecki natrafił, bo natrafić musiał na księdza referendarza, który od młodych bardzo lat na polu tem zaczął pracować i szybko zyskał sławę i imię. Od Załuskiego, autor Korony otrzymał dwa ważne rękopisy, z których wiadomości, jako suplement zamieszczone zostały na końcu pierwszego tomu. Załuski niejednokrotnie wyrażał zadowolenie z pracy Niesieckiego, chwając zwłaszcza alfabetyczny układ szlachty, który wydawał mu się najpraktyczniejszy i najodpowiedniejszy. Do dnia dzisiejszego zachował się także list z 13 października 1740 roku, adresowany do Michała Kazimierza Radziwiłła „Rybeńki”, oraz traktat astronomiczny z 1714 roku autorstwa Kaspra Niesieckiego. Wiadomo, że korespondował z Józefem Aleksandrem Jabłonowskim oraz z rodziną Prozorów, jednak te listy, jak i sam rękopis „Korony polskiej”, którego fragment trafił do Biblioteki Załuskich, nie zachowały się do naszych czasów.*



Kasper Niesiecki. Portret imaginacyjny

Nie posiadamy też żadnego prawdziwego portretu Kaspra Niesieckiego, a ten znany z ryciny zamieszczonej w zeszycie 23 „Zbioru pism różnych autorów” z 1835 roku, jest wizerunkiem imaginacyjnym. W 1839 roku na łamach „Przyjaciela Ludu Leszno” zamieszczono artykuł pt. „Wiadomość pewna o autorze Korony polskiej, Kasprze Niesieckim, z papierów rotmistrza Szymona na Rzeplinie Wojakowskiego, dworzanina króla Stanisława Leszczyńskiego”. Za autorem tego artykułu można podać, że Niesiecki był: *wzrostu miernego, włosów czarnych, rysy twarzy szlachetne, mówił gładko i był we wszystkich przedmiotach historii się ty-czących bardzo biegłym*. Historia bowiem stała się pasją jego życia i jej poświęcił się bez reszty. Lubił pracować wieczorami. Dodatkowo znał się na budownictwie. W czasie pobytu we Lwowie dużo czasu spędzał na placu budowy tamtejszego kościoła jezuickiego. Miał pismo ładne i czytelne. Wojakowski w swoich zapiskach powoływał się na osobistą znajomość z Niesieckim - *znałem go z bliska, widywałem na pokojach u wielkich panów, często gęsto zmarłego, bo wielkich przykrości i niegodziwości, zamiast wdzięczności i różnych frasunków od szlachty doznał, a ponieważ był wielki choleryk, wiele go to obchodziło*. Wojakowski wspomina też o licznych suplikach na Niesieckiego, jakie do wszelkich urzędów kierowała szlachta po wydaniu herbarza drukiem. Było ich tak wiele, że *gdy szlachcic wchodził z podaniem, odbierający pytał, czy nie na Niesieckiego*. Wspomina też o manifestacjach szlachty i wybiciu wszystkich szyb w oknach krasnostawskiego kolegium, a także o konflikcie z wojewodą wołyńskim Michałem Potockim, *który drzwi mu raz pokazał u siebie*. Prawdopodobnie wszystkie te zgryzoty miały przyczynić się do przedwczesnej śmierci Kaspra Niesieckiego, który zmarł w Krasnymstawie 9 czerwca 1744 roku w wieku 62 lat i został pochowany w podziemiach miejscowego kościoła św. Franciszka.

Skromny i nierzucający się zanadto w oczy jezuita, przybywając ponownie w 1724 roku do Krasnegostawu, przywiózł ze sobą cały bagaż zbieranego przez prawie 25 lat materiału historycznego. W Krasnymstawie, w miejscowym kolegium jezuickim przebywał przez dwadzieścia lat, aż do końca swoich dni. W otoczeniu odbudowują-

cego się miasta, ks. Niesiecki znalazł odpowiednie warunki i atmosferę sprzyjającą podjęciu wysiłku twórczego i pracy nad dziełem życia. Sposobił się do tego od dawna. Dla swoich działań musiał mieć duże poparcie w zakonie oraz wielkich i wpływo-wych opiekunów, że w ten sposób zorganizowano jego życie klasztorne. Przez ćwierć wieku przenosił się z miejsca na miejsce i gromadził potrzebne dokumenty, by w końcu na dwadzieścia lat osiąść w jednym miejscu i oddać się całkowicie pracy nad herbarzem. W tym czasie w zakonie zajmował się głównie głoszeniem kazań i rekolekcji, w czym nie miał sobie równych. W Krasnymstawie był kaznodzieją katedralnym i zakonnym. Głosił kazania w obecności biskupów chełmskich w gotyckim kościele katedralnym, którego dziś już nie ma, a który w czasach Niesieckiego stał na placu kościelnym naprzeciwko jezuickiego kościoła św. Franciszka. Również w świątyni jezuickiej słuchano uduchowio-nych nauk tego wybitnego kaznodziei. Jak mówił ks. Henryk Kapica, proboszcz krasnostawskiej fary w kazaniu wygłoszonym w 260 rocznicę śmierci Kaspra Niesieckiego: *Po tych murach i niebiańskim suficie nocami błądzi jeszcze czasami jego głos. Tutaj nasi przodkowie, słuchając ojca Kaspra, budowali swoją chrześcijańską tożsamość, nawracali się do Boga, nabierali sił do służby ojczyźnie. Tutaj ojciec Kasper kształtował wyobraźnię naszych ojców i otwierał ją na wielki świat, odkrywany przez Kolumba i misjonarzy chrześcijańskich. Tutaj opowiadał o dalekich podróżach misyjnych św. Franciszka Ksawerego, który po burzliwych oceanach docierał do Indii, Japonii, Chin. Tutaj, w tej świątyni, spoglądając bystrym okiem na polichromie, roz-taczał przed słuchaczami bogaty świat Biblii. Tutaj, jako nauczyciel etyki i teologii moralnej, ukazywał piękno życia moralnego zgodnego z Ewangelią i Bożymi Przykazaniami. Tutaj, przy tym ołtarzu, składał Bogu przez wiele lat Najświętszą Ofiarę. Co więcej, był prefektem tego kościoła; możemy powiedzieć, że był jego administratorem, proboszczem. On patrzył jak te mury są wznoszone, jak przystrajany jest wewnątrz*. Jeżeli opuszczał nasze miasto, to tylko na krótko. Nieobarczony nadmiernymi obowiązkami zakonnymi, większość swego czasu poświęcał pracy twórczej, wykorzystując do tego wcześniej zebrane materiały. Nie wiemy dokładnie, którą celę krasnostawskiego kolegium



Kolegium jezuickie



Dziędziniec kolegium jezuickiego

zajmował. Być może pokój, w którym mieszkał i pracował ks. Niesiecki znajdował się na pierwszym piętrze w południowym skrzydle kolegium jezuickiego, w bezpośrednim sąsiedztwie klasztornej biblioteki, to jest tu, gdzie obecnie wmurowana jest tablica pamiątkowa. Przemawia za tym fakt



Pamiątkowa tablica

korzystania w pracy z dużej ilości dokumentacji, która zapewne w bibliotece była przechowywana. Pewne jest jednak to, że niejedną noc w oknie tego pomieszczenia aż do białego rana paliło się światło, a on sam pracował intensywnie nad heraldycznym dziełem.

Swój herbarz pisał w języku łacińskim. W 1727 roku zakończył przygotowanie pierwszego tomu. Wówczas herbarzem Niesieckiego zainteresowała się wojewodzina Marianna z Potockich Tarłowa, przekazując na dokończenie dzieła i jego druk bardzo poważną kwotę pieniężną wysokości stu tysięcy złotych polskich, pod warunkiem przetłumaczenia dzieła na język polski. Z tego powodu drukowanie herbarza przesunęło się w czasie, a Kasper Niesiecki przystąpił ponownie do pracy i gotowy do druku tom herbarza napisał od nowa, tym razem w ojczystym języku. Czy było to słuszne - trudno powiedzieć, jednak dysponując tak okazałą kwotą pieniędzy, Niesiecki mógł już spokojnie pracować nad pozostałymi tomami i wydawać je drukiem. Pierwszy tom „Korony polskiej” wydano w drukarni jezuickiej we Lwowie w 1728 roku. Nad kolejnym tomem, poprzedzonym podziękowaniem dla swojej protektorki, pracował przez następne dziesięć lat. Tom trzeci ukazał się w 1740 roku, a czwarty w 1743 roku. Cały herbarz miał się składać z pięciu tomów. Niestety, piątego tomu Kasper Niesiecki nie zdążył napisać z powodu przedwczesnej śmierci. Przyczyną zgonu heraldyka miały być zgryzoty, skargi i protesty szlachty po wydaniu „Korony polskiej”. Taką wersję wydarzeń przyjęła późniejsza literatura. Jednak kwerenda blisko 50 ksiąg grodzkich krasnostawskich pochodzących z lat 1720-44 podjęta przez dr Iwonę Dacką-Górzyską w celu dotarcia do opisywanych manifestacji niezadowolonej szlachty przeciwko herbarzowi Niesieckiego i autorowi tego dzieła nie potwierdziła tych informacji, ani zdarzeń, a on sam występował w sądach, co potwierdzają odnalezione dokumenty z lat 1724 i 1732, ale reprezentował tam nie siebie, ale krasnostawskie kolegium jezuitów. Kasper Niesiecki spoczął na zawsze w podziemiach jezuickiej świątyni w Krasnymstawie. Dziś, niestety, jego grobu już nie odnajdziemy. W okresie zaborów, w wyniku polityki prowadzonej przez władze zaborcze nie wydawano zgody na remont kościoła św. Franciszka. Wieloletnie zaniedbania w tym zakresie spowodowały, że doszło do wielkiej katastrofy budowlanej. Historyczny przekaz tak opisuje całe zdarzenie: *Na dniu 21 maja 1849 mieszkańcy miasta o trzy kwadranse na 12 przed północą przebudzeni zostali łoskotem zapadającej się Bazyliki na kościele tutejszym. Na tejże rotundzie na samym*

wierzchu bani miedzianej w półksiężycu stała figura Najświętszej Panny Niepokalanego Poczęcia, z drzewa, mająca koronę z siedmioma gwiazdami. A na dniu 6 Maja t. r. ta korona z gwiazdami oderwana została i tylko na jednej szrubie gwiazdy nad głową Najświętszą obracały się tak jak by o niebezpieczeństwie nadchodzącym mieszkańców tutejszego miasta ostrzegali. Wielka kopuła runęła do wnętrza kościoła, niszcząc częściowo jego ołtarze, marmurową posadzkę i przebijając strop, zagruzowała całkowicie podziemia świątyni wraz ze znajdującymi się tam grobami zakonników, biskupów chełmskich i dobroczyńców zakonu. W późniejszych latach kościół odbudowano, ale już bez kopuły i podziemi, które do dziś są zagruzowane.



Jezuicki kościół św. Franciszka

„Korona polska”, tak jak i inne ówczesne polskie wydawnictwa heraldyczne, jest połączeniem herbarza i genealogii. Jest to najobszerniejszy herbarz staropolski opracowany w oparciu o rzetelnie zebraną i bogatą bazę źródłową. W swojej pracy Niesiecki korzystał z wcześniejszych herbarzy Paprockiego i Okolskiego, kronik Jana Długosza, Macieja z Miechowa, Justa

Jodoka Decjusza, Marcina Kromera, Stanisława Sarnickiego, Marcina i Joachima Bielskich, Macieja Strykowski, Pawła Piaseckiego, kronik zakonnych: bożogrobowców (Nakielski), benedyktynów (Szczygielski), dominikanów (Okolski) i jezuitów (Parisius, Kojalowicz), rękopisów Jana Karola Dachnowskiego i Wojciecha Wijuka Kojalowicza. Sięgał też, na ile było to tylko możliwe, do przekazów naocznych świadków opisywanych wydarzeń. Wiele cennych informacji odnalazł w dyplomach władców, konstytucjach sejmowych, aktach sądowych i dokumentach grodzkich. Korzystał i odwoływał się do korespondencji urzędowej, kościelnej i prywatnej oraz listów dedykacyjnych. Wiele cennych informacji odnalazł w rękopisach okolicznościowo-panegirycznych, cytując ponad stu autorów kazań pogrzebowych, epitafia i elegie. W poszukiwaniu informacji sięgał nawet do starych kronik czeskich, niemieckich i węgierskich. Marginalne znaczenie przywiązywał do dokumentów angielskich, francuskich, włoskich i skandynawskich, a w kwestiach wschodnich pomijał źródła ruskie, polegając w tym temacie na kronikach litewskich. Duże znaczenie miały dla Niesieckiego informacje umieszczone na tablicach epitafijnych i nagrobkach. Wykorzystał ponad dwieście legend herbowych zawierających anegdoty i historie nadprzyrodzone, a także opisy pobożnych żywotów, kładąc nacisk na wartości religijne. W mnogości źródeł i wątków pozwolił sobie na wyrażenie własnej opinii o genezie danego rodu i herbu, co przysporzyło mu wielu niezadowolonych krytyków, a nawet wrogów próbujących wywierać nacisk na autora „Korony polskiej” o „godne” przedstawienie ich korzeni rodzinnych. Herbarz „Korona polska” Kaspra Niesieckiego zawiera genezę herbów państwowych Królestwa Polskiego i Wielkiego Księstwa Litewskiego, spis władców, strukturę organizacyjną Kościoła, dzieje polskich biskupstw, spis hierarchów kościelnych, genezę herbów ziemskich, spisy wojewodów i kasztelanów, urzędników senatu, hetmanów, marszałków izby poselskiej, starostów generalnych wielkopolskich i przede wszystkim herby oraz dzieje poszczególnych rodzin szlacheckich ułożone w porządku alfabetycznym.

Wydany drukiem w technice drzeworytniczej we Lwowie w latach 1728-1743 czterotomowy herbarz Kaspra Niesieckiego „Korona polska przy

złotej wolności starożytnymi wszystkich katedr, prowincji, y rycerstwa klejnotami, heroicznym męstwem y odwagą, najwyższymi honorami; a najpierw cnotą, pobożnością y świętobliwością ozdobiona, potomnym zaś wiekom na zaszczyt y nieśmiertelną sławę pamiętnych w tej oyczyźnie synów, podana" od XVIII wieku zajmuje ważne miejsce nie tylko w polskiej heraldyce i genealogii. Uważany jest za najbardziej krytyczne opracowanie w ówczesnej Europie. Jego nakład nie jest znany, a do dnia dzisiejszego zachowało się 110 egzemplarzy tego dzieła. Bardzo cennymi elementami „Korony” są zamieszczone w niej aprobacje władz kościelnych i listy dedykacyjne. Tom drugi herbarza Kasper Niesiecki dedykował Mariannie z Potockich Tarłowej, a tom trzeci - Franciszce Urszuli z Wiśniowieckich Radziwiłłowej, dlatego obie te panie uważa się za mecenasów wielkiego dzieła. „Korona polska” odegrała znaczącą rolę w rozwoju polskiej heraldyki i genealogii. Z informacji w niej zawartych czerpali kolejni, polscy heraldycy, a najważniejsze biblioteki w kraju posiadały herbarz w swoich zbiorach. Znaczenie pracy Niesieckiego doceniali wszyscy, a w temacie wyobrażeń herbów uznawany był i jest za najpoważniejszy autorytet. W XIX wieku wyciągi z herbarza Kaspra Niesieckiego uzyskały rangę dokumentów poświadczających szlachectwo przed władzami w zaborze austriackim, a także w zaborze rosyjskim i w Rosji. W latach 1839-1846 w Lipsku wydano ponownie „Koronę polską”, tym razem w dziesięciu tomach pt.: „Herbarz Polski ks. Kaspra Niesieckiego S. J. powiększony dodatkami z późniejszych autorów, rękopisów, dowodów urzędowych i wydany przez Jana Nep. Bobrowicza w Lipsku, nakładem i drukiem Breitkopfa i Hertela”. Wydanie to było odpowiedzią na powszechne zainteresowanie tym dziełem i rangę, jaką mu przypisywano. Oryginalny tekst herbarza pozostawiono bez zmian. Całe dzieło uzupełniono dwoma rozprawami naukowymi o herbach i urzędach autorstwa Joachima Lelewela, wiadomościami z późniejszych herbarzy i uwagami biskupa warmińskiego Ignacego Krasickiego. Wydanie to nie tylko przypomniało dzieło Kaspra Niesieckiego, ale przede wszystkim zwiększyło jego dostępność i umocniło znaczenie „Korony” w polskim piśmiennictwie heraldycznym.

Dziś w Krasnymstawie trudno szukać pamiątek po wybitnym heraldyku. W miejskich bibliotekach, ani też w krasnostawskim muzeum nie odnajdziemy pierwszego, lwowskiego wydania herbarza Kaspra Niesieckiego, czy innych dokumentów pisanych jego ręką. Jedynymi miejscami, które upamiętniają jego pobyt w naszym mieście jest zapomniana uliczka nazwana imieniem Niesieckiego na przedmieściu Zastawie i pamiątkowa tablica w muzeum, ufundowana i odsłonięta 9 czerwca 2004 roku. Na szczęście zachował się cały jezuicki zespół sakralny składający się z kościoła św. Franciszka i odrestaurowanego ostatnio kolegium oraz budynek dawnego seminarium duchownego. I właśnie tu, w zacisznych miejscach tych budowli możemy popuścić wodze fantazji i spróbować wyobrazić sobie skromnego, jezuickiego księdza siedzącego godzinami, przez prawie dwadzieścia lat, a często do białego rana w swojej celi, pochylonego nad stołem i nad dziełem swojego życia, czy też wędrującego po korytarzach kolegium, prowadzącego wykłady dla krasnostawskich kleryków lub głoszącego z ambony kościoła natchnione kazania. I choć liczba pamiątek jest więcej niż skromna, to najważniejsza jest pamięć o tym wybitnym krasnostawianinie, który niegdyś tu przybył i zamieszkał, tu stworzył wielkie dzieło i pozostał tutaj już na zawsze.

Zbigniew Atras

Niniejszy tekst został napisany w oparciu o informacje przesłane, oraz zawarte w pracy dr Iwony Dackiej-Górzyńskiej, „*Korona polska*” Kaspra Niesieckiego. *Pomnik staropolskiego piśmiennictwa heraldycznego*. Warszawa 2004, za co pragnę serdecznie podziękować, a także na podstawie następującej bibliografii:

1. Kasper Niesiecki *Korona polska przy złotej wolności...*, Lwów 1728.
2. Kazimierz Tyszkowski, *Niesiecki a Żalutki: notatka z dziejów polskiego bibliofilstwa i bibliografii*, Drukarnia Narodowa, Kraków 1925.
3. *Zbiór pism różnych autorów* z. 23, 1835.
4. *Przyjaciel Ludu Leszno* art. Wiadomość pewna o autorze „*Korony polskiej*” Kasprze Niesieckim..., 1839.
5. Ks. Henryk Kapica, *Ksiądz Kasper Niesiecki. 260 rocznica śmierci*, Boże Sieci 2/5, Krasnystaw 2004.

Katarzyna Sobczyk

Uwagi o życiu i twórczości polityka i pisarza Jana Stanisława Jabłonowskiego



Herb Prus III

Jan Stanisław Jabłonkowski, herbu Prus, był synem Stanisława Jana Jabłonowskiego, wojewody ruskiego, hetmana, a później kanclerza wielkiego koronnego, i Marii Anny z Kazanowskich, córki Dominika Kazanowskiego, wojewody braćławskiego, i Anny z Potockich. Posiadał liczne rodzeństwo: siostrę Annę Katarzynę (1658-1727) - żonę Rafała Leszczyńskiego, matkę późniejszego króla Polski, Stanisława Leszczyńskiego, drugą siostrę Jadwigę (1659-1692) - żonę wojewody płockiego, Jana Krasieńskiego, brata Aleksandra Jana, późniejszego chorążego wielkiego koronnego, wcześniej zmarłą siostrę Elżbietę, która urodziła się w 1672 r., i drugiego brata - Stanisława Karola (1676-1702), przyszłego oboźnego wielkiego koronnego.



Jan Stanisław Jabłonowski

Późniejszy wojewoda ruski i kanclerz wielki koronny przyszedł na świat w roku 1669. *Jak pisze August Bielowski, miał Jabłonowski zamiłowanie w naukach, posiadał języki różne, które mu ułatwiały nabycie wiadomości, okazywał je w mowach, do których życie publiczne często poddawało mu sposobność, a w chwilach wolnych zajmował się pisanem wierszów.*¹

Po okresie nauki odbywanej z bratem Aleksandrem Janem zrazu u jezuitów we Lwowie, a następnie w Pradze, odbył podróż zagraniczną w celach edukacyjnych po Europie Zachodniej.² Wiadomo, że jego ojciec również przebywał we Francji, zafascynowała go jej kultura, co miało wpływ na późniejszą decyzję o związaniu się ze stronnictwem profrancuskim. Zgodnie z zamierzeniami ojca, pobyt za granicą miał być ostatnim etapem edukacji, a zarazem przygotowaniem do działalności publicznej obu synów Stanisława Jabłonowskiego. Zgodnie z zapiskami młodszego z braci, Aleksandra Jana³, przybyli oni do Paryża 29 listopada 1684 r. Ten ciekawy dokument, spisany na bieżąco, zawiera dokładne opisy przebiegu studiów braci Jabłonowskich, ich pobytu w Anglii, Hiszpanii i Włoszech. Zgodnie z życzeniem ojca, znanego z dewocji, który wspomagał zakony bernardynów, dominikanów i jezuitów, fundatora większej części lwowskiego kolegium jezuickiego, udali się do paryskiego kolegium jezuitów, aby tam kontynuować swe studia. Po rozmowach z ojcem prowincjałem i rektorem, stali się studentami słynnej jezuickiej uczelni, College de Clermont. Oprócz opisu czynności związanych z nauką, codziennymi wydarzeniami, spotkaniami, możemy odnaleźć w dzienniku relacje ze zwiedzania zabytków Paryża oraz spotkań ze znanymi osobistościami. Braci Jabłonowskich otoczył

2. Jak się wydaje, podobny typ wykształcenia również zakończony zagraniczną podróżą odebrał inny znany członek rodu Jabłonowskich, urodzony w 1711 r. bibliograf, tłumacz, poeta, założyciel towarzystwa naukowego Societas Jablonoviana, Józef Aleksander Jabłonowski, który przebywał za granicą w latach 1729-1731.

3. A. Jabłonowski, *Diarium mansonis Parisiis te diarium itineris in Angliam conscriptum ab me Alexandro in Jablonow Jabłonowski*.

1. A. Bielowski [wstęp do:] J. S. Jabłonowski, *Pamiętnik...*, s. 28.

życzliwą opieką biskup Beauvais, Toussaint de Forbin-Janson, który - jako specjalny wysłannik Ludwika XIV - przyjechał do Polski w 1674 r., by wziąć udział w polskiej elekcji. Podczas tego pobytu poznał Stanisława Jabłonowskiego i teraz nie zaniedbał przedstawić synów swego przyjaciela Królowi-Słońce, co nastąpiło w maju 1685 r. Zapisy braci Jabłonowski mówią o kilku wizytach na francuskim dworze.

W sierpniu tego roku, na specjalne polecenie ojca, Jan Stanisław i Aleksander udali się do Anglii. Po opuszczeniu Paryża wybrali drogę przez Beaumont, Beauvais, Abbeville, Montreuil, Boulogne-sur-mer i Calais. Zgodnie z zapisami utrwalonymi we wspomnieniach, przebywali w Anglii od 18 sierpnia do 11 września 1685 r. Pozostawili szczególnie barwne opisy wielu angielskich miast: Dover, Canterbury, Oxfordu i Londynu. Listy polecające od biskupa Beauvais ułatwiły im poruszanie na Wyspach. Wiemy, że odwiedzili oni w Londynie francuskich wysłanników, marszałka Louisa de Crevant Humier i ambasadora Paula Barillon d'Armoncourt. Została również udokumentowana ich wizyta u Laurence'a Hyde, który znał ojca Jabłonowskich i również przebywał w Polsce podczas chrztu Teresy Kunegundy Sobieskiej jako nadzwyczajny ambasador króla Karola II. Bracia zostali przedstawieni królowi Jakubowi II Stuartowi, zwiedzili Tower, gdzie zgromadzono zapasy broni zabrane podczas walk o tron Anglii stoczonych między zwolennikami Jakuba i naturalnego syna Karola II, księcia Monmoutha.

Jabłonowscy opuścili Anglię 11 września, a następnie udali się w podróż morską do Calais, a potem przez Dunkierkę, Foy, Lille, Arras, Roye, Gourmay i Senlis pojechali do Paryża. Zawitali tam 22 września. W czasie podróży morskiej doszło do poważnego zagrożenia, i tam właśnie przed cudownym obrazem dziękowali za ocalenie życia. W stolicy Francji bracia w dalszym ciągu studiowali, ogłosili nawet rozprawę matematyczną.⁴ Na podstawie zapisków wiemy, że mieli wśród swych nauczycieli słynnych jezuitów francuskich, np. J. de Jouveny, spotkali także w Bordeaux poetę Leonarda Frizona.

Po rocznych studiach w Paryżu, bracia Jabłonowscy udali się do Hiszpanii. Na drodze ich podróży leżały m.in. takie miasta jak Blois, Poitiers, La Rochelle, Bordeaux, Królestwo Nawarry. Jabłonowscy odbyli przeprawę przez Pireneje, a do Madrytu przybyli 16 stycznia 1687 r. Spędzili tam około trzech tygodni, a czas ten wypełniło im zwiedzanie miasta i audiencja u króla Hiszpanii. Z początkiem lutego udali się w drogę powrotną do Francji. Tym razem odbyli podróż inną drogą, poprzez m.in. Tuluzę, Montpellier, Carcassone, Marsylię, Niceę i Monako, a następnie poprzez Pizę, Sienę i Viterbo dotarli 28 marca do Rzymu, gdzie spędzili Wielkanoc. Zwiedzili dokładnie Rzym i Neapol, a także byli w opactwie Monte Cassino. Potem bracia Jabłonowscy udali się do Wenecji, a pobyt w tym mieście trwał od 26 czerwca do 6 lipca. Następnie na trasie ich podróży znalazł się Mediolan. Ostatnim etapem ich podróży był Lyon, skąd wyruszyli w stronę Paryża, aby dotrzeć tam ostatecznie 13 sierpnia 1687 r. Jabłonowscy zabawili w tym mieście do końca września. Czas wypełniło im zwiedzanie opactwa St. Denis. Diariusz z zapiskami dotyczącymi ich podróży urywa się na dacie 26 września 1687 r. Jak podaje Anna Markiewicz, jest bardzo prawdopodobne, że bracia wyruszyli w drogę powrotną do ojczyzny pod koniec roku 1687, a do kraju dotarli w styczniu 1688 r.

Bracia Jabłonowscy, którzy dzielili trudy pobytu w obcym kraju, ogłosili we Francji swój wspomniany traktat matematyczny w 1686 r. Po tym starannie zaplanowanym okresie zagranicznej edukacji, Jabłonowscy powracają do Polski. Tu, przed Janem Stanisławem, jako najstarszym synem Stanisława Jabłonowskiego, stoją otworem perspektywy wspaniałej kariery, którą rozpoczyna od urzędu wielkiego chorążego koronnego. Urząd ten przyszedł pisarz obejmuje w 1687 r., a w 1693 r. zostaje wojewodą wołyńskim. Jest to również okres służby publicznej młodego Jabłonowskiego, który wypełnia posłowanie na sejm 1690 r. oraz sprawowanie funkcji marszałka sejmików przedsejmikowych w Haliczu w 1689 i 1692 r. Pod okiem ojca, Stanisława Jana Jabłonowskiego, ostatniego z wielkich hetmanów, wiernego towarzysza wojennych wypraw Jana Sobieskiego, odbiera także wykształcenie w żołnierskim rzemiośle. Uczestniczy w wojnie z Turcją, podczas której bierze udział

4. Jan i Aleksander Jabłonowscy, *Theses mathematicae ex variis tractatibus propugnatur Joanne et Aleksandro Jabłonowski Polonis, in regio Ludovici Magni Collegio Soc. Jesu Anno MDCLXXXVI* (1686), folio, s. 20.

w kampanii 1689 r. i w obronie Lwowa przed Turkami w 1695 r.

Wzmiankę o politycznych ambicjach młodego Jabłonowskiego odnajdujemy między innymi w *Pamiętnikach z czasów panowania Jana III Sobieskiego* pióra Kazimierza Sarneckiego. W 1698 roku zanotował on: *Jmp. chorąży jest na sejmiku w Wiśni, stamtąd chce być posłem a per consequens dyrektorem na sejm przyszły.*⁵ W tym pamiętniku odnajdujemy jeszcze inną wzmiankę dotyczącą młodego Jabłonowskiego: *Królowa Jm. zagniewana bardzo na jmp. chorążego koronnego ex occasione jejm. jego, jakoby ją miał dure traktować i przeciwko królowej Jm. gadać.*⁶ Wojewoda był mężem siostrzenicy Marii Kazimiery, Joanny de Bethune, którą poślubił w 1693 r., a jednocześnie przecież polityczne plany ojca Jana Stanisława, wielkiego hetmana koronnego Stanisława Jana skoncentrowane były wokół Marii Kazimiery. Inni historycy nie wahają się nawet przypisywać starszemu Jabłonowskiemu marzeń o samodzielnym objęciu tronu w Polsce. W realizacji tego zamysłu Jabłonowski miał postawić *wszystko na dwie karty: Marię Kazimierę i Polignaca; otaczał śmiertelnie chorego towarzysza młodości obłudną przyjaźnią już choćby dlatego, żeby jego najstarszego syna trzymać z dala od ojca i od matki, od dworu i od następstwa tronu.*⁷ Niezależnie jednak od ambicji politycznych ojca i kwestii jego szczerości względem Jana Sobieskiego, młody Jabłonowski pozostawał oddany swemu ojcu. Nie podejmuje żadnych samodzielných działań, a od czasu jego ślubu z Joanną de Bethune wiadomo było powszechnie, że Jabłonowscy związali się jeszcze bardziej ze stronnictwem francuskim.

Po śmierci Jana III Sobieskiego, początkowo popiera syna wybitnego króla i wodza, Jakuba Sobieskiego, który ostatecznie zostaje pozbawiony szans na objęcie tronu polskiego. Brak energii i wahanie młodego Sobieskiego zostają dostrzeżone przez Stanisława Jabłonowskiego. W okresie bezkrólewia Jabłonowski brał także udział



Jan Tricius - Jan III Sobieski z synem Jakubem

w komisji, której zadaniem było zlikwidowanie konfederacji wojskowej B. Baronowskiego. Ostatecznie Jabłonowscy wycofują swe poparcie dla Jakuba Sobieskiego i przechodzą do obozu kandydata z Saksonii. Wybrany królem August II Wetlin (August II Mocny) zostaje powitany przez Jana Stanisława Jabłonowskiego uroczystą mową łacińską w Tarnowskich Górach. Jemu również przypada zaszczyt poprowadzenia Augusta na koronację do Krakowa. Jak należy sądzić, lata edukacji i zdobycie światowego obycie procentują w tym czasie szczególnie.

Znajomość języka francuskiego, który w tamtym czasie był językiem międzynarodowym, ułatwia mu kontakty z królem, którego gorącym zwolennikiem zostaje Jabłonowski na wiele lat. W 1697 r. zostaje za wierną służbę nagrodzony urzędem wojewody ruskiego. Jak się wydaje, dobrze sprawdzał się w różnych misjach dyplomatycznych jako tłumacz, ponieważ wraz ze swym ojcem uczestniczył w tajnych rozmowach Augusta II z carem rosyjskim Piotrem I. Powitał cara w Rawie Ruskiej w sierpniu 1698 r., a następnie był świadkiem wielu zakulisowych wydarzeń tamtego czasu, które przedstawił później w swych wspomnieniach. Opisał te wydarzenia w diariuszu: *Było to po świętym Janie o ćwierć mili od Rawy wsiedli hetmani i panowie na koń, z półtora tysiąca wybornej kawalkady było. Zastaliśmy na rynku Rawy rozbite królewskie namioty, przytknięte do tyłów domów żydowskich, w których król i car stali. W namiotach król czekał i przyjął hetmanów. Po krótkim dyskursie rzekł memu ojcu król: ten mój gość jest to dziki mąż, pójdę do niego siła pozwoli wnieść z waszmość panów. Wrócił się król, że nie chce*

5. K. Sarnecki, *Pamiętniki z czasów Jana Sobieskiego. Diariusz i relacje z lat 1691-1696*, oprac. i przygot. do druku J. Woliński, Wrocław 1958, s. 56.

6. Ibidem, s. 37.

7. O. F. de Battaglia, *Jan Sobieski, król Polski*, Warszawa 1983, s. 367.

być car widzianym tylko od hetmanów i senatorów, poprowadził tedy nas tyłem domów do domu, gdzie był car i tylko ośmiu nas puszczono i mnie, bom był wojewodą ruskim.⁸ Po powitaniu i okolicznościowych komplementach Zaraz król wziął cara do inszego domu i nas, cośmy go widzieli, na obiad. Siedzieli we środku, po prawej ręce król, po lewej car pretendując incognito tajemnicy; od króla mój ojciec my Polacy senatorowie; od cara jego posłowie i jenerałowie sascy. Pierwsza sztuka, upiliśmy się.

Jak wynika z dalszych zapisów Jabłonowskiego: Tydzień cały przemieszkivaliśmy pod oczyma tych monarchów, a nasze nie były tak doskonałe, żebyśmy dojrżeli, co oni robili nader sekretnie ligując się bez Rzeczypospolitej na tę wojnę szwedzką nieszczęsną. Jednak dla jakiego pozoru wziął nas król hetmanów samych z carem na konferencję, bez żadnych cudzoziemców. Mnie uczynił honor, abym był tłumaczem dla francuskiego i ruskiego języka.⁹



Stanisław Jan Jabłonowski

Jabłonowski wspomina zawsze swego ojca z niezmiennym szacunkiem. Zawdzięczał mu wszystko na początku swej politycznej kariery, zaś rok 1698 był czasem wtajemniczenia w arkan wielkiej polityki. Następne lata przyniosły niezbyt fortunny udział w kampanii antytureckiej na Podolu, w 1701 r. wybrano go do komisji, której zadaniem było ustalenie nowej granicy po wojnie. W 1700 roku ukazał się poetycki debiut Jana Stanisława Jabłonowskiego - „Zabawa chrześcijań-

ska”, pierwsze ważne dzieło religijne, z którego pochodzi „Mesjada”.

W czasie wojny północnej zbliżył się do stronnictwa Sapiechów, a nawet stanął na czele oddziałów koronnych przysyłanych im z pomocą przez starszego Jabłonowskiego. O jego działaniach wojennych świadczą następujące dokumenty: *Actus Komisyye Hybernowej Lwowskiej po szczęśliwej koronacye Najjaśn. Króla Augusta II-go po odprawionym Kole Generalnym Wojska pod Rawą*, z roku 1698. Zgodnie z zapisem zawartym w tym dokumencie, Jan Stanisław Jabłonowski, wojewoda ruski dowodził regimentem, któremu przysługiwało 400 porcji. W rok później, kiedy to sejm uchwalił przejście wojska na stopę pokojową i obniżenie komputu koronnego do 1800 i litewskiego do 6000.¹⁰

Actus Komisyye Hybernowej zawierający informacje o jednostkach komputu koronnego wspomina o regimencie wojewody ruskiego, chorążego koronnego i starosty bohusławskiego, który liczył 600 porcji. Ta niewielka obniżka etatu wojska zostaje wyrównana w 1702 r. Jednocześnie, jak zauważa J. Wimmer w *komputcie tego roku widzimy znaczne ujednolicenie składu większych jednostek, zwłaszcza jazdy*.¹¹ Komput wojska z roku 1702 zawiera informację o regimencie Jana Jabłonowskiego, wojewody ruskiego pośród regimentów pieszych z adnotacją, że przysługiwało mu 200 porcji. Na przełomie lat 1701 i 1702, w czasie zimowych leży wojsk, partia wołyńska pod dowództwem cześnika trembowelskiego, regimentarza Poniatowskiego, w swym składzie zawierała chorągiew huzarską wojewody ruskiego Jana Jabłonowskiego w liczbie 60 koni, a wojsko spędziło zimę w starostwie krzemienieckim. Komput wojska z roku 1705 zawiera informację o regimencie złożonym z dwóch chorągwi wojewody Jabłonowskiego.

Kolejne wydarzenia wojny północnej z roku 1706 przynoszą już znacznie bardziej dramatyczne wydarzenia z udziałem naszego bohatera. Kiedy król August II wycofuje się do Krakowa, by tam zgromadzić wojska i naprawić mury miejskie, oprócz wojsk saskich, w mieście tym znalazły się

8. J. S. Jabłonowski, *Pamiętnik Jana Stanisława Jabłonowskiego wojewody ruskiego, z autografu wydał August Bielowski*, Lwów 1862, s. 57.

9. Ibidem, s. 58.

10. J. Wimmer, *Wojsko Rzeczypospolitej w dobie wojny północnej*, Warszawa 1956, s. 135.

11. Ibidem, s. 141.

także siły koronne. Udało im się wymknąć Szwedom i pod dowództwem hetmana polnego Sieniawskiego dotarli do Krakowa. Król przekształca Kraków w swoją bazę operacyjną, ale armia koronna jest już bardzo osłabiona na skutek zdrady wielu dowódców po serii niepowodzeń zimą i wiosną 1706 r. Do grona tych zdrajców musimy również zaliczyć Jana Stanisława Jabłonowskiego.

Jak się wydaje, w pierwszym etapie wojny północnej nie przyłączył się do opozycji antykrólewskiej. W 1702 r. usiłował ratować sejm przed zerwaniem, a następnie stanął na czele pospolitego ruszenia województwa ruskiego, które doprowadził do zjednoczenia z wojskami królewskimi, ale już w czasie najazdu M. Stenbocka na Ruś zajął stanowisko dwuznaczne, gdyż poddał się w celu ochrony swych dóbr. W tym samym roku brał udział w radzie lwowskiej. Plonem tego przedsięwzięcia było zorganizowanie akcji odwetowej przeciwko Palijowi. Ponownie wystąpił w obronie swych własnych interesów, gdyż kozackie powstanie stanowiło poważne zagrożenie dla jego majątków ziemskich. Rok 1702 przyniósł także śmierć ojca, Stanisława Jana Jabłonowskiego i konieczność zarządzania dziedzictwem. Spadek był wcale poważny, gdyż obejmował siedem miast i miasteczek oraz dziewięćdziesiąt pięć wsi. Jak się okazało, te dobra były poważnie zadłużone. Przedsięwzięciom gospodarczym Jabłonowskiego nie sprzyjała również ta okoliczność, że część jego starostw została opanowana przez powstanie Palija. Skuszony obietnicą objęcia nowego starostwa, Jabłonowski na sejmie lubelskim w 1703 r. popierał projekt zwiększenia podatków na wojsko. Następny rok upływa pod znakiem poparcia dla króla - jako rzecznik Augusta II, Jabłonowski występuje na radzie senatu w Krakowie, podpisuje konfederację sandomierską oraz uczestniczy w radzie w Łańcucie. A jednocześnie przecież jego nazwisko pojawiło się w gronie kandydatów wysuwanych do objęcia tronu po detronizacji Augusta II Wettina. Na początku 1704 r. konfederaci warszawscy ogłosili jego kandydaturę, a jak się później okazało Jabłonowski, choć oficjalnie występował jako lojalny współpracownik króla, nie wahał się zawrzeć z nimi tajnego porozumienia już w 1703 r.

O zmianie jego politycznej orientacji opinia publiczna dowiedziała się dopiero w 1706 r., w cza-

sie wyprawy króla szwedzkiego Karola XII na Wołyń, kiedy to wojewoda ruski udzielił submisji swemu siostrzeńcowi Stanisławowi. Ponownie kierowała nim chęć ochrony swych dóbr w bardzo niepewnej sytuacji, ale od tego czasu datuje się trwała zmiana poglądów - Jabłonowski udziela poparcia Stanisławowi Leszczyńskiemu. Wkracza wraz z wojskami szwedzkimi do Saksonii, gdzie podpisuje, jako pełnomocnik Leszczyńskiego, tajny traktat altranztadzki w dniu 24 września 1706 r.

W tym czasie polityczna kariera Jabłonowskiego sięgnęła szczytów, zostaje bowiem mianowany kanclerzem wielkim koronnym. Przez rok przebywał w Saksonii, prowadząc energiczną akcję polityczną na rzecz uznania Leszczyńskiego królem Polski. Jeździł także do Opawy, do nuncjusza papieskiego, gdyż pragnął zapewnić swemu siostrzeńcowi poparcie papieża Klemensa XI. Starał się, by sandomierzanie poparli Leszczyńskiego, nie szczędził starań, by pogodzić go z Sobieskimi, rodziną, z którą łączyły Jabłonowskich tradycyjnie dobre relacje. Z wojskami szwedzkimi udał się do Wielkopolski, a następnie na Litwę na jesieni 1707 r. Konsekwentnie opowiadał się za porozumieniem z sandomierzanami, co wyraził na radzie malborskiej w 1708 r. Nie zaniechał działań zmierzających do zapewnienia Leszczyńskiemu militarnego poparcia. W tym celu już na początku następnego roku jeździł do Elbląga, aby przyspieszyć wymarsz wojsk szwedzkich pruskich twierdz i z Pomorza Szwedzkiego. Miały one udzielić pomocy Leszczyńskiemu generałowi Krassauowi. Nie zaniechał akcji politycznej o międzynarodowym charakterze: starał się wywierać wpływ na króla pruskiego Fryderyka I, by zgodnie ze złożonymi wcześniej obietnicami przeszkodził Augustowi w powrocie do kraju. Ponoć wówczas miał zachęcać pruskiego władcę do tego kroku propozycjami pewnych cesji terytorialnych.

Po pokoju w Postawie, wraz z podkanclerzym S. Szczuką i T. Potockim, usiłował skłonić hetmana A. Sieniawskiego do wyrażenia zgody na ponowną elekcję. Jabłonowskiego aresztowano w Warszawie. Udało mu się jednak uniknąć niewoli rosyjskiej, a dzięki amnestii został uwolniony. Jego dalsze działania polityczne będą wyrazem podwójnej gry względem króla. Oficjalnie, na radzie walnej w Warszawie w 1710 r. Jabłonowski pod-

porządkował się Augustowi II, ale prowadził tajne działania na rzecz Leszczyńskiego. Pozostawał w łączności z ludźmi przygotowującymi powrót Leszczyńskiego do kraju, a także z popierającymi go w Polsce wojewodami Wiśniowieckim i A. Tarłą. Do bardziej jawnych działań ośmieliło Jabłonowskiego poparcie tatarsko-tureckie udzielone obozowi stanisławczyków. Wybrany na radzie walnej komisarzem do trybunału skarbowego, starał się wykorzystać swe stanowisko i wpływy do wzbudzenia wrzenia w szeregach wojsk koronnych w czasie obrad trybunału. Liczył na możliwość połączenia sił koronnych z oddziałami Krzysztofa Urbanowicza sprowadzonymi z Turcji na Podole w lutym 1712 r. Pomagał staroście Janowi Grudzińskiemu w czasie jego wyprawy na terytorium Polski. Starał się o zerwanie sejmu 1712-13, a kusząc Turków i Tatarów obietnicami zdobyczy terytorialnych, przekonywał ich, że gdy tylko z wojskami Leszczyńskiego staną w pobliżu granicy, zostaną poparci przez cały kraj. W 1713 r. usiłował doprowadzić do pospolitego ruszenia szlachtę ruską, wzywał do wystąpień zbrojnych inne województwa. Nie zaniechał działań międzynarodowych: starał się o poparcie dworu wersalskiego, Londynu i Berlina. A gdy Leszczyński wyrażał zniechęcenie i chęć oddania korony, Jabłonowski zaproponował wybór na króla Polski Franciszka Rakoczege.

Wszystkie swe akcje dyplomatyczne prowadził wojewoda ruski nieostrożnie, stale inwigilowany przez szpiegów saskich, nie zważając na płynące ostrzeżenia. Został aresztowany w klasztorze Bonifratrów w Warszawie, dopiero w czasie zagrożenia inwazją turecko-tatarską. Podstawy do aresztowania dostarczyły zeznania jego osobistego sekretarza W. Wojczyńskiego. Jabłonowski próbował zniszczyć kompromitującą go korespondencję, ale ostatecznie to mu się nie udało. Listy te dostały się w ręce króla jako ostateczny dowód jego zdrady. August II poinformował o wszystkim szlachtę. W kraju panowało wzburzenie z powodu groźby tureckiej inwazji, losy Jabłonowskiego w obliczu takiego zagrożenia nikogo nie obchodziły. Początkowo miał być osądzony w Elblągu, ale ostatecznie bez sądu wysłano go do twierdzy w Koenigsteinie. Było to cieszące się powszechnie złą sławą więzienie, w którym przebywali przeciwnicy polityczni króla.

Na zesłaniu przybywał Jabłonowski od końca sierpnia 1713 do grudnia 1716 r. Był to okres intensywnej pracy literackiej, w tym czasie Jabłonowski oddawał się refleksji religijnej, co znajduje wyraz w twórczości tamtego okresu. Oprócz dzieł religijnych, takich jak *Myśli i refleksje pewnego penitenta* i *Modlitwy na Post Wielki i dnia jego* 47 powstały także bardziej znane dzieła *Historia Telemaka*, *Syna Ulissesa z francuskiego polskim wierszem przetłumaczona* oraz *Ezop nowy polski*, również przekład.



August II Mocny

Proponował swe usługi królowi Augustowi II, między innymi chciał prowadzić mediacje w sporze z konfederatami tarnogrodzkimi. W czasie pobytu w więzieniu powstał obraz namalowany przez Georga Boehma. Jest to dzieło interesujące z kilku powodów. Po pierwsze, choć obraz namalowany przez malarza o przeciętnym talencie, nie przedstawia dużej wartości artystycznej, to jednak powstał w czasie usilnych starań przyjaciół Jabłonowskiego o uwolnienie. Wydarzenie to było głośne w Europie dzięki staraniom rodziny i przyjaciół pisarza. Przypomnijmy, że w więzieniu bez sądu znalazł się człowiek w kwiecie wieku, sprawujący dotychczas ważne funkcje państwowe, a jednocześnie nie pozbawiony ambicji artystycznych, który w swej rezydencji urządził wspaniałą rokokową bibliotekę. Pióro to stało się wołaniem o pomoc, oskarżeniem niesprawiedliwości królewskiej, przyjęło funkcję i kształt tablicy komemoracyjnej lub epifanijnej. Postać została przedstawiona realistycznie, mężczyzna w ubogim stroju, patrzy na widza, a lewą rękę przyciska do piersi. W jego prawej dłoni widzimy pergaminowy dokument, na którym

widnieje szlachecki herb. Ale nie jest to herb Jabłonowskich Prus III, lecz jak podaje A. Ryszkiewicz „zniekształcona Nowina”.¹² Ta pomyłka wynikała z nieznamomości heraldyki niemieckiego malarza Boehma. Na karcie tej znajduje się także łaciński napis rozpoczęty inwokacją zaczerpniętą z Księgi Hioba: *A iżbyś mi zamierzył kres, kędy chcesz wspomnieć o mnie*. W dalszej części pergaminu znajduje się napis o treści następującej: *Na gorzkie wspomnienie Jana hrabiego Jabłonowskiego wojewody generalnego ruskiego w Koenigsteinie namalowany przez Georgia Boehma 6 stycznia 1714 roku*.¹³

O jego działalności literackiej w tamtym okresie pisał A. Bielowski następująco: *Wyrwany z łona rodziny i przyjaciół, z gwarliwego, publicznego życia nagle w samotnej kaźni osadzony szukał w cierpieniach swoich ulgi i rozrywki i znalazł je w zajęciach umysłowych.*¹⁴

W okresie po zwolnieniu z więzienia, Jabłoński, jak o jego działalności w późnym okresie życia pisał Władysław Konopczyński: *Wyszedł na wolność skruszony, żałujący i już do żadnej akcji niezdolny. Wrócił tedy do pióra, (...) a swój zły humor po różnych życiowych niepowodzeniach, zwłaszcza po okropnym zadłużeniu majątków, wylał na papier w „Skrupule bez skrupułu w Polsce...”*¹⁵, moralizatorskim dziełku, jednym z najsłynniejszych utworów wojewody ruskiego. W 1719 roku ukazał się zbiór modlitw „Nowa decenna do św. Franciszka Ksawerego”, który zawiera teksty zebrane, zarówno oryginalne, jak i tłumaczone, związane z kultem tego świętego, którego Jan Stanisław Jabłoński wybrał sobie jako patrona w przeciwnościach życiowych.

Po zwolnieniu z więzienia wyrażał swą lojalność wobec króla, popierał politykę królewską na sejmach 1718-1720, a nawet starał się ograniczyć wpływy hetmańskie na sejmiku wiszeńskim. Był oskarżany o podpisanie zgody na regencję vivente

rege królewicza saskiego. W tym okresie opowiadał się przeciwko wojnie z Turcją w 1718 r., a w dwa lata później był niechętny współdziałaniu ze Szwecją. W tym też czasie prowadził intensywną akcję w celu poprawienia swych warunków materialnych: domagał się od króla zwrotu kosztów więziennych, a jednocześnie starał się odzyskać nakłady pieniężne poniesione jeszcze przez jego ojca w czasie wojny tureckiej. Chociaż już w 1703 r. uzyskał na sejmie obietnicę wyrównania tych kosztów, odzyskał część funduszy od miast pruskich. Poprzez instrukcję sejmiku wiszeńskiego i halickiego, bezskutecznie zabiegał o oddanie reszty pieniędzy.

Ostatni etap życia Jabłonowskiego od uwolnienia z twierdzy Koenigstein w roku 1716 wypełniają inne prace literackie. Jabłonowski spisuje swe wspomnienia, które dokumentują początki jego politycznej kariery. Szkoda, że nie udało mu się zrealizować wszystkich zamierzeń. Jak pisał August Bielowski, autor pisanie „Pamiętnika” zaledwie przez krótki przeciąg czasu przeprowadziwszy, nagle urwał, i nie ma śladu, iżby go więcej pisał. Zapewne przeszkodziły mu choroby, podeszłemu wiekowi zwykle towarzyszące¹⁶, dodaje również, że z tych właśnie lat pisma jego mają największą wartość.¹⁷



Matka Boska Sokalska

Pozostawił po sobie *Historię obrazu Najświętszej Maryi Panny*, wydaną w 1724 roku specjalnie na koronację tego maryjnego wizerunku. Dziełko traktujące o historii sanktuarium nazywanego „ruską Częstochową” zostało wzbogacone

12. A. Ryszkiewicz, *Portret brodatego magnata*, „Spotkania z Zabytkami”, s. 16.

13. Treść napisów podaję za A. Ryszkiewiczem, zob. i.w.

14. A. Bielowski [wstęp do:] J. S. Jabłonowski, *Pamiętnik...*, s. 29.

15. W. Konopczyński, *Polscy pisarze polityczni XVIII wieku (do Sejmu Czteroletniego)*, Warszawa 1966, s. 61.

16. A. Bielowski [wstęp do:] J. S. Jabłonowski, *Pamiętnik...*, s. 38.

17. Ibidem. s. 29.

specjalnym zbiorkiem modlitw. Autor podkreślił w nim wkład członków swojej rodziny w rozwój tego ośrodka kultu maryjnego.

Pod koniec życia, pozbawiony wpływu na politykę państwa, nie odgrywał większej roli w życiu publicznym. Mógł jednak kontaktować się z przebywającym na wygnaniu zdetronizowanym królem Stanisławem Leszczyńskim. Wiadomo, że w 1724 r. Leszczyński chciał mu przekazać pełnomocnictwa zarządzania swoimi dobrami w Polsce. Po małżeństwie córki Leszczyńskiego, Marii z królem Francji, Ludwikiem XV, wysłał swoją córkę na dwór nowej francuskiej królowej. Jabłonowski również wiązał pewne nadzieje z tym niespodziewanym sukcesem byłego króla Polski. Dał im wyraz w specjalnej edycji jednego ze swych utworów religijnych. Do kolejnego wydania *Traktaciku o Boskiej Opatrzności*, jednego ze swych późnych dzieł religijnych z roku 1727, dołączył specjalny dodatek, w którym przedstawił czytelnikom te wydarzenia historyczne: *O dziwne drogi Boskie! O profunditas sądów Boskich, przepaściwa woli Boskiej manudukcja! Aż ten, którego córkę najpierwszy chrześcijaństwa król najmożniejszy wziął za żonę.*¹⁸

Przypisuje się Jabłonowskiemu autorstwo antysaskiego paszkwilu pt. *List pewnego senatora zostającego w Dreźnie*. Zapewne jednak nie zdążył się zaangażować w akcję na rzecz ponownej elekcji Stanisława Leszczyńskiego, gdyż śmierć zaskoczyła go 28 kwietnia 1731 r. Pozostawił po sobie spuściznę literacką w dużej mierze niezbadaną, zwłaszcza jeśli chodzi o dzieła religijne. W opinii współczesnych zapisał się jako dobry mówca, choć zgodnie z duchem epoki można w nich odnaleźć duże nagromadzenie makaronizmów.

Jan Stanisław Jabłonowski jest jednym z reprezentantów epoki późnego baroku, którego dorobek odzwierciedla ducha tamtych niespokojnych politycznie czasów. W jego dziełach możemy odnaleźć różnorodne formy religijności tamtych czasów, od wyrafinowanych rozważań po nawiązania do religijności popularnej i masowej.

Katarzyna Sobczyk

Stanisław Bojarczuk



Do polanki

Polanka, zachwyt leśnych zarośli, ustroni.
W jesiennym słońcu drgania erotyczne mżą się.
Zapóźnionych nieśmiały brzęk pszczołek na wrzosie,
nim tę późną kwieć wczesny przymrozek uszroni.

Leszczyna żółcusienniekie orzechy z się roni.
Krówki pasą się wolne od much, już nie gżą się.
Tu skromniutką przyłasczkę, uwielbiałem Zosię,
z unimbieniem warkoczy płowych u jej skroni.

Byłże to jakiś urok, zaklęcie, czy czary?
Sam na sam pędząc chwilę z tak miłą osobką,
sam na sam młodzusiennych kmiecych dzieci pary.

Erosem był syn chłopki, Psyche - córą chłopką.
Ona z koszykiem rydzów, on z orzechów krobką
czerwono-żółcusiennych jak złote talary.

II

Promień słońca uśpiwszy dzieciństwo świtania,
szedł budzić po zaroślach jesienne rozkosze.
„Czyjaś, czyjaś?” - kwoktają kuropatw kokosze.
U mrowisk ciche szpasiach flecików świstania.

W tym salonie zachęty, flory okwitania,
gdzie w woni najczyściejszej nawet myśli zdrowsze,
o przyłasczkę osnute, marzenia najdroższe
szły pastusie sielanki, żałośnie rozstania.

Zawdzięczać to przyrody pięknu i jej ciału
czyniącemu z swych piersi dla moich oparcie,
żem zachował gorliwą cześć dla Idealu.

Czyje to dały moce, anielskie, czy czarcie?
Trudno może dziś dociec, tych uniesień szalu...
Jeszcze trudniej wyrazić je w sonetów karcie.

Rońsko, X 1869 – 1934

18. J. S. Jabłonowski, *Traktacik o Boskiej Opatrzności z addytamentem nowym...*, [Lwów] 1727, s. 123.

Agnieszka Szykuła-Żygawska

Wędrowne trupy teatralne w XIX-wiecznym Krasnymstawie



W numerze 10. Czasopisma Artystycznego „Nestor” znajduje się artykuł na temat teatru jezuickiego w Krasnymstawie, działającego w latach 1732-1750. Funkcjonował on najpewniej przy kolegium jezuickim, wpływając na wyższy poziom wykształcenia abiturientów.¹

W literaturze znajdują się informacje na temat XIX-wiecznych świeckich teatrów odwiedzających Krasnymstaw. Były to teatry przyjezdne, grywające zapowiedziane odpowiednio wcześniej sztuki.²

Repertuar zespołów teatralnych większości miast i miasteczek ówczesnego Królestwa Polskiego ukladał się w zależności od premier warszawskich, o których mieszkańcy dowiadawali się z prasy.

Odnotowuje się kilka trup teatralnych działających jeden lub więcej sezonów w Krasnymstawie. Zdarzało się, że artyści, widząc większe zainteresowanie wśród odbiorców, decydowali się pozostać dłużej. Odnotowano, że udzielali korepetycji, współuczestniczyli w życiu kulturalnym miasta.

Traktowanie odtwórców ról z tamtych czasów miało niewiele wspólnego z sytuacją aktorów obecnie.³ Ich tułaczkie życie, egzystencja w niepewności dni, wpływały negatywnie na ogólną kondycję. Praca w ciężkich warunkach powodowała uszczerbki na zdrowiu. Najczęściej ci aktorzy nie mieli domu ani stałego miejsca zamieszkania,

a ich honoraria były uzależnione od szczodrości dyrektorów teatrów. Po wycofaniu się z życia zawodowego, aktorzy z większych miast najczęściej mieszkali w domu starców, biedniejsi trafiali do przytułków.⁴

Gdzie grywano?

Brakowało w mieście teatru, więc sale na potrzeby przyjezdnych trup wynajmowano. Na te cele przeznaczone były największe pomieszczenia na pierwszym piętrze tzw. „domu Cieszkowskiego”, zlokalizowanego we wschodniej części krasnostawskiego rynku. Tak oto opisywano salę, w której prezentowane były sztuki: *salka niewielka i dosyć niska, tak że podniesienie sceny zaledwie wynosiło trzy czwarte łokcia. Sześć ławek, kilka krzeseł i parę łokci parteru w samej głębi stanowiły wszystkie miejsca.*⁵

Grywano również w ujeżdżalni wojskowej, a nawet w należących do wojska stajniach. Oto jak jeden z aktorów opisywał to wnętrze zaadaptowane na potrzeby sali widowiskowej: *materiału [...] dostarczyła pewna wdowa za bardzo małą opłatą, a kozły pod scenę i choina do umajenia ścian zwiezioną była z lasu miejskiego. Materiał świeży i szybkie budowanie stały się przyczyną [...] wypadku. [...] że po paru tygodniach drzewo wyschnąwszy, obluźowało zamki i scena wśród przedstawienia runęła. [...] Ja, grając Organistę, w chwili gdy w tańcu wychodziłem na czele gromady wieśniaków, z dzbankiem w rękę wzniesionym, zostałem sam jeden na środku zapadającej sceny, bo wszyscy inni, czując usuwanie się, szybko umknęli, obawiając się wypadku.*⁶ Na potrzeby sali widowiskowej docelowo adaptowano długą salę szpitalną w dawnym klasztorze Jezuitów.⁷

Na początku XIX wieku Krasnymstaw odwiedziła trupa Baura. Wiadomo, że w 1828 roku przybyli tutaj z Lublina, z repertuarem pantominy „czarodziejsko-baletowej” Jan Aśnikowski i nieznanzy z imienia Brzeziński. Obawiali się początkowo

1. A. Szykuła-Żygawska, *XVIII-wieczny teatr jezuicki w Krasnymstawie*, „Nestor”. Czasopismo Artystyczne, 10, 2011, s. 10-11.

2. Informacje pochodzą z artykułu Ludwika Dembińskiego, *Teatr w Lublinie i teatry w Lubelskiem 1860-1880* opublikowanym w „Pamiętniku Lubelskim” z 1930 roku (T. I, s. 343-346) oraz pamiętnika Stanisława Krzesińskiego, który grywał w Krasnymstawie, zatytułowanego *Koleje życia, czyli materiały do historii teatrów prowincjonalnych*, opracowanego przez Stanisława Dąbrowskiego (Warszawa 1957). Arturowi Borzęckiemu dziękuję za udostępnienie części materiałów, na których oparłam opracowanie.

3. S. Krzesiński, *Koleje życia, czyli...*, s. 9.

4. Tamże, s. 8.

5. Tamże, s. 62.

6. Tamże, s. 149.

7. W literaturze podano, że grywano w salach bernardynów - chodzi tutaj o sale klasztorne należące pierwotnie do zgromadzenia jezuitów.

przyjęcia takiego repertuaru, szybko zyskali przychylność, zwłaszcza oficerów i wojska stacjonujących w Krasnymstawie.



Stanisław Krzesiński, aktor który grywał wraz teatrem przyjezdnym w Krasnymstawie w połowie XIX wieku, autor dziennika, w którym opisuje XIX-wieczny Krasnystaw, reprodukcja: S. Krzesiński, „Koleje życia, czyli materiały do historii teatrów prowincjonalnych”, oprac. S. Dąbrowski, Warszawa 1957

W latach 30. pozostawali w Krasnymstawie znani tylko z nazwiska aktorzy, Łapiński i Salomonowiczówna oraz Stanisław Krzesiński, utrzymując się z udzielanych lekcji tańca i śpiewu. Przybyli tutaj na prośbę pułkownika drugiego pułku ułanów, Józefa Dwernickiego. Tak oto opisywali Krasnystaw: [...] *miasto obwodowe, dość rozległe zabudowane, ale niewielkie, jednakże wszystko tu świadczyło o jego starożytności i niegdyś zamożności. Stały tu jeszcze zwaliska w stylu gotyckim kościoła unickiego, przylegającego do zamku. Dookoła rozlegały się szczątki starych, fortecnych murów, bliżej rzeki Wieprza był także spustoszały kościół farny, w którym teraz był skład siana i słomy wojskowej. W drugim końcu miasta jest piękny kościół murowany, stylem naśladujący bazylikę rzymską, niegdyś jezuicki, dziś bernardyński i zarazem farny. Klasztor w części zamieniono na szpital. Za miastem stał skromny kościółek otoczony murem i klasztorem Ojców Augustianów.*⁸

Wiadomo, że w sezonie zimowym grywano również w kościele Jezuitów, w którym *jeszcze było całe zabudowanie wielkiego ołtarza. Uprzątnięcie znacznej ilości znajdującego się tu siana i oczyszczenie niemało zajęły czasu. Zbudowaliśmy scenę nie tak już dogodną.*⁹

Aktorzy zatrzymywali się m.in. w krasnostawskiej oberży, tak opisywanej: *każdy wypakował się do ciepłego numeru i spoczywał do południa w dobytej pościeli, byle się wygrzać. I moje położenie z dziećmi było nie najprzyjemniejsze. Szczęściem, że gospodyni zajazdu, która utrzymywała oberżę, była razem czułą i dobrą matką, więc od razu pojęła moje położenie i z wszelką możliwą pomocą pospieszyła i przez cały ciąg naszej bytności w Krasnymstawie dawała mi dowody swej życzliwości. Bo też i aktorowie prawie wszyscy w jej domu mieszkając, niezły dochód przynosili.*¹⁰

Warto odnotować, że w 1828 roku zmarł w Krasnymstawie uznany aktor Kochanowski.

Trupa Adama Chelchowskiego

W sierpniu 1832 roku grywała w Krasnymstawie spektakle trupa Adama Chelchowskiego. W związku z miłym przyjęciem, aktorzy zdecydowali się pozostać tutaj na zimę. Przez ten okres pokazywali z powodzeniem sztuki w czwartki i niedziele, w salach zakonnych. We wtorki natomiast generał Słotwiński angażował trupę do prezentacji sztuk w swym domu („dom Cieszkowskiego”). Odbiorcami spektakli była najbliższa rodzina i znajomi. W tej samej sali, po przedstawieniu urządzano tańce, a aktorzy zostawali często na wieczerzę. W związku z tym, Chelchowski zaangażował do prezentacji pochodzącego z Chełma aktora, Adama Tarnowskiego (późniejszego dyrektora Teatru Rozmaitości w Warszawie), który był również korepetytorem muzycznym, oraz waltornistę Englerta (przypuszczalnie spokrewnionego z Englertami, właścicielami majątku w pobliżu Chełma).

W dziennikach spisywanych przez jednego z aktorów zachowały się opisy życia towarzyskiego Krasnegostawu z 1. połowy XIX wieku. Autor wspomina, że oprócz aktorów i akompaniamentu

8. S. Krzesiński, *Koleje życia, czyli...*, s. 62.

9. Tamże, s. 151.

10. Tamże, s. 401.

tujących im podczas sztuk muzykusów, do miasta przyjechał wraz z trupą również Żyd, który roznosił afisze i dowcipami zachęcał do odwiedzenia widowisk przyjezdnego teatru.¹¹

Trupa Pawła Ratajewicza

Aktorzy, pod kierunkiem Pawła Ratajewicza, przybyli do Krasnegostawu z Lublina w 1860 roku. Od 16 maja tego roku dali tutaj 14 spektakli.

Trupa Jana Okońskiego

W 2. połowie XIX wieku do Krasnegostawu zawitał teatr pod kierunkiem Jana Okońskiego. Artyści przyjechali z Chełma lub Hrubieszowa. Dla krasnostawian zaprezentowali następujące sztuki: „Damy i huzary”, „Objadek z Magdusią”, „Wujaszek całego świata”, „Icek zapieczętowany”, „Majster i czeladnik”, „Łobzowanie”, „Okno na 1em piętrze”, „Młynarz i kominiarz”, „Radcy pana radcy”, „Czuła struna”, „Mizantrop i druciarz”, „Trzy wizyty” oraz „Szlachta czynszowa”.

W teatrze Jana Okońskiego, oprócz niego grali jego syn Apollo, Adam Bulwiński, Feliks Stobiński, Czesław Ostrowski, Stanisław Bielak, Maria Okońska, Wanda Drozdowska, Matylda Perchorowicz, Aniela Ostrowska i Maria Bulwińska.

Teatr musiał zyskać uznanie, skoro aktorzy po wyjeździe w latach 60. zdecydowali się tutaj powrócić. Wiadomo, że w dniach od 23 listopada do 12 grudnia 1873 roku trupa Okońskiego dała 16 przedstawień. Grali też w zimie kolejnego roku. Prezentacje odbywały się w namiocie rozbitym w klubie obywatelskim. Na „deskach” teatru można było zobaczyć oprócz Jana Okońskiego: 23-letniego Apolla Okońskiego, Edwarda Ostrowskiego (25 l.), 38-letniego Juliana Drozdowskiego, Marię Okońską (60 l.), Marię Bulwińską (35 l.), Anielę Ostrowską (26 l.), Wandę Drozdowską (34 l.), Feliksa Stobińskiego (39 l.), Czesława Kowalskiego (17 l.) i Matyldę Perchorowicz (36 l.).

Zespół po kilku latach przestał grać w Krasnymstawie, ale część aktorów pozostała w mieście. Dali oni przedstawienie tylko raz, pod dyktando Stobińskiego. Zaprezentowali trzy sztuki:

„Zosia druhna”, „Ciężkie pytanie” i „Trafiła kosa na kamień”.

Repertuar trupy Jana Okońskiego: „Płaczące żony”, „50 000 talarów”, „Piosnka wujaszka”, „Oszustwo”, „Uściskajmy się”, „Domowy werbel”, „Niedorostek”, „Ulicznik paryski”, „Stare grzechy”, „Doktor medycyny”, „Autor w kłopotcie”, „Objadek z Magdusią”, „Pan Jowialski”, „Nie bez przyczyny”, „Nikt mnie nie zna”, „Wielkie rzeczy, co mi tam”.

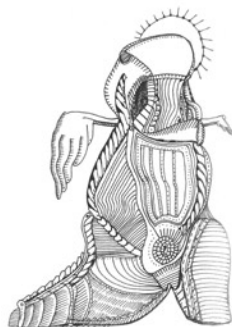
Trupa Wawrzyńca Kasprzykowskiego

W 1877 roku do Krasnegostawu przybyli aktorzy z trupy Kasprzykowskiego. Zespół tworzyli: Wawrzyniec Kasprzykowski (37 l.), Jan Kasprzykowski (18 l.), Edward Nowacki, Aleksander Buchholtz (23 l.), Konstancja Krawczyńska (30 l.) i Alojza Buchholtz (42 l.). Od 24 czerwca do 15 lipca pokazali w mieście cztery przedstawienia.

Repertuar trupy Wawrzyńca Kasprzykowskiego: „Lokaj w zalotach”, „Apetyt i zaloty”, „Dawne grzechy”, „Pokątny doradca”, „Trafiła kosa na kamień”, „Bartos spod Krakowa”, „Icek zapieczętowany”, „Qui pro quo”, „Stach i Zośka”, „Wojna z kobietą”, „Marcowy kawaler”.

Po wyjeździe z miasta tej grupy, nie grano sztuk. Odnotować należy tylko dwukrotny występ trupy Stanisława Brekera w 1879 roku. Aktorzy prezentowali swe umiejętności w sezonie od 5 czerwca do 25 lipca tego roku, w pomieszczeniach straży pożarnej w Krasnymstawie. W skład grupy wchodził: Stanisław Breker (40 l.), Katarzyna Breker (25 l.), Adolf Kurtz (15 l.), Edward Winkler (20 l.) i Antoni Poradowski (26 l.).

dr Agnieszka Szykuła-Żygawska



rys. R. Znajomski

11. Tamże.

Andrzej David Misiura

100 lat z pełną kasą



Odkrywając dzieje krasnostawskiej bankowości, nie można pominąć historii tego ruchu w innych częściach kraju. Nim więc przytoczę pierwsze lokalne nazwiska, warto przypomnieć kilka faktów i ciekawostek o szerszym zasięgu.

Najstarsze zorganizowane formy polskiej bankowości to spółdzielnie oszczędnościowo-pożyczkowe. Tworzyły się głównie z potrzeby wzajemnej pomocy społeczeństwa zubożonego przez zabory i nękanego lichwiarskimi praktykami. Taka nowatorska instytucja powstała już w 1816 roku i to całkiem niedaleko Krasnegostawu, bo w powiecie hrubieszowskim. To przedsięwzięcie pod nazwą Rolnicze Towarzystwo Wspólnego Ratowania się w Nieszczęściach stało się dziełem znanego reformatora oświecenia i pisarza, księdza Stanisława Staszica. Zasięgiem obejmowało 9 wsi i przedmieścia Hrubieszowa, 4 000 mieszkańców i obszar 12 000 mórg. Posiadało 500 zakładów tkackich, 3 młyny, 2 stawy, tartak, cegielnię, kuźnię, folusze, browar, wytwórnię wódek oraz karczmy w siedmiu wsiach, a co najważniejsze - miało swój bank, który udzielał pożyczek na rozwój rolnictwa, tworzenie zakładów rzemieślniczych i budowę murowanych domów.

Natomiast pierwszą polską spółdzielnią kredytową w zaborze pruskim było Towarzystwo Pożyczkowe dla Przemysłowców Poznania założone przez Mieczysława Łyskowskiego i Hipolita Cegielskiego w 1861 roku. W następnym roku powstały Kasy Oszczędności w Środzie Wielkopolskiej, Brodnicy i Golubiu. Później na tych terenach dominowały Spółdzielnie Oszczędnościowo-Pożyczkowe zwane bankami ludowymi, prowadzone na zasadach Schulzego z Delitzsch.

W zaborze austriackim funkcjonowały także tzw. towarzystwa zaliczkowe, wzorowane na bankach ludowych z zaboru pruskiego, oraz kasy oszczędnościowo-pożyczkowe oparte z kolei na zasadach Raiffeisena. Skupiały one zazwyczaj mieszkańców jednej parafii. Jako pierwsze powstało Miejskie Towarzystwo Pożyczkowe

w Brzeżanach w 1864 roku. Kolejne Towarzystwa Zaliczkowe powstały w Krakowie (1869), we Lwowie (1871) i w Cieszyńcu (1873), które skutecznie rywalizowało z silniejszymi czeskimi i niemieckimi instytucjami kredytowymi.

Znamienitą rolę w dziejach bankowości odegrał dr Franciszek Stefczyk (1861-1924). Absolwent Uniwersytetu Jagiellońskiego, naukę kontynuował w Wiedniu i Westfalii. Nie mogąc się pogodzić ze wszechobecną lichwą, która niszczyła szczególnie chłopów, zawiązał w Czernichowie z przyjaciółmi i miejscowym księdzem, pierwszą w Galicji Kasę Oszczędnościowo-Pożyczkową (1890 r.). Rewelacyjny rozwój tego przedsięwzięcia trwał 15 lat. Powstały wówczas 1 372 kasy na terenie 2,5 tysiąca gmin i skupiły przeszło 145 tys. członków. W 1908 roku założył nawet dla spółdzielni centralę pieniężną pod nazwą Centralna Kasa Spółek Rolniczych z oddziałami w Warszawie, Krakowie, Łucku, Wilnie i Toruniu. Dynamiczny rozwój przerwała I wojna światowa.



dr Franciszek Stefczyk (1861-1924)

Franciszek Stefczyk pełnił najwyższe funkcje w resorcie polskiej bankowości, odznaczony m.in. Krzyżem Obróńców Lwowa, Krzyżem Komandorskim Polonia Restituta. Niespodziewanie zmarł w rodzinnym Krakowie, a pochowany został na największym polskim Cmentarzu Łyczakowskim we Lwowie.

Załączki Banku Spółdzielczego w Krasnymstawie

Najstarsza w powiecie krasnostawskim instytucja bankowa, pod nazwą Towarzystwo Oszczędnościowo-Pożyczkowe, powstała 11 sierp-

nia 1898 roku w Siennicy Różanej. Była to pierwsza placówka zlokalizowana na terenach wiejskich zaboru rosyjskiego. Następna powstała dopiero za osiem lat w Żółkiewce (1906), potem w Gorzkowie (1909), Suchodolach gm. Fajslawice (1911), Krasnymstawie (1912) i w Turobinie (1922).

Rozpoczęcie działalności Banku Spółdzielczego w Krasnymstawie przyjmuje się na dzień 27 kwietnia 1912 roku, kiedy to w Petersburgu, minister skarbu zatwierdził wydaną w formie dwujęzycznej Ustawę Krasnostawskiego Towarzystwa Wzajemnego Kredytu. Już w pierwszym paragrafie odnotowane jest, że jego członkowie nie mogą być np. jednocześnie członkami innego towarzystwa. Sześciuosobową Radę Towarzystwa i trzyosobowy Zarząd powoływał na trzyletnią kadencję z członków wyłącznie wyznania chrześcijańskiego najwyższy organ ustawowy - Zebranie Ogólne. Natomiast każdy, kto przystępował do Towarzystwa składał w gotówce 10% od sumy przyznanego kredytu co budowało kapitał obrotowy. Najmniejsza pożyczka, jakiej udzielano to 200 rubli, a największa to jej 50-krotność.

9 kwietnia 1922 roku Towarzystwo Wzajemnego Kredytu w Krasnymstawie zmieniło statut i przyjęło nazwę Bank Spółdzielczy z ograniczoną odpowiedzialnością w Krasnymstawie. Od tej pory funkcję Zebrania Ogólnego przejęło Walne Zgromadzenie Członków. 30 kwietnia, w tajnym głosowaniu, z lokalnej elity wybrano 12 członków do Rady Nadzorczej i Zarządu oraz 3 zastępców. Byli to:

Wojciech Żebrowski - rolnik, 70 mórg ziemi,
Stanisław Leszczyński - właściciel księgarni,
Franciszek Sadlak - rolnik, 120 mórg - Krupe,
Józef Leśniewski - wł. domu w Krasnymstawie,
Apoloniusz Piechowicz - wł. domu w Krasnymstawie,
Mieczysław Łazowski - obywatel ziemski,
Władysław Ratajski - wł. domu w Krasnymstawie,
Jan Wnuk - wł. dwóch domów w Krasnymstawie,
Jan Mazurek - rolnik, 80 mórg ziemi,
Jan Wojtał - rolnik, 30 mórg ziemi,
Jan Stolecki - wł. domu w Krasnymstawie,
Feliks Wdowicki - przedsiębiorca i wł. domu

Zastępcy członków Rady:

Zygmunt Migurski - wł. domu w Krasnymstawie,
Jan Szałachwiej - wł. 20 mórg ziemi,
Kazimierz Plewiński - obywatel ziemski, 1200 mórg ziemi.

Rada Nadzorcza, ze swojego grona wybrała trzech członków Zarządu w osobach: Stanisława Leszczyńskiego, Jana Wnuka i Wojciecha Żebrowskiego. Na przewodniczącego Rady Nadzorczej, w miejsce ustępującego Eugeniusza Lickindorfa, powołano Apoloniusza Piechowicza, na zastępcę - Władysława Ratajskiego, na sekretarza Rady - Mieczysława Łazowskiego, i na jego zastępcę - Feliksa Wdowickiego. Po roku osiągnięto zysk w kwocie 597 954 marki i podzielono go w sposób następujący:

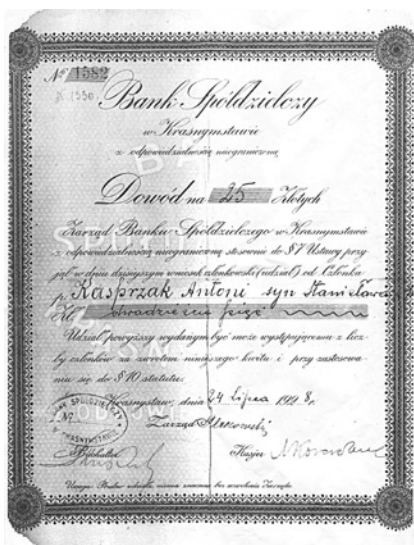
10% tj. 59 795 marek na kapitał zapasowy banku,
308 159 marek na należności podatkowe,
150 000 marek przekazano na subwencję dla prywatnego gimnazjum żeńskiego,
80 000 marek - na subwencję dla bursy uczniowskiej przy gimnazjum męskim.

Ponadto, na Walnym Zgromadzeniu w 1923 roku ustalono, że minimalny udział członkowski wyniesie 25 000 marek polskich. Statut nie zmieniał zasad wyboru i okresu kadencji, a więc z trzyosobowego składu Zarządu wybieranego przez Radę na okres trzech lat, corocznej wymianie podlegał jeden członek, natomiast co roku z dziewięciuosobowej Rady ustępowała 1/3 składu członków wybieranych na Walnym Zgromadzeniu.

Celem spółdzielni było podnoszenie sprawności gospodarczej. Z udzielanych kredytów korzystały m.in. takie jednostki jak Spółdzielnia Mleczarska w Krasnymstawie, Małochwieju Dużym i Surhowie oraz Spółdzielnia Spożywców „Świt” w Krasnymstawie.

Okres 1922-1924 roku cechowała duża aktywność członków Zarządu i Rady Nadzorczej. Na Walnych Zgromadzeniach zawsze było quorum i nawet zmieniano dwukrotnie statut banku. Po wprowadzeniu w 1924 roku przez ministra skarbu Władysława Grabskiego nowej waluty - złotego, dokonano przewalutowania udziałów członkowskich z marek na złote i przeprowadzono statutowe zmiany osobowe w składach Rady i Zarządu.

Na Walnym Zgromadzeniu, 5 kwietnia 1925 roku podjęta została uchwała o przystąpieniu Banku Spółdzielczego w Krasnymstawie do Centralnej Kasy Spółek Rolniczych i do Związku Rewizyjnego Polskich Spółdzielni Rolniczych. Nastąpiła konieczność powiększenia kapitału i zwiększenia udziału do 25 zł. Nowy statut zmieniał odpowiedzialność banku z ograniczonej na nieograniczoną i określał, że jego członkami mogły być osoby zamieszkające: w Krasnymstawie i jego przedmieściach oraz w gminie Krasnymstawa, w gminach: Łopiennik, Czajki, Izbica (oprócz osady Tarnogóra), Rudka (oprócz wsi Bzite), we wsiach: Gliniska w gminie Gorzków, Oleśniki w gminie Fajslawice, Pilaszkowice w gminie Rybczewice, Żulin, Wola Żulińska i Czechów Kąt w gminie Rejowiec. Statut rozszerzał również zakres czynności bankowych o popieranie działalności innych spółdzielni, a także stwarzał możliwości materialnego wspierania pracy kulturalno-oświatowej zrzeszeń drobnych rolników. Katalog czynności bankowych rozszerzony został o kupno i sprzedaż wszelkich papierów wartościowych na rachunek własny i obcy do wysokości 50% posiadanego kapitału własnego.



Dowód wniesienia udziału do Banku Spółdzielczego w Krasnymstawie z 1925 r.

10 maja 1925 roku funkcję przewodniczącego Rady obejmuje Apoloniusz Piechowicz, zastępcy - Franciszek Sadlak, a sekretarza - Jan Domański zamieszkały we Francyszkowie, gm. Czajki.

W składzie Zarządu funkcję członka Rada powierzyła Mieczysławowi Łazowskiemu, a po jego rezygnacji w dniu 28 maja 1926 roku, kolejno - Zofii Orłowskiej (do jej śmierci w dniu 19 kwietnia 1927 roku) i Wincentemu Kociubie do 29 grudnia 1934 roku. Kolejne zmiany w składzie Zarządu następują w dniu 10 lipca 1927 roku. W związku z rezygnacją Stanisława Leszczyńskiego z funkcji prezesa Zarządu, Rada Nadzorcza powołuje na to stanowisko Ignaca Uzdowskiego, na zastępcę - Jana Wnuka i na członka Zarządu - Wincentego Kociubę. Zarząd w tym składzie pełnił swoje obowiązki do dnia 12 maja 1929 roku. W tym dniu Rada Nadzorcza, na swym posiedzeniu powołuje Wincentego Kociubę na stanowisko prezesa Zarządu i Pawła Dzika na członka Zarządu.

Na przestrzeni lat 20. i 30. liczba spółdzielni oszczędnościowo-kredytowych w Polsce wzrosła z 3 274 do 5 666. Od 24 sierpnia 1931 roku do 16 lipca 1932 roku obowiązki prezesa pełnił Jan Wnuk, a po nim ponownie Wincenty Kociuba - poseł na Sejm RP, a wiceprezesa - kolejno dr Piotr Szpryngier i Kazimierz Laskowski. Obowiązki członka Zarządu Rada Nadzorcza powierzyła Pawłowi Grudzińskiemu, a po jego rezygnacji - Pawłowi Domańskiemu. Wielki kryzys gospodarczy w latach 1929-1935 odbił się niekorzystnie na działalności instytucji kredytowych jak i na działalności Banku Spółdzielczego w Krasnymstawie, który straty bilansowe przestał ponosić dopiero po 1937 roku.

W okresie od lipca 1937 roku do rozwiązania Zarząd Banku stanowili:

Piotr Bodak - prezes Zarządu do dnia 6 czerwca 1942 r.,

Wincenty Wysocki - prezes Zarządu do dnia 6 lipca 1943 r.,

Paweł Dzik - zastępca prezesa,

Paweł Domański - członek Zarządu do dnia 8 marca 1941 r.

Wincenty Chodorowski - członek Zarządu do dnia 6 lipca 1943 r.

Okupacja niemiecka i radziecka na tyle pogorszyły sytuację ekonomiczną i finansową banku, że Rada Nadzorcza postanowiła go rozwiązać. 15 lipca 1943 roku Sąd Okręgowy w Lublinie likwidatorem ustanowił Pawła Dzika, a biuro likwidacyjne zlokalizował w jego miejscu zamieszkania przy ul. Policyjnej 7 w Krasnymstawie.

Po wojnie większość spółdzielni oszczędnościowo-pożyczkowych natychmiast wznowiła działalność. Początkowo na starych zasadach, a później podporządkowano je polityce scentralizowanej gospodarki socjalistycznej i poddano kontroli państwa. Członkowie pozbawieni zostali wpływu na działalność swoich spółdzielni, czyli przestali być jej gospodarzami.



Pracownicy Kasy Oszczędnościowo-Pożyczkowej w Krasnymstawie, 1959 rok



Wejście do siedziby banku na ul. Świerczewskiego 65 od lewej: J. Kyc, T. Szczotka, 1959 rok

Kolejne lata przyniosły wiele zmian, na opisanie których należałoby poświęcić oddzielny artykuł. Warto jednak wspomnieć, że wskutek określenia minimalnego progu kapitałowego dla banków spółdzielczych (300 tys. ECU na rok 2000, a do 2006 r. - 1 milion ECU), kilka okolicznych banków przyłączyło się (1999) do Banku Spółdzielczego w Krasnymstawie, tworząc jedną z najsilniejszych placówek na Lubelszczyźnie.



Wincenty Kociuba



Henryk Choryngiewicz

W tym czasie z historią banku związał się, po Wincentym Kociubie, kolejny poseł - Henryk Choryngiewicz, który skutecznie pracował w sejmie o lepsze prawa i warunki dla polskiej spółdzielczości bankowej. Początkowo pełnił funkcję dyrektora Banku Spółdzielczego w Łopienniku Nadzrecznym, później pracował w Zarządzie BS w Krasnymstawie, a obecnie pełni funkcję wiceprezesa Zarządu. Na trwale do historii wpisał się Stanisław Woźniak, który przez 27 lat był dyrektorem i prezesem Banku Spółdzielczego w Krasnymstawie.

Władze banku na przestrzeni 100 lat. Kierownicy i dyrektorzy:



*Edward Drygała
1950-1964*



*Tadeusz Szczotka
1964-1976*



*Henryk Bijata
15.04.1976-31.12.1976*



*Waldemar Łuczkiwicz
1977-1982*



*Stanisław Woźniak 1982-2009
dyrektor i prezes Zarządu Banku*



Od 1 stycznia 2010 roku Zarząd Banku Spółdzielczego w Krasnymstawie stanowią:

*od lewej siedzą: Maria Brzezińska - wiceprezes,
Krystyna Antończak - członek Zarządu;
stoją od lewej: Henryk Choryngiewicz - I wiceprezes,
Radosław Chmielewski - prezes,
Stanisław Albinia - członek Zarządu*

Przewodniczący rad nadzorczych:

Eugeniusz Lickindorf	- brak danych - 1922
Apoloniusz Piechowicz	- 1922 - 1929
Franciszek Sadlak	- 1929 - 1941
Stanisław Grabek	- 1941 - 1943
Władysław Kostecki	- 1950 - 1959
Jan Dziedzic	- 1959 - 1963
Józef Grabek	- 1963 - 1973
Wacław Golec	- 1973 - 1983
Henryk Gontarz	- 1983 - nadal

Prezesi Zarządów:

Stanisław Leszczyński	- 1922 - 1927
Ignac Uzdowski	- 1927 - 1929
Wincenty Kociuba	- 1929 - 1931
Jan Wnuk	- 1931 - 1932
Wincenty Kociuba	- 1932 - 1934
Piotr Bodak	- 1934 - 1942
Wincenty Wysocki	- 1942 - 1943
Jan Kyc	- 1950 - 1951
Antoni Rybczyński	- 1951 - 1961
Stanisław Kędrak	- 1961 - 1963
Józef Knap	- 1963 - 1967
Antoni Marucha	- 1967 - 1973
Franciszek Bąk	- 1973 - 1977
Janusz Korczyński	- 1977 - 1995
Stanisław Woźniak	- 1995 - 2009
Radosław Chmielewski	- 2010 - nadal

Obecne kierownictwo banku ma powody do dumy, ponieważ zadbało o dostosowanie swojej oferty do potrzeb i oczekiwań klientów ze wszystkich segmentów gospodarki, szczególnie pod względem kredytowym. Wynik finansowy brutto za rok 2011 wyniósł 2 751 000 zł. Suma bilansowa osiągnęła 223 mln zł i była wyższa o 5 mln w porównaniu z poprzednim rokiem rozrachunkowym. Liczba prowadzonych rachunków dobiła 25 465, a zdeponowane środki zamknęły się w kwocie 189 mln zł. Portfel kredytowy zwiększył się do 126,8 mln zł. Stan funduszu udziałowego wniesionego przez 8 165 członków stanowi kwotę 2 058 000 zł. Natomiast fundusze własne banku, mimo sporych ostatnio wydatków na modernizację, w przeciągu 12 lat wzrosły 6-krotnie i wynoszą 21 843 000 zł.

Na co dzień spotykamy wydawałoby się kuszącą ofertę wielu banków. Dobrze jednak wiemy, że prawie wszystkie oparte są na kapitale zagranicznym i zawsze uzależnione od różnych ekonomicznych i politycznych kaprysów. Na szczęście klienci, w zasięgu których znajdują się oddziały polskich banków spółdzielczych zawsze mogą liczyć na ich konkurencyjną, przejrzystą i uczciwą ofertę.

Andrzej D. Misiura

Na podstawie ilustrowanego opracowania *Razem od pokoleń... Bank Spółdzielczy w Krasnymstawie 1912-2012. Historia i współczesność* pod redakcją Henryka Choryngiewicza, Krasnystaw 2012, ss. 165.

Ryszard Maleszyk

Kolej wąskotorowa Izbica - Żółkiewka



Pierwsze odcinki kolei wąskotorowej na Lubelszczyźnie powstały na początku XX wieku w Ordynacji Zamojskiej. Tam znakomicie sprawdzili się, zwłaszcza w transporcie buraków cukrowych zbieranych z pól w czasie często słotnej jesieni, gdy lokalne drogi stawały się dla furmanek konnych niemalże nieprzejezdnymi. Kolejnym surowcem, którego transport stawał się bardzo ekonomiczny, było drewno, którego nie brakowało w lasach ordynacji. O płynących zyskach z kolei przekonali się rosyjscy wojskowi, którzy zbudowali przed wybuchem I wojny światowej kolejkę wąskotorową, oraz Niemcy, którzy w 1915 r. wybudowali wąskotorową kolej polową (Feldbahn) z Bełżca do Trawnik, celem sprawnego zaopatrywania frontu. Najwięcej w kolej na tym terenie zainwestowali w latach 1915-1918 Austriacy, okupujący południową część ziem Królestwa Polskiego, a w tym powiat krasnostawski.

Temat ułożenia niemieckiej kolejki polowej i wybudowania austriackiej szerokokotorowej linii z Bełżca do Rejowca został omówiony w poprzednim artykule. Ta ostatnia została ukończona 28 lutego 1916 r. W niespełna dwa miesiące później, rozpoczął się demontaż ostatniego odcinka niemieckiej kolejki wąskotorowej na trasie od Krasnegostawu do Trawnik.¹ Można zadać sobie pytanie, dlaczego jej nie pozostawiono, skoro Austriacy w znacznej mierze ją wykupili od niemieckiego partnera. Odpowiedź tkwi w jej parametrach technicznych. Prawdopodobnie w pośpiechu, niemieccy konstruktorzy ryzykownie skierowali tory biegnące od Krasnegostawu przez dolinę rzeki Wieprz, która w czasie deszczów i na wiosnę stawała się ogromnym rozlewiskiem wody. O tym przekonano

się już w sierpniu 1915 r. Toteż austriaccy inżynierowie kolejnictwa, jak łatwo to zauważyć na mapie, zdecydowali się wybudować linię szerokokotorową po prawej stronie rzeki, by za wszelką cenę ominąć Wieprz i jego naturalną dolinę. To jeden z powodów krętości tej kolei, która przez to stanowi chyba swoisty zabytek. Starsi mieszkańcy Krasnegostawu wspominają, że funkcjonował przekaz, iż część podkładów kolejowych niemieckiej kolejki całkowicie zostało wciśniętych w łąki i tam pozostały po dzień dzisiejszy. Zdemontowano tylko szyny kolejowe. Ta wersja, nie mająca potwierdzenia w dotychczas spenetrowanej dokumentacji archiwalnej, wydaje się jednak być bardzo prawdopodobna.

Od jesieni 1915 r. Austriacy rozpoczęli wiele innych inwestycji kolejowych na ziemiach okupowanych, które prowadzili aż do połowy 1918 r., gdy finanse monarchii naddunajskiej, całkowicie zaczęły się rozsypywać. W sumie wybudowano ponad 300 kilometrów linii wąskotorowych. Na terenie Lubelszczyzny kolejki wąskotorowe biegły na następujących trasach: Opole - Wąwolnica, Karczmiska - Rybaki, Łęczna - Nasutów, Uhnów - Hrubieszów - Horodło - Uściłóg, Łaszczów - Woźuczyn, Szastarka - Janów, Bełzec - Tarnawatka, Zwierzyniec - Biłgoraj oraz Izbica - Żółkiewka.²

Wymienienie w katalogu austriackich inwestycji kolejowych linii wąskotorowej Izbica - Żółkiewka na ostatnim miejscu jest zamierzeniem celowym autora z kilku powodów. Po pierwsze do jej budowy przystąpiono dość późno, gdyż dopiero na początku 1917 r., w oparciu o projekty przygotowywane jesienią 1916 r.³ Zgodnie z nimi miała to być kolejka o charakterze tylko rolniczym (Rollbahn), bez ruchu pasażerskiego. Jej zadaniem było sprawne wywożenie z południowych gmin powiatu krasnostawskiego płodów rolnych i pasz zwierzęcych do stacji przeładunkowej w Iz-

1. Archiwum Państwowe w Lublinie. C. i K. Komenda Powiatowa w Krasnymstawie (dalej APL CK KPwK), sygn. 3. Fahrplan der Feldbahn Wólka Orłowska - Trawniki gültig ab 16 Januar 1916, k. 9. Obowiązywał on tylko do końca marca 1916 r. Natomiast niemiecka komendantura kolei polowej stacjonowała w Trawnikach jeszcze do 16 kwietnia 1916 r.

2. Archiwum Główne Akt Dawnych. Militär General Gouvernement in Lublin (dalej: AGAD MGGL), Oddział Budownictwa Wojskowego, sygn. 1096. Rollbahnmaterial für Ernteabschub und Waldwirtschaft, k. 320-325 oraz J. Lewandowski, *Królestwo Polskie pod okupacją austriacką 1914-1918*, Warszawa 1980, s. 59.

3. APL CK KPwK, sygn. 3. Sprawozdanie IV Komisji Zbiorów Płodów Rolnych w Krasnymstawie z 14 kwietnia 1917 r., k. 1-7.

bicy łączącej się z koleją szerokotorową. Była też jedną z krótszych (choć nie najkrótszą), gdyż cały jej odcinek liczył zaledwie 28 kilometrów. Trzecim wreszcie wyznacznikiem świadczącym o jej słabej kondycji był fakt, że nigdy nie wyposażono jej w lokomotywy. Przewóz towarów wagonikami odbywał się tylko przy pomocy koni pociągowych. Ustawiano je jeden za drugim, by szły pomiędzy torami rozstawionymi zaledwie o 60 cm. Inne rozwiązanie nie wchodziło w rachubę. Gdyby konie szły po zewnętrznej stronie torowiska, trzeba by było je szeregować przed wiaduktami i na nasypach.

Zapewne ze względów finansowych, budowa kolejki ciągnęła się bardzo długo, gdyż wspomniany 28-kilometrowy odcinek w pełni oddano do eksploatacji dopiero 1 września 1917 r. Ziemię pod inwestycję Austriacy po prostu wydzielili od właścicieli, tak jak to uczyniono w przypadku kolei szerokotorowej. Nie należy sądzić, że takie rozwiązanie podobało się ludności miejscowej, choć na przykład ludność Wąwolnicy zabiegała u władz austriackich o wybudowanie kolejki łączącej ich miejscowość z Opolem i Nałęczowem. Nie znamy dokładnie przebiegu krasnostawskiej trasy. Od Izbicy do Tarnogóry tory prowadziły przez drewniany most, dalej linia prowadziła przez Ostrzycę, Piaski Szlacheckie, Chorupnik i dalej wzdłuż drogi do Żółkiewki (z pominięciem Gorzkowa). Docelowo wyposażono ją w 348 wagoników ciągniętych wyłącznie przez konie. Wszelkie starania o przydział chociażby minimalnej liczby 4 lokomotyw, spełzły na niczym. Zresztą, inną przeszkodą był brak dostatecznej liczby bocznic i suwnicy do obracania lokomotyw. Średnią wydajność kolejki obliczono na 805 ton towarów miesięcznie.⁴ Praktycznie natomiast, kolej ta miesięcznie przewoziła w granicach tysiąca ton płodów i towarów rolnych.⁵

W krasnostawskiej komendzie został opracowany przez powiatowego inżyniera por.

Juliusa Gyárfása projekt przedłużenia kolei wąskotorowej, która miała dalej biec od Żółkiewki do miejscowości Wysokie. Z drugiej strony planowano połączenie jej z Krasnymstawem poprzez boczną linię biegnącą przez Gorzków, Niemienice i Krakowskie Przedmieście. Z uwagi jednak na brak środków finansowych, projekt ten nigdy nie wszedł w fazę realizacji.⁶ Był to zresztą jeden z nielicznych akcentów komendy w sprawie kolei, która nie podlegała kompetencji komendanta powiatu. Całkowity nadzór nad nią leżał w gestii Wojskowego Kierownictwa Transportów Kolejowych z siedzibą w Krakowie, które dysponowało delegaturami na terenie okupowanym. Odcinki linii kolejowej na obszarze powiatu krasnostawskiego podlegały Komendzie Kolei - Północ z siedzibą w Radomiu, a ekspozyturą w Lublinie.⁷

Epilog

Wąskotorowa kolejka Izbica - Żółkiewka została zablokowana przez oddziały Polskiej Organizacji Wojskowej w pierwszych dniach listopada 1918 r. Po odzyskaniu niepodległości, w latach dwudziestych została całkowicie rozebrana. Nie trzeba było bowiem niczego z огоłoconej ziemi krasnostawskiej wywozić. Nadto wchodziły kwestie wywłaszczenia ziemi zabranej indywidualnym właścicielom.⁸ Podkłady i tory użyto do budowy infrastruktury kolejowej w fabrykach, a niekiedy także w miejscach takich jak kamieniołomy czy kopalnie piasku. Zrujnowana gospodarka potrzebowała odbudowy, a mieszkańcy gminy Żółkiewka, Gorzków i Izbica - zapomnienia o kolei, którą każdego dnia wywożono owoce ich ciężkiej pracy.

dr Ryszard Maleszyk

4. Archiwum Państwowe w Lublinie. C. i K. Komenda Powiatowa w Lublinie 1915-1918 (dalej APL CK KPwL), sygn. 42. K. u. k. Förderbahnen Mai 1918, k. 19.

5. Z wykazu za kwiecień 1918 r. wynika, że przetransportowano 1032 tony głównie ziemniaków, zboża i słomy - za APL CK KPwL, sygn. 42, k. 35.

6. AGAD MGGL Oddział Budownictwa Wojskowego, sygn. 1097. Projekt Feldbahn Krasnystaw - Żółkiewka - Wysokie, k. 423.

7. AGAD MGGL Oddział Budownictwa Wojskowego, sygn. 125. Kommando Herresbahn Nord Radom, k. 428-429.

8. Operację taką wykonano 1928 r. w odniesieniu do właścicieli z powiatu krasnostawskiego, którym zabrano ziemię pod budowę kolei Bełzec - Rejowiec.

Artur Borzęcki

Prasa konspiracyjna obozu narodowego na terenie powiatu krasnostawskiego w latach 1939-1945



Prasa konspiracyjna pojawiła się już w pierwszych tygodniach okupacji hitlerowskiej, jako skutek wznowienia, oczywiście w warunkach podziemnych, życia politycznego Polaków. Ruch wydawniczy szeroko rozumianej polskiej konspiracji koncentrował się głównie w wielkich miastach, ale również lokalnie w miasteczkach, a nawet w małych wsiach ukazywało się wiele tytułów, tak jak w Lubelskiem, należącym zresztą do najsilniejszych województw pod tym względem. Wydawnictwa podziemne odzwierciedlały ideowe nurty poszczególnych organizacji, dzieląc się na szeroko rozumiane grupy: prasa ruchu socjalistycznego, ludowego, narodowego etc. Prasa obozu narodowego, podobnie zresztą jak i innych opcji politycznych, była zróżnicowana i wyrażała mnogość koncepcji programowych i taktycznych. Do ideowych i politycznych wskazań wydawców najczęściej wprost nawiązywała już sama symbolika tytułów.

Bardzo ważnym punktem wydawniczym na mapie Lubelszczyzny w omawianym okresie, przede wszystkim za sprawą działaczy ruchu ludowego, był powiat krasnostawski. Stronnictwo Ludowe „Roch” wydawało tutaj m.in. takie pisma, jak: „Chłopski Znak”, „Kukułka”, „Wieś Tworząca”, „Wyzwolenie”, „Zielona Kadra” „Hejnał” redagowane głównie przez Józefa Nikodema Kłosowskiego ps. „Lemiesz”. W kręgu inteligencji ludowej związanej z Armią Krajową powstawały „Zew” i „Ziarno”, sama AK wydawała też pisma: „Bojownik Polski” i „Wola”. W Brzezinach wydawane i redagowane były m.in. przez Ludwika Mochejskiego ps. „Dymitr” pisma lewicowej Polskiej Partii Robotniczej tj. „Walka Ludu” i „Komunikaty Radiowe”. Kolportażem własnej prasy, nie tylko centralnej, ale i wydawanej lokalnie, zajmowały się również miejscowe środowiska narodowe, najpierw w ramach Narodowej Organizacji Wojskowej, a później - Narodowych Sił Zbrojnych.

Kolportażem prasy w strukturach NOW na terenie powiatu krasnostawskiego zajmował się m.in. Franciszek Przysiężniak, znany później jako „Ojciec



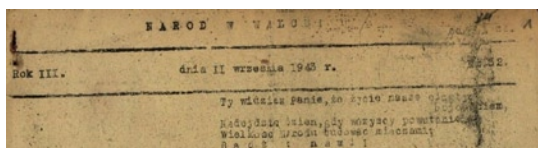
Winieta „Walki”
(zbiory APL, zesp. 1074, sygn.35)

Jan”. Przysiężniak dostarczał pismo „Walka” Józefowi Hartmanowiczowi, członkowi trójki narodowej organizacji na terenie wsi Topola. Pismo to Przysiężniak osobiście odbierał od Eugeniusza Zarębińskiego lub Komendarczyka, właściciela sklepu w Krasnymstawie, w którym zresztą znajdowała się skrzynka kontaktowa. Prasę podziemną Przysiężniak dostarczał także do Izbicy do sklepu drogowego.

Wspomniany Eugeniusz Zarębiński, ps. „Mikołaj”, „Żeliszaw”, zawodowy kapral, prawdopodobnie instruktor Szkoły Łączności przy 2. Batalionie Telegraficznym w Krasnymstawie początkowo był członkiem Związku Walki Zbrojnej, a od 1942 r. wstąpił do NSZ, gdzie powierzono mu funkcję łącznika. Podczas okupacji hitlerowskiej miał utrzymywać łączność pomiędzy jednym punktem „u pani Łodzi” na ul. Lwowskiej, a drugim zlokalizowanym na ul. Głównej, w sklepie u Komendarczyka. Zarębiński do 1944 r. otrzymywał prasę od Walerii Tomaszewskiej, a były to „Wielka Polska” i „Młoda Polska”. Za pośrednictwem Zarębińskiego, na terenie Krupego prasę odbierali też należący do organizacji Zbigniew Stadnik oraz Józef Dobosz. Kolportażem „Żeliszaw” zajmował się również po wejściu Armii Czerwonej, w okresie tzw. drugiej konspiracji. W kwietniu 1945 roku otrzymywał od Tomaszewskiej pismo „W ogniu walki”, które ona sama odbierała od Edwarda Berdysa, a ten - z dowództwa. Po aresztowaniu przez Powiatowy Urząd Bezpieczeństwa Publicznego w Krasnymstawie, Zarębiński oskarżony został m.in. o kolportaż nielegalnej prasy, którą, jak zeznał, po przeczytaniu niszczył, nikomu nie przekazując.

Edward Berdys, ps. „Wierny”, prowadził w Krasnymstawie kursy sanitarne dla członków NSZ, w jego mieszkaniu również mieściła się skrzynka kontaktowa. Korespondencję otrzymywał od Jana Kowalskiego ps. „Zemsta” pełniącego funkcję łącznika m.in. pomiędzy „Romanem” a „Zenonem”. „Zemsta” 4 lub 5 razy przewoził korespondencję od „Romana”

z Siedlec do Lublina, Krasnegostawu i Rejowca. Do Berdysa, po nielegalną prasę przychodził też niejaki Łuczak, mieszkaniec Izbicy. Prasę „Wierny” otrzymywał także od zamieszkałego na ul. Rejowieckiej Tomanka ps. „Gryf” (w dokumentach występującego także jako: Tomaszek, Tomasiak), były to „W ogniu walki” i „Wielka Polska”. Najprawdopodobniej chodzi tutaj o Zbigniewa Tomanka ukrywającego się też pod ps. „Władysław Zaprzelski”, działającego w NSZ na terenie Krasnegostawu. Tomanek był redaktorem pisma „Naród w Walce”, co do którego można mieć nieomal stuprocentową pewność, że było wydawane w Krasnymstawie.



Winieta „Naród w Walce”
(zbiory APL, zesp. 1074, sygn.29)

Pismo „Naród w Walce” miało 4 strony objętości, nr 32 z 11 września 1943 r., zachowany w zbiorach Archiwum Państwowego w Lublinie, zawiera odezwę dowództwa NSZ Grupy Operacyjnej „Wieprz” na temat terroru, jakiego na Polakach za Bugiem dopuszczali się nacjonaści ukraińscy. Podobnie jak w innych pismach konspiracyjnych, w numerze tym zamieszczone też były wiadomości z poszczególnych wojennych frontów, blok tzw. informacji różnych oraz krytyka postsanacyjnych „Wiadomości Polskich” za ich ugodowy apel ukraiński.

Paczki z ulotkami i zapewne prasą do Komendy Powiatowej NSZ w Krasnymstawie docierały też z Lublina, tak jak w grudniu 1944 r., co miało miejsce za sprawą Mariana Suszki ps. „Zawada” i Stanisława Nowaka ps. „Chytry”. Wspomniani powielali nielegalne ulotki antypaństwowe, których treść „podawał” łącznik zleceń specjalnych Tadeusz Dubaj ps. „Sęk”, notabene pochodzący z powiatu Krasnostaw, a dokładnie z Piask Szlacheckich. Dubaj w listopadzie-grudniu 1944 r. stał w Lublinie na czele wydawnictwa nielegalnego pisma „Wielka Polska” (edycja lubelska).

Prasa z Lublina, a były to „Wielka Polska” i „Biuletyn Informacyjny” docierała też do Krasnegostawu poprzez powiat chełmski, a otrzymywał ją człowiek o nazwisku Dec. Nielegalne gazetki konspiracyjne czytano też w terenie, w placówkach NSZ tak

jak np. w Wólce Czerniecińskiej, gm. Turobin, gdzie kolportowane były przez Antoniego Zwołaka. W prasie tej były teksty o spodziewanej wojnie pomiędzy ZSRR a USA, a także instrukcje, aby się organizować, zbroić, rozbijać posterunki MO i UB oraz nie iść do wojska. Czasopisma, po przeczytaniu - zgodnie z rozkazem - palono.

W prasie narodowej, w tym również centralnej, pojawiały się też informacje dotyczące aktualnych wydarzeń w powiecie krasnostawskim, np. „Szaniec” nr 6 z 12 marca 1942 r. informował o terrorze niemieckim i aresztowaniu w Krasnymstawie 48 osób spośród inteligencji; „Walka” w nr. 36 z 22 września 1943 r. podawała Komunikat Kierownictwa Walki Podziemnej o likwidacji agentów gestapo na terenie woj. lubelskiego, w tym w pow. krasnostawskim. W artykule wymieniono m.in. „okupacyjnych burmistrzów” Turobina - Wiktora Fika i Żółkiewki - Józefa Żarnickiego oraz kilku mieszkańców Kraśnicy i Widniówki. Z kolei w „Szczerbcu”, wydawanym w Okręgu Lubelskim NSZ, w wydaniu z dnia 23 czerwca 1945 r. zamieszczony został artykuł dotyczący pacyfikacji wsi Wierzchowiny. Informacje lokalne podawane w podziemnych gazetach nie zawsze były bieżące, co zapewne miało miejsce głównie w wyniku warunków, w jakich powstawały i były redagowane.

Funkcje prasy konspiracyjnej miały szeroki kontekst, samo ukazywanie się tych wydawnictw miało głęboki sens ideologiczny, ponieważ było świadectwem trwania silnej woli narodowej, dążenia do przeżycia i odzyskania niepodległości. Wydawnictwa podziemne pełniły rolę opiniotwórczą, społeczno-kulturalną, oświatową, a nawet fachową. Prasa, w końcu była podstawowym źródłem informacji o wydarzeniach wojennych dla wielu grup społecznych, ale też i miejscem, gdzie wytyczano kierunki myślenia programowego na przyszłość.

Artur Borzęcki

Źródła i literatura w wyborze:

1. Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej w Lublinie (AIPN Lu) sygn. 02/740; 06/355; 08/55.
2. Archiwum Państwowe w Lublinie (APL) zespół 1074, sygn. 29.
3. Hirszt Z. J., *Lubelska prasa konspiracyjna 1939-1944*, Lublin 1968.
4. Łojek J., Myśliński J., Władysław W., *Dzieje prasy polskiej*, Warszawa 1988.
5. Tomczyk R., *Bedecker Elbląski*, Gdańsk 2000.

Marcin Podgórski

**Jan „Stoigniew” Stachniuk -
twórca i ideolog neopogańskiej,
nacjonalistycznej grupy Zadruga**



*Odkatoliczyć, unarodowić, dowartościować Polaka!
(Antoni Wacyk, credo Zadrugi)*



Jan Stachniuk

Radykalizacja postaw młodych w dwudziestoleciu międzywojennym oraz fascynacja zwycięskimi ruchami: faszystowskim we Włoszech i narodowosocjalistycznym w Niemczech, stworzyła podatny grunt do powstania różnych organizacji o zabarwieniu narodowo-radykalnym oraz faszystowskim. Najbardziej znane organizacje - Obóz Wielkiej Polski oraz późniejszy Obóz Narodowo-Radykalny w swoich programach odwoływały się do katolicyzmu jako fundamentu, który scala naród oraz wyznacza drogę we wszystkich dziedzinach życia. Podobne stanowisko do religii zajęły także różne mniejsze partie określające się jako faszystowskie czy narodowo-socjalistyczne, takie jak m.in. Radykalny Ruch Uzdrawienia czy też Narodowosocjalistyczna Partia Robotnicza, których członkowie zafascynowani militarystką bojówek hitlerowskich oraz częściowo programem niemieckich narodowych socjalistów, w przeciwieństwie do nich, stawiali prawdy wiary rzymskokatolickiej jako główny element funkcjonowania społeczeństwa.

W 1935 r. na polskiej scenie politycznej pojawiła się grupa, która zaczęła łączyć nacjonalizm z pogańskimi wierzeniami Słowian. Nazwali się Zadruga, od tytułu wydawanego przez nich pisma.

Na czele grupy stanął Jan Stachniuk, który został jej głównym ideologiem.

Ten urodzony w 1905 r., w Kowlu syn pracownika kolei, rozpoczął swoją działalność polityczną już jako student ekonomii, wstępując na początku lat trzydziestych XX w., do sanacyjnego Związku Polskiej Młodzieży Demokratycznej w Poznaniu. Początkowo chciał wstąpić do silnej w tym mieście Młodzieży Wszechpolskiej, gdyż od wczesnej młodości uważał się za nacjonalistę, jednak nie spodobał mu się sposób pojmowania przez członków MW idei narodowej oraz łączenie jej z katolicyzmem. Jako członek ZPMD, Stachniuk nawiązał kontakt z poznańskim Stronnictwem Pracy oraz członkami Narodowej Partii Robotniczej, przy pomocy których wydał swoje pierwsze artykuły. Publikacje owe ukazują ogromną fascynację przemianami, jakie się dokonywały w tym czasie w ZSRR, czyli industrializacją i kolektywizacją, zwłaszcza planem pięcioletnim, jako formami planowania doskonałego. Uznawał on, jak wielu młodych intelektualistów lat trzydziestych XX w., którzy na własnej skórze poznali czym jest Wielki Kryzys, że kapitalizm poniósł klęskę, dlatego należy opracować nowy system gospodarczy, za wzorzec którego powinna służyć gospodarka ZSRR, odrzucając jednak internacjonalizm, na rzecz skrajnego nacjonalizmu antyklerykalnego. W wydanej w 1933 r. pierwszej książce Stachniuka, pod tytułem „Kolektywizm i naród”, połączył obie wspomniane cechy. Argumentował, że nacjonalizm motywuje naród do konstruktywnego działania na rzecz własnego rozwoju, zaś gospodarka planowa, jako centralnie sterowana, jest najbardziej efektywną formą działania. Pomimo tego, że książka przeszła praktycznie bez echa, w 1935 r. Stachniuk wydał kolejną, pod tytułem „Heroiczna wspólnota narodu - kapitalizm epoki imperializmu a Polska”, która spotkała się już z większym odzewem. Była to swego rodzaju propozycja nowego ustroju politycznego, łączącego nacjonalizm z kolektywizmem. Po raz pierwszy użył w niej sformułowania „Zadruga”, które oznaczało dawną słowiańską wspólnotę gospodarczo-rodową, jako nazwy gospodarki planowej, gdyż słowo kolektywizm, w ówczesnej Polsce kojarzyło się jednoznacznie z „sowieckim rajem”. Zainteresowanie drugą publikacją Stachniuka, było o wiele większe niż jego

debiutem. Książka doczekała się wielu recenzji, w tym kilku w periodykach naukowych. W recenzjach owych chwalono Stachniuka za nowatorstwo poglądów i oryginalność myśli, jednak krytykowano fascynację gospodarką sowiecką oraz próbami importu rozwiązań Kraju Rad na grunt Polski. Krytycyzm kół inteligentkich w stosunku do poglądów Stachniuka, utwierdził go w przekonaniu, że musi stworzyć własną grupę, która w przyszłości będzie propagowała jego idee.

W 1936 r. Jan Stachniuk przeprowadził się do Warszawy, gdzie poznał grupę ludzi, których zafascynował swoimi poglądami. Byli to: Antoni Wacyk, Ludwik Zasada, Tadeusz Then, Stanisław i Józef Grzankowie oraz dr Sabina Różycka, z którymi stworzył czasopismo „Zadruga - Pismo Nacjonalistów Polskich”. W niedługim czasie do grupy dołączył także ekscentryczny rzeźbiarz Stanisław Szukalski, jednak w wyniku różnego rodzaju nieporozumień pomiędzy nim a Stachniukiem, zrezygnował ze współpracy i rozpoczął w Krakowie indywidualną działalność, publikując w piśmie „Kra” oraz tworząc własną organizację, którą nazwał „Szczep Rogatego Serca”. Pierwszy numer pisma „Zadruga” opublikowany został w listopadzie 1937 r. Motywem przewodnim pisma jest krytyka chrześcijaństwa oraz propagowanie dawnych wierzeń Słowian. Zadruganie twierdzili, że katolicyzm jest religią szkodliwą dla Polski, gdyż stwarza tzw. „indywidualizm wegetatywny”, który powodował odrzucenie pracy twórczej przez społeczeństwo, na rzecz wegetatywnego stylu życia, że stworzył człowieka minimalistę, żyjącego skromnie, bez potrzeby poprawy swego stanu posiadania oraz pozbawionego chęci samodoskonalenia. Istotą filozofii Jana Stachniuka oraz członków Zadrugi była tzw. „wola twórcielska”, dzięki której człowiek jest w stanie opanować przyrodę i żywioły, budując na ich fundamentach cywilizację materialną. Według zadrugan, zacofanie Polski swój początek ma z chwilą zwołania Soboru Trydenckiego oraz rozpoczęcia kontrereformacji, która w efekcie niszczy polski protestantyzm, narzucając ultrakatolicki system wartości. Za jedyną słuszną religię uznawali prądką wiarę Słowian w żywioły oraz siły natury. Uważali, że powrót do wiary przodków jest tak samo możliwy, jak było możliwe przyjęcie tysiąc lat temu chrześcijaństwa. Jednak powrót do

pradawnych wierzeń nie miał polegać na „odkuczeniu” dawnych obrzędów i rytuałów, a na propagowaniu idei płynnego rozwoju narodu, w oparciu o naturalizm wierzeń dawnych Słowian. Uważali też, że przyjęcie chrześcijaństwa przekreśliło możliwość wykształcenia społeczeństwa doskonałego, żyjącego w symbiozie z naturą oraz czerpiącego z jej zasobów. Dlatego jednym z głównych celów Zadrugi stało się „odkatoliczenie” Polski.

Przedstawione powyżej idee publikowane na łamach „Zadrugi”, spotkały się w większości z negatywną reakcją praktycznie większości opcji politycznych w Polsce. Prasa endecka oskarżała zadrugan o propagowanie neopogaństwa oraz fascynację hitleryzmem. Częste kpiny z szerzonych przez Stachniuka poglądów utwierdziły go w przekonaniu, że idea Zadrugi w ogóle nie została zrozumiana.

Rozwój Zadrugi (w szczytowym momencie grupa liczyła trzysta osób) przerwał atak Niemiec hitlerowskich na Polskę, 1 września 1939 r. Nowa, okupacyjna rzeczywistość wymusiła na Stachniuku rewizję stanowiska co do formy dalszej działalności. Na przełomie 1942 i 1943 r., w wyniku rozłamu w konspiracyjnym Stronnictwie Pracy, wykształciła się nowa organizacja konspiracyjna „Zryw”, która z czasem przyjęła nazwę Stronnictwo Zrywu Narodowego. Zasiłło ją wielu przedwojennych działaczy Zadrugi ze Stachniukiem na czele, który zaczął publikować artykuły w „Zrywie” oraz „Kadrze”, organach prasowych organizacji. W 1943 r. napisał książkę pod tytułem „Zagadnienia totalizmu”, zaś rok później pracę „Mit słowiański”, która w wyniku ostrych ataków środowisk katolickich, do dzisiaj nie została wydana. W wyniku akcji scaleniowej, struktury SZN weszły w skład Armii Krajowej. Już jako żołnierz AK, Jan Stachniuk wziął udział w powstaniu warszawskim, używając nazwiska Mieczysław Adamek. Walczył na pierwszej linii, jako zwykły szeregowiec, był trzykrotnie ranny. Po upadku powstania, wydostał się z Warszawy z grupą cywili. Przebywał w obozie przejściowym w Pruszkowie, skąd został wywieziony na roboty do Niemiec. Jednak po drodze udało mu się uciec z transportu. Udał się do Częstochowy, gdzie przebywał do „wyzwolenia” Warszawy przez Armię Czerwoną. Do stolicy powrócił w lutym 1945 r., z zamiarem odnowienia kontaktów z ocalałymi zadruganami oraz

podjęcia próby umiejscowienia swych ideałów w nowej rzeczywistości. Szybko nawiązał kontakt z odbudowanymi po wojnie strukturami Stronnictwa Pracy, oraz rozpoczął współpracę z PPR, a następnie z PZPR. W tym czasie Stachniuk był zafascynowany przemianami zachodzącymi w Polsce, to jest: wprowadzaniem gospodarki planowej wzorowanej na gospodarce sowieckiej, którą już przed wojną tak podziwiał, mobilizacją społeczeństwa na rzecz odbudowy kraju oraz walką władzy z katolicyzmem. Pokrywały się one w pełni z głoszonymi przez niego poglądami. Zauważał jednocześnie, że Polska stała się satelitą ZSRR, uważał jednak, że taka sytuacja, dobrze rozegrana, mogłaby przynieść krajowi wymierne korzyści. Dlatego też czynnie włączył się w pracę na rzecz odbudowy kraju, pracując jako ekspert gospodarczy w Wydziale Operacyjnym Komitetu Ekonomicznego Rady Ministrów. Ze względu na wykonywaną pracę, przeniósł się na stałe do Bydgoszczy. Z czasem, coraz częściej zaczął zabiegać u nowych władz o uznanie swoich idei. Udało mu się wydać trzy książki: „Walka o zasady”, „Człowieczeństwo i kultura” i „Wspakultura”. Próbował także wznowić wydawanie pisma „Zadruga”, jednak bez powodzenia. Pomimo zafascynowania zmianami zachodzącymi w Polsce, Stachniuk nie bał się krytykować nowej władzy. W 1949 r. napisał memoriał pt. „Tragifarsa Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej”, w którym domagał się wprowadzenia ideałów „Zadrugi” w tok przemian społecznych, jako odrodzenia świadomości narodowej Polaków. Ten dokument stał się bezpośrednim pretekstem do jego aresztowania, 4 września 1949 r. Podczas pokazowego procesu, Stachniuk został oskarżony o faszyzm, antysemityzm, antypaństwową działalność propagandową oraz o współodpowiedzialność za klęskę wrześniową. Prokurator Benjamin Weisblech zażądał kary śmierci, jednak 9 lipca 1952 r. zmniejszono wyrok do piętnastu lat więzienia, zaś rok później - do ośmiu. Jan Stachniuk swój wyrok odsiadywał w jednym z najcięższych więzień w Barczewie na Mazurach. Panowały tam nieludzkie warunki. Więźniów politycznych umieszczano w celach z kryminalistami. Miały miejsce częste pobicia i tortury mające złamać osadzonych.

Jan Stachniuk wyszedł na wolność 10 lutego 1955 r. w wyniku amnestii. Ciężkie więzienie

i tortury sprawiły, że stał się wrakiem człowieka, niezdolnym do pracy twórczej, wymagającym ciągłej opieki. Ostatnie lata życia spędził w ośrodku leczniczym w Radości pod Warszawą, gdzie 14 sierpnia 1963 r. zmarł przeżywszy zaledwie 58 lat.

„Zadruga” umarła praktycznie z jej twórcą. Współpracownicy Stachniuka, pozbawieni głównego ideologa rozproszyli się. Nie znalazł się wśród nich nikt, kto mógłby kontynuować jego dzieło. Jedynie Antoni Wacyk, bliski współpracownik Stachniuka, wydał kilka publikacji na temat „Zadrugi”, lecz nie były to rozprawy ideologiczne a jedynie popularyzatorskie.

Po 1989 r. pewne kręgi zaczęły odwoływać się do idei przedwojennej „Zadrugi”. W latach dziewięćdziesiątych XX w. znana była działalność Bolesława Tejkowskiego, który powołał Polską Wspólnotę Narodową oraz działał w Międzynarodowym Komitecie Słowiańskim i Soborze Wszechsłowiańskim. W tym samym czasie powstało wydawnictwo „Toporzel”, wydające książki z dziedziny humanistycznej filozofii kultury, związane ze środowiskiem współczesnych neopogan. Do dziś działa Stowarzyszenie Nacjonalistyczne „Zadruga”, oraz Stowarzyszenie Na Rzecz Tradycji i Kultury „Niklot”.

Marcin Podgórski

Bibliografia:

1. Grott Bogumił, *Religia - cywilizacja - rozwój. Wokół idei Jana Stachniuka*, Kraków 2003.
2. Grott Bogumił, *Nacjonalizm chrześcijański*, Kraków 1991.
3. Grott Olgierd, *Partie faszystowskie i narodowosocjalistyczne w Polsce*, Kraków 2005.
4. Okraska Remigiusz, *W kregu Odyńa i Tryglawa. Neopaganizm w Polsce i na świecie*, Biała Podlaska 2001.

Artykuły:

1. Jurszo Robert, „Zadruga” - *Neopaganizm w służbie narodu*, [w:] <http://ioh.pl/artykuly/pokaz/zadruga--neopaganizm-w-subie-narodu-cz,1123/>
2. Marszewski Mariusz, *Nacjonalizm „Zadrugi” jako przykład nacjonalizmu niechrześcijańskiego*, [w:] <http://www.etnologia.pl/multi-kulti/teksty/nacjonalizm-zadrugi-jako-przyklad-nacjonalizmu-niechrzescijanskiego.php>

Grażyna Wójcik

Historia pewnego rodu nauczycielskiego. Część II



III

**Człowiek nie jest apostołem sam z siebie,
to Pan Bóg go takim czyni.**

Wojna przerwała licealną naukę mamy. Na teren powiatu krasnostawskiego wkroczyli okupanci z zachodu i wschodu. Już dwunastego września 1939 roku do Gorzkowa wkroczyły wojska niemieckie, dwudziestego czwartego wycofały się, a dwudziestego dziewiątego weszli Sowieci. Rosjanie wycofali się za Bug trzynastego października, a już piętnastego weszli ponownie hitlerowcy. W dniu 26 października 1939 r. nastąpiło proklamowanie Generalnego Gubernatorstwa na okupowanych obszarach polskich.

20 września 1939 r. Niemcy zamknęli gimnazjum i liceum w Krasnymstawie. Rozkazano spalić wszystkie książki z biblioteki. Nauczyciele, z narażeniem życia, rozdawali książki uczniom oraz ratowali dokumentację szkoły. Niemcy nakazali zebrać wszystkie podręczniki do języka polskiego, historii i geografii w szkołach podstawowych od klasy drugiej do siódmej. Z elementarza klasy pierwszej nakazano usunąć stronicę, które mówiły o godle państwa polskiego, o przedstawicielach rządu i wydarzeniach narodowych. Były to elementy eksterminacji narodu polskiego. W planach hitlerowskich Polacy mieli jedynie spełniać funkcje słabo wykształconej siły roboczej.

W 1941 roku powołano Kreischulrata czyli powiatowego radcę szkolnego w Krasnymstawie. Został nim Rudolf Ćwikła, który zmienił nazwisko na Reinhard. Głównym jego zadaniem było szpiegowanie nauczycieli, rewizje w szkołach i szyskanie uczniów oraz rodziców. Rozkazał on nauczycielom zbierać zioła lekarskie i makulaturę, przekazać do urzędu szkolnego wszystkie obrazy, oprócz religijnych i przyrodniczych. Na stanowisko powiatowego inspektora szkolnego zatrudniono uczciwego Polaka Władysława Łyszczarza, który był również przewodniczącym Powiatowej Komisji Oświaty i Kultury.

Mama od początku wojny podjęła pracę konspiracyjną. Najpierw były to luźne spotkania z ludźmi na wsi, słuchanie radia, czytanie gazetek i książek historycznych, śpiewanie pieśni patriotycznych oraz spotkania z byłymi profesorami celem uzyskania instruktażu odnośnie przygotowania do matury. Już w październiku 1939 r. podjęto centralną inicjatywę organizowania tajnego nauczania poprzez utworzenie w Warszawie Tajnej Organizacji Nauczycielskiej. TON wytyczył nauczycielom 3 zadania:

1. upowszechniać wśród uczniów klas IV-VII historię, geografii i literaturę polską,
2. jak najszybciej upowszechniać nauczanie na poziomie średnim,
3. organizować obronę dorobku kulturalnego narodu polskiego przed zniszczeniem przez okupanta i organizowanie tajnej działalności kulturalno-artystycznej.

Niektórzy nauczyciele liceum zorganizowali tajne nauczanie już w listopadzie 1939 r. Młodzież uczyli między innymi: Kalikst Szymonowicz, Franciszek Tchórzewski, Janina Wierciak, Kazimierz Wójtowicz, Jan Bąk, Sylwia Jelinek-Podkowina, Bronisław Kotusiewicz. Dzięki nim mama miała informacje jak organizować tajne nauczanie. Tajnym nauczaniem opiekowała się w Krasnymstawie Powiatowa Komisja Tajnego Nauczania, której przewodniczącym był inspektor szkolny Władysław Łyszczarz.

W latach 1942-43 tajnym nauczaniem zajęło się w kraju 19 000 nauczycieli, a w powiecie krasnostawskim było 30 kompletów, w których uczyło się 447 uczniów. O wielkiej roli nauczycieli polskich napisała później w swojej pracy magisterskiej następujące słowa: „Szkoła podziemna w Polsce nie ma swojego odpowiednika w innych krajach. Była zjawiskiem wyłącznie polskim, wyrazem samoobrony narodu, który hitlerowcy chcieli zniszczyć w pierwszej kolejności. Praca wychowawcza i dydaktyczna nauczycieli powiatu krasnostawskiego chroniła młodzież przed pijaństwem i różnego rodzaju deprawacją, jaką niosła wojna. Podnosiła także hart moralny i odpowiedzialność za siebie i innych, dawała jej odporność psychiczną wobec szykan wroga, wpływała na zdyscyplinowanie i wyposażenie w wiedzę”.

W październiku 1941 mama zebrała 9 uczniów i przygotowywała z nimi materiał klasy pierwszej gimnazjalnej. Uczyli się wtedy Jan i Henryka Gontarzowie z Kol. Borów, Kazimiera Rogowska z Borowa, Teresa Rudnicka i inni. Po wojnie starosta powiatowy J. Oracz zaświadczył pismem z dnia 10.11.1945 r. że mama prowadziła podczas tajnego nauczania komplet złożony z 9 uczniów i złożyli oni wszyscy egzamin wstępny do drugiej klasy gimnazjum w Krasnymstawie z wynikiem pozytywnym.

Egzaminy były przeprowadzane przez komisję tajnego nauczania, w skład której wchodził: dyrektor Wójtowicz pseudonim „Chmura”, Franciszek Tchórzewski „Agrikola”, Janina Wierciak „Janeczka” i ksiądz Stanisław Witkowski „Różga”, Bronisław Kotusiewicz „Kotwica”, Józef Nikodem Kłosowski „Lemiesz”.

Po wstąpieniu w szeregi Stronnictwa Ludowego „Roch”, pod pseudonimem „Wrzos”, w listopadzie 1941 r. zorganizowała drugi komplet 35-osobowy. Tak więc w 1942 roku pod opieką mamy uczyły się już następujące osoby: Halina Jarmuł, Mirosława Bednarska, Stanisław Buszowski, Leokadia Matacz, Jan Kowalski, Włodzimierz Lewandowski, Stefan Sabko, Stanisława Błędowska, Kazimiera Błędowska, Edmund Janik, Henryk Gawarecki, Teresa Rudnicka, Jan Gontarz, Henryka Gontarz, Kazimiera Rogowska, Klementyna Wrona, Stanisław Mazur, Maria Mazur, Edward Wrona, Jan Wrona, Władysław Ślusarski, Janina Ślusarska, Stanisław Dąbski, Leokadia Wrona, Maria Wójtowicz, Czesława Ślusarska, Feliks Skorek, Jan Ślusarski, J. Kamińska, Jan Grudzień, Kasprzak, Danuta Czaplińska, Zofia Czaplińska, Teodozja Swatowska, Genowefa Swatowska, Halina Pomarańska, Maria Wrona, Maria Radecka, Maria Włoch, Teodozja Włoch, Tadeusz Olech, Czesław Żuk, Edward Włoch, Adolf Włoch. Większość przyswajała klasę pierwszą i drugą gimnazjum, a pięciu uczniów również klasę trzecią. Swoich uczniów woziła na egzaminy do profesorów liceum w Krasnymstawie, którzy pod kierunkiem dyrektora Kazimierza Wójtowicza przeprowadzali tajne egzaminy. W swojej pracy magisterskiej napisała potem tak: „W tajnym nauczaniu egzaminy były pisemne i ustne. Zdane przedmioty były zaliczane, a w wyniku ujemnego egzaminu dawano

poprawkę. Ci, którzy odważyli się stanąć przed komisją egzaminacyjną byli należycie przygotowani pod względem opanowania materiału naukowego. Młodzież ucząca się w czasie okupacji była również bardziej dojrzała pod względem obywatelskim i życiowym. Nie zdarzało się, aby ktoś w okresie okupacji chciał zdobyć świadectwo drogą spekulacji czy szantażu. Nauka w tajnych kompletach wytwarzała świadomość, że jest się w obozie Polski walczącej, co podnosiło ambicje i entuzjazm do nauki i walki o ideały ogólnoludzkie i narodowe. W zakresie ochrony moralnej, tajne nauczanie było czynnikiem przeciwdziałającym propagandzie niemieckiej. Była to najbardziej masowa i szeroko rozwinięta działalność samoobronna społeczeństwa, najbardziej masowa forma konspiracyjnego działania wielu ludzi o różnych, często sprzecznych poglądach politycznych”.

Lekcje, organizowane przez mamę, odbywały się po kryjomu, w różnych miejscach, początkowo w swoim mieszkaniu, a po rewizji niemieckiej - w domach uczniów, stodołach, szopach, na łące, w lesie. Rozpoczęła się wędrówka. Kilka dni nauka odbywała się w Borowie, w mieszkaniu uczenicy Rogowskiej, potem u Jana Gontarza, potem w Chorupniku u Czaplińskich, następnie we wsi Gorzków u Dąbskiego, Ślusarskiego i Skorka. Tablicę szkolną zastępowała szara, drewniana ściana na chłopskiej chałupie. Niebezpieczeństwo było duże, uczniowie nie mogli nosić żadnych podręczników, starano się więc jak najwięcej zapamiętać z tego, co przekazywał nauczyciel.

Ludność okoliczna starała się chronić uczniów i nauczycieli przed represjami i na tym terenie nie było nigdy donosicielstwa czy zdrady. Oprócz tajnego nauczania, mama uczestniczyła aktywnie w działalności Ludowego Związku Kobiet. Prowadziła czasem szkolenia sanitarne, bowiem przed wojną licealiści odbywali praktyki nawet w szpitalu przy pielęgnowaniu chorych. W Kolonii Czysta Dębina u pana Górecznego przeprowadzała z dziewczętami szkolenie sanitarne typu udzielanie pierwszej pomocy i opatrywanie ran. Szyły też opaski dla Batalionów Chłopskich. Organizowała też działalność kulturalną, umiała grać na skrzypcach i śpiewać, jak jej tata i brat. Przygotowywała z dziećmi część artystyczną dla żołnierzy BCh. Ludowy Związek Kobiet liczył wtedy 2 000 człon-

kiń, a jego organizatorką była Helena Jakubiec „Osa”. Mama współpracowała z panią Wójtowicz ps. „Kukułka” z Bobrowego i Czesławą Ślusarską. Zbierały żywność i robiły paczki dla ludności wysiedlonej i ukrywającej się, np. dla słynnego działacza Józefa Nikodema Kłosowskiego „Lemiesza”. Działała też w Stronnictwie Ludowym „Roch”, którego przewodniczącym zarządu powiatowego był w pewnym okresie wymieniony wyżej nauczyciel szkoły rolniczej Józef Nikodem Kłosowski. W czasie wojny ukrywał się z żoną, bratem i bratową w Bobrowem i Olesinie, gdyż aktywnie działał w podziemiu. Należał do SL „Roch” i miał pseudonimy „Lemiesz” i „Czepiec”. Pełnił kierownicze funkcje konspiracyjne i był redaktorem tajnych gazetek. Pisał on artykuły do prasy konspiracyjnej. Po wojnie pracował jako nauczyciel języka polskiego w Gimnazjum i Liceum im. Wł. Jagiełły w Krasnymstawie. Pan Kłosowski współpracował z nauczycielskim małżeństwem z Orchowca. Kierownik szkoły w Orchowcu, Józef Tłuczek, pseudonim „Oracz”, kierował powiatową komisją kulturalno-oświatową, a jego żona, Regina Tłuczek była członkiem kolegium redakcyjnego miesięcznika dla dzieci „Kukułka”. Pani Tłuczek współpracowała nie tylko z Józefem Nikodemem Kłosowskim, ale również z Piotrem Domanem, Józefem Wacławem Kłosowskim, Zofią Kłosowską, Feliksem Jaremkim, Piotrem Wójtowiczem, Janem Zadragiem. Miesięcznik „Kukułka” był wydawany przez nich od 1944 r. w Olesinie i Bobrowem, a więc niedaleko miejsca zamieszkania mamy.

Warto byłoby przypomnieć i drukować w każdym podręczniku fragment ślubowania dla dzieci ułożony przez Józefa Nikodema Kłosowskiego:

*Przez całe życie będę zawsze czysty,
I żadną winą nigdy się nie zmażę
Me serce będzie tak bardzo niewinne
Jak biały kolor na polskim sztandarze.*

*Będę Cię, Polsko kochał ponad wszystko
I nigdy myślą, ni czynem nie zdradzę
Bo miłość moja będzie tak płomienna
Jak owa czerwień na ojczyściej fladze.*



Wszystkie te działania godziła z rolą młodej żony i matki. Wyszła za mąż za mojego tatę, Stanisława Jawora w 1941 roku, a brat Janusz urodził się 21 maja 1942 roku. Zdjęcie powyższe przedstawia moich rodziców Janinę i Stanisława z malutkim bratem, a poniższe - tatę w mundurze wojskowym tuż przed wojną w 1939 roku, kiedy kilka miesięcy służył w wojsku jako telegrafista w 44. pułku piechoty.



We wrześniu 1939 r., po rozbiciu Wojska Polskiego przez hitlerowskich najeźdźców, udało mu się wrócić do domu i pomagał ojcu w gospodarstwie (jego matka już nie żyła). Grał w orkiestrze mojego dziadka, Jana Błędkowskiego. Tak narodziła się miłość, ale ze ślubu czy wesela nie zachowały się żadne fotografie, jedyna pamiątka prawdopodobnie z zaręczyn. Od lewej siedzą: ojciec mamy a mój dziadek Jan, siostra Kazimiera, brat Marian, potem mama i tata.

Trwała II wojna światowa i chwile grozy wojennej odbiły się na późniejszym życiu mamy boleśnie, bo na miarę jej szczególnej wrażliwości.

Pewnego dnia do domu rodziców wpadli Niemcy, szukając zbiegłych partyzantów, którzy za wsią zastawili na nich pułapkę. Dzieciom, które w tym czasie mama uczyła, udało się wymknąć



innymi drzwiami. Przerazenie, ręce w górze, krzyczące dziecko w kołysce poruszanej nogą i myśl „to już koniec, Matko Boska ratuj...”. Pod dzieckiem znajdowały się przecież polskie książki, za posiadanie których groziła kula w głowę. I stał się cud. Niemcy nie zajrzeli do kołyski. Hitlerowiec z bronią rozkazał mamie poprowadzić go na strych, a kiedy sprawdził, że nikogo tam nie ma, uderzył mamę kolbą w głowę i wycofał się przeszukiwać inne domy.

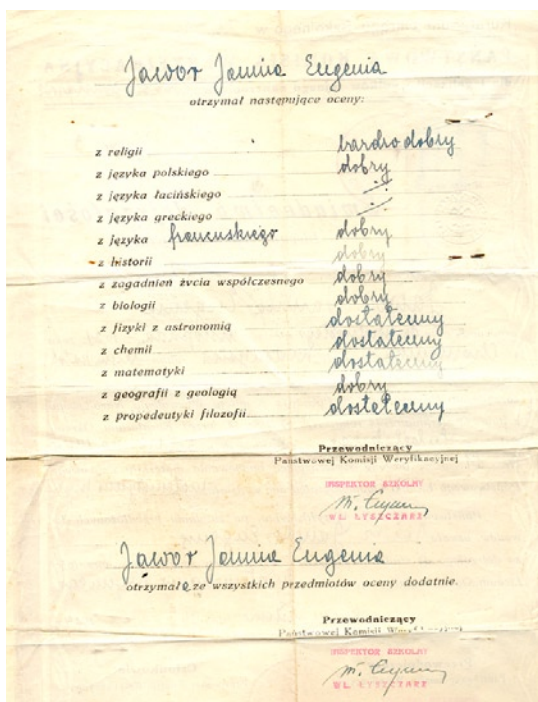
W czerwcu i lipcu 1944 r. Niemcy dokonali pacyfikacji tej części wsi poprzez rekwizycję bydła i trzody chlewnej, grabież i zniszczenie mienia oraz spalenie budynków. Rodzice uciekali między krzewami, czołgali się pod miedzami, a kule gwizdały nad ich głowami. I było tak, jak powiedział później nasz papież, że kto inny strzelał, a kto inny prowadził te kule. Życie uratowali, a rzekomą wolność witali w lesie.

Staje też przed oczyma inny obraz ze wspomnień: w 1944 r. Niemcy dokonali pacyfikacji części wsi, gdzie mieszkali rodzice, zarekwirowali bydło, spędzili je na stację kolejową, szykując do transportu. Rodzice dowiedzieli się, że jest pewna nikła szansa uratowania ich jedynej żywicielki, dobrej, zacielonej krowy. Mama udała się pieszo 15 km na stację kolejową. Udało się jej dogadać z pilnującym bydło Polakiem, że zamieni sztuki, jeśli mama przyprowadzi inną. Powrót do domu. Tata znalazł w okolicy starą krowinę, wymiana udała się. Niestety radość nie trwała długo. Wrócili nocą polnymi drogami. Krowa szła coraz wolniej i w końcu padła, nie mogła wstać. Rodzice też niemiłosiernie zmęczeni. Na nic poszły trudy i narażanie życia, bo krowa była tak wymęczona i zbita, że zdechła. To był tylko jeden epizod w trudnym i pracowitym życiu moich rodziców.

Po spaleniu wsi musieli wybudować nowy dom, potem kolejny wraz z zabudowaniami w innym miejscu. Praca była ręczna, nie było koparek ani dźwigów, cegłę wyrabiali sami, drzewo zwozili z lasu, ile ciężkiej ziemi musieli wydobyć wiadrami, kopiąc studnię, i wynosić ręcznie nie sposób policzyć, bo woda była bardzo głęboko, założono 25 betonowych kręgów.

W czasie wojny groziło wszystkim niebezpieczeństwo, a potem też nie było łatwo. Trudno mi wprost pojąć, ile sił i pomocy boskiej miała mama, gdy woziła potajemnie swoich uczniów na egzaminy. W dalszym życiu wykazała też wielki hart ducha i dyscyplinę. Wymagała wiele od innych, ale szczególnie dużo od siebie. Zdawa maturę w tajnym nauczaniu, a po wojnie uzupełniła jeszcze świadectwo w liceum pedagogicznym w Lublinie, aby mogła pracować jako nauczycielka. Komisja Tajnego Nauczania Gimnazjum Państwowego w Krasnymstawie wydała dnia 28 sierpnia 1944 roku zaświadczenie, że Jaworowa Janina złożyła egzamin dojrzałości w Krasnymstawie dnia 24 maja 1944 roku. Podpisał przewodniczący K. Wójtowicz i Janina Wierciakowa. Zaświadczenie to przechowuję w swoich zbiorach. Świadectwo maturalne wydane zostało 26 listopada 1944 roku z podpisami inspektora szkolnego Wł. Łyszczarza i członków Komisji Weryfikacyjnej: K. Wójtowicza, S. Podkowiny, J. Wierciak.





Tuż po wojnie mama pracowała przez rok jako sekretarka w gimnazjum i liceum ogólnokształcącym w Krasnymstawie. Nie była to łatwa praca. Po wojnie budynki były bardzo zniszczone. W salach pełno gruzu i szkła z rozbitych okien. Nie było ani krzeseł, ani stolików. Pracownie i biblioteka rozgrabione i zniszczone. Front budynku zniszczony pociskiem armatnim. Jednak dyrektor Kazimierz Wójtowicz zdołał zmobilizować wszystkich dzielnych nauczycieli i uczniów. Po 5-letniej przerwie, znów 1 września, społeczność szkolna ruszyła ze sztandarem do kościoła na nabożeństwo, aby z Bogiem rozpocząć rok szkolny.

Wraz z mamą pracowała pani Olejniczkowa, która prawdopodobnie przeżywała tragedię po zabójstwie męża w Katyniu przez sowieckich oprawców. Praca sekretarki była mozolna. Nie było jednak komputerów, wszystko było zapisywane ręcznie, a zapal do nauki wśród młodzieży był ogromny. Świadczy o tym fakt, że w roku szkolnym 1944/45 w gimnazjum w Krasnymstawie było już 552 uczniów w następujących klasach: Ia - 52, Ib - 46, Ic - 50, Id - 48, Ie - 45, If - 39, Ig - 46, IIa - 40, IIb - 33, IIc - 49, IId - 30, III - 47, IV - 27. W liceum było 20 uczniów w klasie pierwszej i 22 w klasie drugiej.

Jesienią 1944 roku powstało też gimnazjum dla dorosłych, w którym było 125 uczniów i pracowało 6 nauczycieli. Kadra pedagogiczna w gimnazjum i liceum była następująca: Kazimierz Wójtowicz - dyrektor i nauczyciel historii, Sylwia Podkowina - łacina, Zofia Kulisowa - język francuski, Janina Wierciak - matematyka, Zofia Vogelgesan - zajęcia praktyczne, Janina Sicińska - wychowanie fizyczne, Jadwiga Obrocka - chemia i fizyka, Stanisława Zachorska - język polski, Wilhelmina Lepik - łacina, Janina Papiesz - historia, Aleksander Ostrowski - wychowanie fizyczne, Franciszek Podgórski - geografia, Jan Kłaczyński - język polski, Jan Cybiński - język niemiecki, Stefan Orłowski - geografia, Edmund Szuszkiewicz - język niemiecki, Józef Nikodem Kłosowski - język polski, Zygmunt Tokarzewski - zajęcia praktyczne, Kazimierz Mazurek - biologia i geografia, Wojciech Doliński - przyroda, Marian Szulc - język niemiecki, religii uczyli księża Stanisław Witkowski i Jan Książek, sekretarką była Janina Jawor, woźni szkolni to: Stanisław Zagajski, Józef Rejek, Franciszek Mazurkiewicz, Franciszek Domański, opiekę lekarską zapewniała doktor Jadwiga Michalska.

Ponieważ tata i brat mieszkali cały czas w Chorupniku, a dojeżdżanie do Krasnegostawu było bardzo ciężkie, kursowało bardzo mało autobusów i często mama korzystała z roweru lub wracała pieszo, starała się więc znaleźć pracę bliżej. W następnym roku zatrudniła się jako nauczycielka w szkole podstawowej w Orchowcu i niezależnie od warunków atmosferycznych wędrowała pieszo codziennie po 10 km, ale to już było bliżej. W 1947 r. rozpoczęła pracę jako nauczycielka historii w szkole podstawowej w Gorzkowie i przepracowała tutaj 34 lata. Zamiłowanie do tego przedmiotu zaszczepił jej z pewnością przedwojenny profesor i dyrektor liceum krasnostawskiego. Mówiła o nim bardzo dobrze, a jego chorobę i śmierć skomentowała tylko jednym zdaniem: „wykończyli go”.

Wiedziała dużo o historii naszego kraju, na pewno i o Katyniu, ale bała się z nami o tym rozmawiać, bo nas bardzo kochała i nie chciała narażać. Świadczy o tym następujący fragment z jej pracy magisterskiej: „Wiele rzeczy zostało zapomnianych, o niektórych ludzie nie chcą mówić, a nawet myśleć, aby nie wspominać tamtych strasznych i tragicznych dni. Niektóre zagadnienia

starają się tłumaczyć w bardzo różny sposób, a do działalności w ugrupowaniach politycznych po prostu nie chcą się przyznawać”.



Mama na uroczystości z okazji Święta Niepodległości 11 listopada 1993 roku, gdzie opowiada o tajnych kompletach

W latach 1951-53 kierowała szkołą w Gorzkowie, ale zrezygnowała ze względu na stan zdrowia i przekonania. Nie mogła pogodzić się z naciskami władz, aby nauczyciele agitowali ludzi na wsi do kolektywizacji. Nauczyciele byli rozsyłani niemal codziennie na poszczególne wsie, aby werbować członków spółdzielni produkcyjnych. W tym czasie urodziłam się ja, oczekiwana przez 11 lat córka. Stresy, które przeżywała mama, spowodowały, że urodziłam się jako wcześniak i wymagałam dużo opieki, owijania w watę, nie było wszak inkubatorów. W tym samym czasie tata prowadził bibliotekę gminną w Gorzkowie. Był dobrym bibliotekarzem, ale został zwolniony w 1956 roku za wypożyczanie „zakazanych” książek, jakimi były według donosiciela, „Quo vadis” Sienkiewicza i „Zakonnica” Diderota. Jest to przykład działania systemu represji komunistycznej, bo tata został oskarżony o szerzenie klerykałizmu tylko na podstawie tytułów, nawet bez znajomości treści tych książek.



Po urlopie pracowała dalej jako nauczyciel historii i śpiewu, gdyż umiała grać na skrzypcach, jak jej cała rodzina i mąż. Od 1946 do 1970 r. prowadziła chór szkolny, który odnosił sukcesy w eliminacjach: powiatowych - I miejsce, a wojewódzkich w Lublinie - II miejsce. Należy dodać, że była to praca całkowicie społeczna, bez żadnych opłat ani dodatków. Sukcesy wywoływały czasem zazdrość koleżanek, szczególnie gdy władze wyższe uhonorowały ją dyplomem lub nagrodą pieniężną z okazji Dnia Nauczyciela. W tym samym czasie dokształcała się. Postanowiła wypełnić testament babci, aby nie ztracać zdolności i uczyć się.



Chór szkolny kierowany przez Janinę Jawor w czasie gdy kierownikiem szkoły był A. Grzeszczuk (oboje w środku)

W 1967 roku ukończyła, jako pierwsza, studia wyższe eksternistycznie w ciągu 3,5 lat, a jej praca magisterska o tajnym nauczaniu i o nauczaniu w czasie okupacji hitlerowskiej oceniona była na bardzo dobry. Praca magisterska, napisana w Katedrze Historii Najnowszej UMCS w Lublinie, nosiła tytuł „Nauczanie w powiecie krasnostawskim w okresie okupacji hitlerowskiej” i była efektem wielu godzin poszukiwań w archiwach i rozmów z ludźmi. Mama opisała w niej własne przeżycia i nauczycieli naszego powiatu. Spotykała się z wieloma osobami, przeprowadzała rozmowy, wywiady, ankiety, poszukiwała informacji w archiwach. Z pewnością obecnie dotarłaby do jeszcze większych zasobów archiwalnych, a i rozmówcy byłiby bardziej otwarci. Nie baliby się, tak jak za czasów terroru komunistycznego, gdy za jedno niewłaściwe słowo można było stracić życie. Przykładowo o przynależności do AK nie wolno było wspominać, więc w pracy tej tylko w podtekście można znaleźć wyrażony strach ludzki o prawdę.



Zdobycie tytułu magistra nie przyszło łatwo. Mój tata był wtedy rolnikiem i posiadał niewielkie gospodarstwo. Mama wstawiała codziennie o godzinie czwartej rano, aby nakarmić bydło, ugotować obiad dla rodziny i zdążyć do pracy na godzinę ósmą. Prowadziła też i mnie pieszo ok. 1,5 km do przedszkola, a moje małe nóżki nie nadążały za nią, więc normą były upadki i rozbite kolana. Po lekcjach wracała biegiem do domu, po drodze już prawie rozbierając się, aby w domu przebrać się szybko, bo tata już czekał z koniem u wozu i zabierał ją do ciężkich fizycznie prac polowych. Nie było kombajnów, praca była wykonywana ręcznie. Wieczorem mama robiła pranie i inne prace domowe, a w nocy uczyła się i często zasypiała nad książkami. Jeździła również do szkół w powiecie, bo pracowała w ośrodku metodycznym.

Z uwagi na wykształcenie, pracowitość i uczciwość, w 1972 r. zaproponowano jej objęcie stanowiska gminnego dyrektora Szkoły Podstawowej w Gorzkowie. W 1974 roku została dyrektorem Zbiorczej Szkoły Gminnej w Gorzkowie, gdzie uczyło się 372 uczniów i pracowało 17 nauczycieli. Pod swoją opieką miała też filie w Antoniówce - 55 uczniów i 3 nauczycieli, Baranicy - 15 uczniów i 1 nauczyciel, Borowie - 43 uczniów i 2 nauczycieli, Orchowcu - 45 uczniów i 2 nauczycieli, Piaskach Szlacheckich - 21 i jeden nauczyciel, Wielkopoli - 43 uczniów i dwóch nauczycieli oraz przedszkola w Gorzkowie, Borowie i Orchowcu, a także Zasadniczą Szkołę Rolniczą w Gorzkowie.

Próbowała uporządkować zaniedbaną szkołę, po latach kierowania nią przez osobę partyjną,

ale preferującą alkohol bardziej niż lekcje. Uczniowie przyzwyczajeni byli do pozostawiania bez opieki. Nauczyciele, rozprężeni, nie chcieli znów wdrożyć się do właściwej pracy. Dodatkowym minusem mojej mamy było to, że nie należała do PZPR ani żadnej partii, a chodziła co niedziela do kościoła, gdzie też udzielał się mój tata. Za to wszystko doznawała różnych przykrości, rozliczania przez sekretarza partii za udział we mszach, a nawet anonimów od partyjnych kolegów z pracy do władz zwierzchnich. Smutnym dla mnie faktem jest, że niektórzy z nich podają się teraz za wielkich katolików i patriotów. Jeśli się zmienili, Bogu dzięki, jeśli tylko przeфарbowali, biada naszej ojczyźnie.

Zmęczona walką z zakłamaniem, obłudą, zazdrością i lenistwem podwładnych, zrezygnowała z pracy w 1976 r., aby przejść na emeryturę i pomóc mi w wychowaniu synka.

Za swoją uczciwą pracę była jednakże doceniana przez władze szkolne i otrzymała odznakę TON i Medal Komisji Edukacji Narodowej oraz Srebrny i Złoty Krzyż Zasługi oraz nagrody ministra i kuratora.

Za pracę w ZWZ i AK otrzymała już w wolnej Polsce Krzyż Partyzancki AK, za pracę w LZK i BCh - Krzyż Partyzancki BCh. 15 czerwca 2001 roku prezydent Rzeczypospolitej Polskiej mianował ją na stopień podporucznika Wojska Polskiego za tajne nauczanie.

Kolejne 10 lat to walka o życie taty, opieka nad nim w chorobie, wielokrotne wizyty w szpitalach. Tataś miał wybuchowy charakter, ale był dobrym, pracowitym i uczciwym człowiekiem. Choć wybuchy czasem gwałtowne spory o drobne sprawy, to mimo to kochali się i przeżyli w dobrych i złych chwilach razem 53 lata. Ostatnie lata to ciężka choroba mamy i jej odejście, które pięknie wyraził wiersz opublikowany w „Naszym Dzienniku”, nie znam niestety jego autora:

*Zamknęły się kochane oczy
spoczęły pracowite dłonie,
przestało bić najdroższe serce.
Pokój Ci wieczny w cichej krainie,
gdzie ból nie sięga
i łza nie płynie.*

Wanda Jadwiga Włoch

Pochodzę z Chorupnika



Chorupnik jest moją rodzinną miejscowością. Przed wiekami istniała tu parafia i kościół. W 1639 roku ówczesny dziedzic, z wyznania lu-

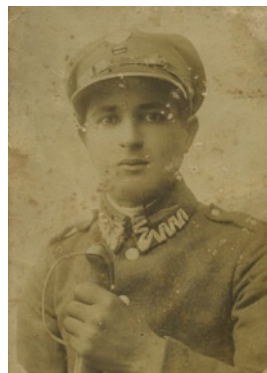


Jakub Sobieski (1590-1646)

teranin, Jakub Sobieski (syn wojewody lubelskiego Marka Sobieskiego i ojciec późniejszego króla Jana III Sobieskiego) bezprawnie zajął grunta kościelne. Dokumenty ukrył i szybko rozebrał świątynię, a z jej materiałów wybudował dworską oborę. Jeszcze tego samego roku, 29 grudnia, urzędujący w krasnostawskiej katedrze biskup ziemi chełmskiej Remigiusz Koniecpolski przyłączył pozbawiony kościoła Chorupnik, Wiśniów, Borów i Borówek do obecnej parafii św. Stanisława Biskupa i Męczennika w Gorzkowie. Następnego roku, na wniosek proboszcza z Krasnegostawu, ks. Czarnotorskiego, sprawa trafiła do Trybunału Koronnego w Lublinie i Jakub Sobieski został zobowiązany, aby tytułem rekompensaty, w ciągu trzech lat wystawić w Chorupniku nowy kościół i plebanię. Ostatecznie odwołał się od wyroku i zawarł ugodę z ks. Markiem Rybułowiczem - nowym plebanem w Gorzkowie, że wybuduje tylko kaplicę. Kaplica w Chorupniku przetrwała ponad 150 lat, aż do pożaru w 1795 roku.

Opowieść rozpocząłem od historii kościoła nie bez powodu, bo wydaje się, że przed laty trafiłem na jego ślady. Otóż obok naszego domu, po lewej stronie, przy końcu wsi znajdował się dawny cmentarz. Gdy układano z głazów, czyli tzw. kocich łbów, drogę w kierunku Susznia i Rudnika, ze wzgórką za naszymi budynkami wybierano potrzebny do budowy piach. Pod koniec prac dało się zauważyć turlające się czaszki ludzkie i grube kości, więc rychło zaprzestano wydobywania. Po kilku latach budowaliśmy stodołę, a było to na sąsiedniej działce, przy skrócie szosy. I tutaj od

strony pola znalezione zostały dwie czaszki, które zakopaliśmy obok ponownie. Pomyślałam, że w pobliżu musiał znajdować się wspomniany kościół, ponieważ dawniej parafian chowano właśnie wokół świątyni. Zapewne i nasi przodkowie tam leżą. Warto byłoby to miejsce upamiętnić, o co apelowałam po urzędach, ale do tej pory bez odzewu.



Władysław Żuk

Moimi rodzicami byli Genowefa i Władysław Żukowie. Gdy wybuchła II wojna światowa, miałam trzy lata. Przeżyłam wiele strachu, poniewierania i niedostatku. Najpierw Niemcy robili czystkę z Żydami. Ja bawiłam się z ładną Żydóweczką o imieniu Salka, jej mama też była ładna i drobna, a tata grubszej kości, wyższy, o imieniu Samson. Byli też i inni - zawsze czymś handlowali. Szkoda mi ich było. Pod Gorzkowem, ze 100 metrów od szosy, w niewielkim zalesieniu jest kirkut - cmentarz żydowski. Nie wiem czy są tam jeszcze jakieś tablice.

Mając około 4 lata, byłam na ręku swojej mamy, gdy wszedł z krzykiem do mieszkania niemiecki żołnierz, a ja dosłownie wpiłam się w szyję mamy, tak bardzo się bałam. Robił rewizję na górze. Nie znalazł jednak czego szukał - o broń mu chodziło. Pamiętam warkot samolotów obciążonych materiałem wybuchowym. Polecenie było, aby okna zasłaniać na noc. W dzień rabowali, ściągali ludziom buty z nóg, jak się spodobały. Mój tato tego doświadczył, oraz kawalerka z Borowa, która smażyła cholewki do mojej ciotecznej siostry. Wszyscy wtedy razem przyszli, bo z naszego okna był widok na drogę. Za jakiś czas Niemcy strzelili w okno dla postrachu i wdarli się do mieszkania. Pościągali ładne oficerki, pozabierali wszystkim portfele, mojemu tatusiowi też. Pamiętam maszerujące

wojsko niemieckie drogą przez łąki od Gorzkowa Wsi do Chorupnika. Byłam wówczas z mamusią, która robiła pranie kijanką na desce - bałam się tego wojska.

Innym razem Niemcy przyjechali czołgiem pod nasz dom, stali z tydzień. Zabrali sąsiadom króliki i patefon, na którym wygrywali piosenki. Oni - sami o sobie mówili, że są łaskawi, bo twierdzili, że jak przyjdą inni to będą mordować, palić itd. Odjeżdżając czołgiem, nie zważali, że na drodze są drzewa, przewracali grube jesiony.

Następnie odbyła się pacyfikacja. Przeróżnie to wyglądało, bo zabierano bydło i trzodę z obór. Kwiczały świny, muczały krowy, a właścicielom rozpacz ścisła gardła, ale co było robić. Wywożono wszystko do Olchowca, tam były dworskie stodoły i obory. Później Niemcy gnali bydło całą szosą do Krasnegostawu na stację kolejową. Eskortowali na zrabowanych koniach, z obu stron poganiając biczeniami. Nasza krowa biało-czerwona rozpoznała swój teren i sprytnie uciekła w błota przy stokach, gdzie była zawsze pojońska, gdy wracała z pastwiska. Tam też gospodynie zwykle prały kijankami, a jak woda była zbyt brudna to i do rzeki Żółkiewki woziły pranie.

Jedni obserwowali, a inni w tym czasie starali się ukryć dobytek przed konfiskatą. Zakopywano kufry z odzieżą, czy naczynia z zapasem tłuszczu, sucharów, pieczonego mięsa. W dużych skrzyniach chowano pszenicę. Czasem Niemcy dostrzegali świeżą ziemię to odkopywali. Żywność rabowali, a gdy trafili na ubrania to nie zabierali ich tylko wywlekali na wierzch i rozrzucali.

Mamusia poszła ze mną ze 100 metrów za krową-uciekiniarką. Niemiec zaczął manewrować, aby ją zawrócić, ale nie było to łatwe. Ludzie kazali nam się schować za suszarnię. Później krowa wyszła na szosę, a Niemiec podążył za nią. Mama postanowiła walczyć na śmierć, na życie o swoją krowę, pociągnęła mnie za rękę i szliśmy cichutko. Krowa skręciła w drogę do swojego obejścia. Wtedy Niemiec usłyszał nas i nagle odwrócił się, celując do nas z broni. Myślałam, że to już koniec. Mama zdobyła się na odwagę i zaczęła błagać, że chciałaby dzieciom udoić mleka, więc opuścił broń. Za chwilę jednak znowu byliśmy na muszce. Krowa tymczasem weszła do obory. Niemiec dał się ubłagać, chyba coś rozumiał po polsku.

Mama wzięła wiaderko z płotu, stołeczek i usiadła do dojenia, ja stałam obok. Nagle, w progu domu pojawił się tatuś. Niemiec skierował do niego broń, a mama, jak przedtem, znowu prosi, błaga i bohatercko mówi, że to jej mąż, że nikomu nic złego nie zrobił. Tata obserwujący z daleka całe zajście, odpowiednio się przygotował i wyjął zza pazuchy butelkę wódki oraz zawiniątko z liśćmi tytoniu. Niemiec chętnie wszystko zabrał, następnie, udając kulawego, poszedł na przełaj poza stodołami, podpierając się kijem. Być może tym kuśtykaniem chciał się przed swoimi usprawiedliwić, że nie zdołał dogonić krowy...

Przygotowania przed niebezpieczeństwem wojny trwały też w różnych zalesionych nieużytkach i dołach. Mieszkańcy robili dla swoich rodzin schroniska pod wzgórkami, bo tam mniej trzeba było kopać. Wykładali słomą lub sianem, a potem układali pościel. Nie wiem jak długo korzystano z takich koczowisk. Kto jeszcze miał konia i wóz to wywoził dobytek. Inni zawijali w prześcieradła co się dało i na plecach często i nocą wynosili. Mamusia z ciotką też tak robiły. Gdy już dojechalśmy furmanką na nocleg w dołach, bo w każdej chwili można było się spodziewać podpaień i pożaru, słysząc tam było tylko ciche gaworzenie licznych sąsiadów. Kiedyś w drodze zaczął padać deszcz. Zatrzymaliśmy się - ja z bratem na wozie, a tatuś jak ptak rozpostarty nad nami. Inna ciocia, niesłysząca, ukryła się nawet pod wozem. W tym okresie mama nie miała czasu spać, bo trzeba było jeszcze krowę zabrać i różne inne rzeczy. Przeszło kilometr nocą chodziły tak z ciotką ze trzy razy w tę i z powrotem, bo w dzień trzeba jej było iść do sąsiedniej wioski Józefów, położonej w rzadkim lesie sosnowym blisko Potasznicy, lokum zamówić u dalszej rodziny. To tam oboje z bratem zaprowadziliśmy krowę miedzą między zbożami. Brat starszy ode mnie o 4 lata prowadził, a ja poganiałam. Zdawało się, że tam będzie bezpieczniej, ale była nas pełna stodoła i w mieszkaniu niemało. Pierwszej nocy pobudka przerwała spanie. Wstawać, bo coś się dzieje - gorączkowo pokrzykiwano - jest strzelanina i może się stodoła zapalić! - Czy to już dzień? - pytała niedosłysząca ciocia. W pobliżu pod wzgórkami leżały wykopane pniaki po ściętych sosnach. Dołów po nich nikt jeszcze nie zdążył zasypać, więc wszyscy pokładaliśmy się

w nich jak w okopach. Strzelanina niedługo ustała. Tato rankiem udał się konno na zwiady, objechał pola i już miał wracać, gdy usłyszał wystrzał raz i drugi więc szybko schronił się w lesie, ale i tak Niemcy go zauważyli. Niby nic nam nie szkodził, ale koń im się spodobał, nasz kary, kochany mądry koń. Ciocia przyszła do domu i mówi, że koń płacze, łzy mu leczą. Idź, mów do mnie - uproś, by go nie zabierali, ale ja się bałam. Jakiś czas nawiązywali rozmowę, czy w pobliżu są partyzanci - na ile jest tu bezpiecznie. A słuchy chodziły, że w Potasznicy są już ruskie wojska i one nas wyzwolą. Poszliśmy więc trochę z ciekawości po wodę do Potasznicy z siostrą cioteczną (ona panna dojrzała, a ja dziecko) bo tam były źródła pod górą i stoki. Rzeczywiście, było tam ruskie wojsko, jakby przyjazne. Weszliśmy do mieszkania, jeden żołnierz uniósł mnie wysoko, ucałował i powiedział, że taką córeczkę ma w swoim domu, ale służba pod rozkazem jest służbą...

Niemcy, wycofując się, znosili amunicję do wybranych domów i podpalali. Jednego z nich, w Chorupniku przy głównej szosie nie zdążyli wysadzić. W Józefowie, gdzie mieliśmy kwaterę, ludzie tylko obserwowali z daleka, nawet powchodzili na drzewa, patrząc z żalem i pytaniem w sercu, za jaką karę marnuje się tyle ludzkiej pracy. Jak można, o tak sobie pozbawić kogoś dorobku całego życia? Ale to dranie - mówiono - klęska, tylko usiąść i płakać...

Kapitulacja ogłoszona - wreszcie pokój. Teraz została jedynie nadzieja i radość, że się żyje. Ludzie długo opowiadali sobie różne ocalenia, np. ucieczki między zbożami, gdy kule gwizdały przy uchu, a były przecież i śmiertelne postrzały.

Przez rok byliśmy w komornym u biedniejszych gospodarzy - państwa Dąbskich, którzy nie zostali spaleni. Zarządzenie z Gminy było, żeby ci, co szczęśliwie ocaleli i nie byli spaleni pomagali pogorzelcom. Dostaliśmy też, jak inni, pozwolenie, aby dwa razy przywieźć z białckiego lasu drewno na odbudowę. Tatuś był samoukiem, ale tak powyrzywał drewno, że fachowcom zostało tylko poskładać dachy nad domem, stodołą i oborą. Patrzyli przy tym z podziwem. Obora zbudowana była z białego kamienia wydobywanego na środku wsi na polu mojego dziadka. Powoli w przeszłość odchodziła bieda, np. ziemniaki kraszone siemieniem lnianym, albo makiem.



Z prawej Władysław Żuk

Później, w 1963 roku, tatuś już sam robił do nowego domu wszystkie okna i drzwi oraz podłogi. Znał się też na geodezji. Ludzie często przychodzili, aby ich podzielić ziemią, robił nawet podział lasu w okolicach obecnej Cukrowni Krasnystaw. Za czasów kawalerskich, po wysłużeniu wojska (służył w kawalerii w Równem), uczył się szewstwa i robił buty. Ja, chodząc do szkoły, często kupowałam mu szpilki z drewna do przybijania podeszew, szczecinę z dzika, za pomocą której przeciągało się dratwę, zelówki, klej, skórę. W takich sklepach można było kupić też goździki oraz rzeczy do robienia mydła. Weterynarz nauczył tatusia sterylizować świnię, co później robił też w innych wioskach. Rodzice byli pracowici zarówno w żniwa, czy przy wykopkach, zboże nocami młynkowali. Mama opowiadała, że obracając korbą podczas takiego młynkowania - zasypiała. Trudno było, szczególnie podczas ciąży, gdy w czasie wykopków należało ułożyć napelniony worek na wóz, bo tak wszyscy robili. Jeden raz poroniła, a gdy miałam lat 14 urodził się ładny i duży braciszek 5,5 kg, ale żył tylko 2 miesiące. Zmarł na padaczkę. Zima była wtedy sroga i dużo śniegu, nie było telefonów i stało się. Rozumiał jak go wołano, śmiał się - szkoda go było. To lekarz polecił ciężą na obsunięcie żołądka - pomogło...

Wojna minęła, życie miało, ale jak wspomnę, nie było łatwo. Trudno zapomnieć gnębienie

obowiązkowymi dostawami. Mieliśmy np. przeznaczone do oddania 6 metrów (600 kg) żywca każdego roku, prawie darmo, bo 5 zł za kilogram (wtedy była inna wartość pieniądza). Jak nie było co odstawić, to można było w przeliczeniu na żywiec oddawać wełnę. Tatuś wiele razy jeździł pod Włodawę kupować nieco drożej wełnę i tam ją od razu sprzedawał w skupie. Przywoził same kwity. Obowiązkowe dostawy zboża też były niemałe, a do hodowli świń przecież potrzebne było zboże.

Rolnictwo w tamtym czasie było słabo zmechanizowane. Większość prac wykonywano ręcznie. Oprócz zbóż, sadzono co roku dużo ziemniaków i buraków cukrowych, uprawiano len, konopie, grykę, proso, soczewicę na swoje potrzeby, a wymagało to ciągłego pielienia. Dla trzody i bydła potrzebne było zboże, ziemniaki oraz zielonki. Do zielonek, prócz siana uprawiano koniczyzny - białą i czerwoną, saradełę, łubiny, wykę. Dobry rolnik starał się mieć zazwyczaj swoje nasiona. Początkowo młócono cepami lub maszyną trybówką napędzaną kieratem, który obracały konie. Później było lepiej, bo pojawiły się maszyny „lublinianki” na prąd, a następnie duże młocarnie napędzane silnikiem spalinowym, które musiało obsługiwać 10-12 osób. Nie mogło się więc obyć bez pomocy sąsiedzkiej.

Len i konopie uprawiano się na płótno, bowiem koszule, kalesony były lniane, a z konopnego płótna szły worki oraz wyrabiano chodniki z dodatkiem kolorowych pasków ze starej odzieży. Dla rodziców były to syzyfowe prace, chociaż dzieci pomagały we wszystkim, chodząc na domiar ze trzy kilometry do szkoły. Pasły też krowy, a dużo przy tym było zabaw, bo ze śpiewem przeganiano je w różne miejsca. Podobnie z głośnym śpiewem wracano z wykopków.

Robiliśmy też przedstawienia na ęmaus w lesie, na dożynki itd. Biegało się na próby, zabawy dziecięce, które organizowano po prywatnych mieszkaniach. Ludzie umieli się cieszyć tym, co mieli. Zapał był do życia różnorodnego, chociaż faszyści zniszczyli wieloletni dorobek, a naszą część Chorupnika w stronę Rudnika puścili z dymem. Z tej przyczyny obiecano mnie przyjąć do Stowarzyszenia Dzieci Ofiar Wojny - płaciłam nawet przez 2 lata składki, ale nie dotrzymało słowa.



Władysław Żuk

Wspominałam, że tatuś był stolarzem-samoukiem, ale i pukano do naszych drzwi, jak trzeba było komu zrobić beczkę, balię do prania, dzieżę na ciasto chlebowe, niecki na pierogi albo na kąpanie niemowląt, stolnicę, szaflik na zmywanie naczyń, wiadro do dojenia (skopek), stołki, taborety. Zachował się jeszcze taboret w szachownicy i dwa mniejsze dla graczy w warcaby. Nie wspomnę, że robił też kociuby do wyciągania ciasta z pieca, trzonki, dyszle, rozwory do wozu, drabiny, znaczniki, grabki i duże grabie do ścierniska. Zimą porą wypłatał kosze i robił miotły. Przy pracy lubił sobie nucić, gwizdać. Śpiewał wojskowe piosenki, obyczajowe i kościelne. Zdarzało się, że i na weselu zaśpiewał. Śpiewnik, który się spalił, odtwarzał z pamięci i z powrotem zapisywał w zeszycie. Miał też zapał do czytania książek wypożyczanych w bibliotekach parafialnej lub gminnej. Często czytał na głos, o co prosiłyśmy z mamą, bo, jak to kobiety na wsi, miałyśmy pełne ręce roboty, jak obróbka lnu i konopi oraz przędzenie, zwijanie nici na tzw. motowidła, tak aby zdjęte motki nadawały się do tkactwa. Niemało było szycia, skubania pierza, robienia na drutach swetrów z owczej wełny, czy chociażby samego obrządku włącznie z gotowaniem i dźwiganiem kartofli w żeliwnych garach. Normą było też pieczenie chleba co dwa tygodnie, różnych pierogów, gotowanie i sprzątanie.

Mój brat Czesław, po skończeniu szkoły podstawowej przerabiał po 2 klasy w jednym roku, nadrabiając zaległości z wojny. Dzielnie pomagał w gospodarstwie. Miał z 15 lat gdy pojechał furmanką oborywać kartofle pod Borowski Majdan odległy ze 3 kilometry. Była z nim klacz ze źrebię-

ciem. Nagle rozpętała się burza do straszliwych rozmiarów, że świata nie było widać. Wyglądaliśmy przerażeni, że najedzie, bo powinien, widząc nadchodzącą burzę, zostawić robotę i uciekać. Później tłumaczył, że koniecznie chciał skończyć, a najgorsza nawałnica spotkała go akurat w lesie w powrotnej drodze. Płakaliśmy - mówiąc, co się z tobą Cesiuniu dzieje, czy żyjesz, gdzie ty jesteś, a żrebiątko... Jak wreszcie ucichło, przyjechał ociekający deszczem. Radość była ogromna, a przeżycie skończyło się ubytkiem zdrowia i postanowieniem, że jak dorośnie to sprzeda swoją część i wyjedzie do miasta uczyć się i pracować.



Teresa Zielińska i Czesław Żuk na ślubnym zdjęciu

Jego marzenie częściowo się spełniło, nawet bez sprzedaży swojej części. Wyjechał za wujostwem do Stłoczn, na Ziemię Odzyskaną, gdzie wzorowo pracował. Później trafił do Warszawy, by udzielać korepetycji czworgu ciotecznego rodzeństwa, a po odbyciu służby wojskowej w Człuchowie, ożenił się w Warszawie i mieszka tam, mając dzisiaj 80 lat.

Wanda Jadwiga Włoch
14.03.2012 r.

Wanda Jadwiga Włoch

Wisławie Szymborskiej



Nitką utkana

Przymierzam się do kartki
Z cienkim długopisem
Aby oznajmić że i ja
choć słabiutko - ale piszę

Listy, czasem rymowanki
I teraz pragnę coś wyrazić
Proszę tej kartki nie wyrzucać
Ani też się nie obrażać

Jest pani migocącym odbiciem
I nitką siostrzaną utkana
Choć ja w wiejskiej chacie
Bez szkół i bez uznania

Piszę, drobne słowa
Czasem do melodii znanej
Szuflada wszystko chowa -
Może kiedyś zaśpiewamy

Wyznanie

Sprawdzam swoje możliwości
A pochwalić bym się chciała
Przecież przez to nic nie stracę
Tylko wewnątrz ubogacę

Wiem co robić - piszę słowo
Rymy pchają się na nowo
Do mej biednej łepetyny -
Żeby były ze mnie kpiny?

Ot poeta - wielka sztuka
Dziecinadą się zajmuje
Więc w sekrecie muzy szukam
Może ona uratuje?

Bo gdy nie ma wykształcenia
I od błędów aż się roi
To wiadomo bez wątpienia -
Pozostaje krowy doić

Joanna Antoniuk

Miejsce z przeszłością - Wielkopole



Każdy człowiek ma lub szuka swojego miejsca na ziemi, gdzie czuje się bezpieczny i spokojny, z którym będzie się identyfikował. Gdzie nauczył się chodzić, po to, aby być w stanie gonić marzenia. Jednym z takich zakątków może być niewątpliwie Wielkopole. Mała, lecz niezwykle urokliwa miejscowość, położona na zachodnim skraju gminy Gorzków, nad rzeką Żółkiewką.

Pierwsza wzmianka o tej wsi pochodzi z 1419 r., kiedy to jako Wola Gorzkowska należała do Gorzkowskich.¹ W zatwierdzeniu uposażenia parafii w Krasnymstawie przez starostę Hryčka Kierdeja, można znaleźć informację, iż w 1448 r. wieś nazywano Wyelopolye.² Nazwa ta (Wielgiepole, Wielkopole) używana była do XIX w. Według rejestru poborowego w 1564 r., były tu 2 łany użytków i 1 zagrodnik bez ziemi³, zaś w 1578 r. - 2 łany (33,6 ha) gruntów uprawnych.

W XV i XVI w. folwark należał do rodu Gorzkowskich, herbu Tarnawa. Była to wieś gniazdowa, w większości zamieszkała przez drobną szlachtę. Jeszcze w 1635 r. część wioski była własnością Stanisława Gorzkowskiego.⁴ Pod koniec XVI w. dobra te w części objął Marek Sobieski, po którym dziedziczył syn Jakub, a następnie wnuk - Jan III Sobieski, król Polski. Wyniosłość terenu otoczona malowniczą doliną rzeki, wykorzystywana była w celach obronnych. Jan III Sobieski sprzedał swoje dobra dziedziczne - Wielkopole wraz z Gorzkowem, Wiśniowem, Chorupnikiem i Dąbiem senatorowi Janowi Braunschweigowi, po którym dziedziczył syn Rudolf. Ten ostatni sprzedał majątek Ottonowi Fielkierzampfowi, wojewodzie inflanckiemu. W 1707 r. Jan Fielkierzampf sprzedał dobra

Janowi Szembekowi. Zmarł on w 1731 r., pozostawiając żonę Ewelinę i 9-letnią córkę Bihildę. 4 lata później Bihilda wyszła za mąż za Jerzego Augusta Mniszka. Po jej śmierci, dobra objął Franciszek Szembek, po śmierci którego, w 1783 r. Wielkopole przypadło jego sukcesorowi Szymonowi Darowskiemu, pisarzowi ziemskiemu krasnostawskiemu, żonatemu z Urszulą. W 1808 r. dobra gorzkowskie po śmierci Szymona Darowskiego przejął w dziale z braćmi: Aleksandrem, Soterem, Adamem oraz siostrą Joanną z Darowskich Skokowską - Józef Darowski.

W 1825 r. Wielkopole liczyło 18 zagród. Do najstarszych mieszkańców tej wsi należały rodziny Cichoszów, Szczepaników, Chadałów, Wronów i Olechów.⁵ Według spisu z 1827 r., Wielkopole liczyło 19 domów oraz 154 mieszkańców.⁶ W 1828 r. dobra te za 500 tys. złp kupił Aleksander Bodeni, radca stanu Królestwa Polskiego. Zaś już w 1840 r. właścicielem Wielkopola został Józef Bleszyński, po którym w 1855 r. odziedziczyli: Władysław, Józef i Klotylda Aleksandra Bleszyńscy. W 1859 r. nastąpił podział majątku, w wyniku którego Klotylda Aleksandra z Bleszyńskich Kostecka otrzymała Wielkopole z folwarkiem Felicjanów, Wiśniów, Zamostek.⁷

W 1845 r. w Wielkopolu istniała karczma, która uzyskała pozwolenie na kontynuowanie sprzedaży alkoholu.⁸

3 lutego 1864 r. oddział powstańczy pod dowództwem Sienkiewicza i Mioduszewskiego stoczył zwycięską potyczkę pod Wielkopolem, w której powstańcy „pobili Moskali na głowę”, a następnie wycofali się w lasy koło Żółkiewki.⁹

W 1886 r. dobra Wielkopole składały się z folwarku Wielkopole i Felicjan, które obejmowały 1 616 mórg (987 mórg gruntów ornych i ogrodów, 57 mórg łąk, 176 mórg pastwisk, 279 mórg lasu oraz 117 mórg nieużytków). Zabudowania folwarku składały się z 4 budynków murowanych

1. Czarniecki W., *Sieć osadnicza ziemi chełmskiej od połowy XIV do połowy XV wieku*, [w:] *Rocznik Chełmski*, t. III, s. 22.

2. Bondyra W., *Słownik historyczny miejscowości województwa zamojskiego*, s. 130.

3. Jabłonowski A., *Polska XVI wieku. Źródła dziejowe*, t. XVIII, s. 193.

4. Wadowski J. A., *Kościół diecezji chełmskiej*, 1907, s. 74.

5. *Kronika Szkoły Podstawowej w Wielkopolu*, Biblioteka SP Gorzków, mps. w posiadaniu autorki, s. 1.

6. Bondyra W., *Słownik...* s. 130.

7. APZ, Akta hipoteki dóbr Wielkopole i Gorzków.

8. DzUGL, 1845 r., s. 386.

9. Niebelski E., *Zmierzch powstania styczniowego w Lubelskiem i na Podlasiu (1864-1872)*, 1993, s. 62.

i 29 drewnianych.¹⁰ Zaś sama wieś liczyła 18 domów i 342 morgi ziemi ornej.

W 1895 r. właścicielem majątku został Eustachy Suchodolski, który ok. 1912 r. sprzedał go kolonistom niemieckim Alfredowi i Fryderykowi Krugerom. W 1913 r. całość dóbr folwarku Wielkopole Krugerowie odsprzedali Leonardowi Kazimierzowi Plewińskiemu. W obrębie założenia dworskiego znajdowały się wówczas budynki mieszkalne i gospodarcze oraz prostokątna kwatera ogrodowa z folwarkiem i gorzelnią.

W 1913 r. notowano ogólną powierzchnię dóbr Wielkopole na 128,43 ha (w tym ogrodów warzywnych było 0,14 ha, łąk 16,85 ha, pastwisk 4,09 ha i 3,94 ha lasów).¹¹ Według spisu z 1921 roku, wieś liczyła 41 mieszkańców. We wsi mieszkało wówczas 3 Ukraińców i 2 Żydów. Natomiast w folwarku były 4 domy i 33 mieszkańców, w tym 8 Żydów.¹² W 1921 r. w Wielkopole było 40 domów oraz 264 mieszkańców (w tym 2 Żydów i 3 prawosławnych).¹³

2 listopada 1918 r. gorzkowski oddział Polskiej Organizacji Wojskowej, wspólnie z peowiakami z Tarnogóry, rozbroili w Wielkopole posterunek austriackiej żandarmerii oraz tabor wojskowy obsługujący kolejkę wąskotorową.

Rok 1920 przyniósł częściową parcelację majątku, w wyniku której z dóbr „Wielkopole Dwór” sprzedano miejscowym rolnikom 90 mórg ziemi. Po Leonardzie Plewińskim majątek odziedziczył jego syn Janusz, jednakże w rzeczywistości zarządzał nim administrator Feliks Brzozowski. W latach 20. naturalne walory wzgórza, zbocza i dolinę rzeki Żółkiewki, otaczające Wielkopole, wykorzystano do urządzenia parku krajobrazowego. Opiekę nad nim sprawował ogrodnik Stanisław Bolesta.

W latach 1925-27 wybudowano szosę, która znacznie poprawiła komunikację z innymi miejscowościami.¹⁴ W 1929 r. Leonard K. Plewiński posiadał w Wielkopole 520 ha ziemi oraz młyn

wodny. W 1936 r., w niewielkiej odległości od zespołu dworskiego wybudowano drewniany młyn. W drugiej poł. XIX w. powstał w Wielkopole dwór murowany. Istniał również tartak i staw z młynem, którego dzierżawcą od pocz. XX w. był Michał Zieśliński z Gorzkowa.

W latach 1936-38, na terenie Wielkopola powstało Koło Związku Młodzieży Polskiej, które z zaangażowaniem spełniało misję organizacji kulturalnego podniesienia i rozwoju dorosłych i dorastającej młodzieży.¹⁵

Po wojnie, na mocy dekretu PKWN, majątek Leonarda Plewińskiego, przeszedł na Skarb Państwa.¹⁶ Dwór murowany w majątku dworskim Wielkopole, do 2007 r. wykorzystywany był jako budynek szkoły podstawowej.



10. *Słownik Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich*, red. Sulimski F., t. XIII, s. 347.

11. Niedźwiedz J., *Leksykon historyczny miejscowości dawnego województwa zamojskiego*, s. 527.

12. *Skorowidz miejscowości Rzeczypospolitej Polskiej. Województwo lubelskie*, t. IV, s. 48.

13. Bondyra W., *Słownik historyczny miejscowości województwa zamojskiego*, 1993, s. 347.

14. Kronika szkoły w Wielkopole, s. 1.

15. Czuba P., Wojtal J., *Walczyli na ziemi krasnostawskiej 1939-1945*, 1979, s. 23.

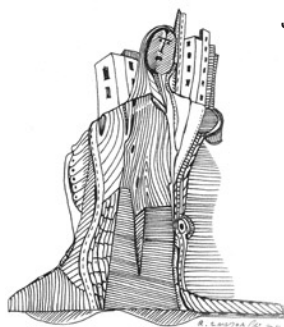
16. Niedźwiedz J., *Leksykon...* s. 527.

11 września 1954 r. założono pocztę w domu Ludwika Wrony, zaś jej kierownikiem został Kazimierz Wróblewski. W Wielkopole mieścił się również urząd Rady Gromadzkiej. Lokalu użył Karol Gieleta, dzięki czemu urząd rozpoczął swoje funkcjonowanie od 1 stycznia 1955 r. Przewodniczącym został wówczas Adolf Młynarski, który był mieszkańcem sąsiedniej wsi Wielobycz.¹⁷

W 1961 r. wybuchł we wsi pożar, który pochłonął 14 gospodarstw (48 budynków gospodarskich, 5 domów mieszkalnych). Pożar rozpoczął się o godz. 12.30 w zabudowaniach Stanisława Pomarańskiego. Z doraźną pomocą pogorzelcom przyszedł PCK w Krasnymstawie, miejscowa ludność oraz Gromadzka Rada Narodowa.¹⁸

We wsi, w 1962 r. pracowało 2 kowali i 1 krawiec. Funkcjonowało kółko rolnicze, straż pożarna oraz zespół budowlany. Wielkopole, wspólnie z Widniówką, wybudowało w 1962 r. most na rzece Żółkiewce. W tym samym roku, rozpoczęto budowę Domu Ludowego. Na dzień 1 stycznia 1963 r. ludność tejże wsi liczyła 345 mieszkańców.¹⁹ W 1972 r. rozpoczęto w Wielkopole budowę magazynów zbożowych²⁰, zaś 2 czerwca 1973 r. oddano do użytku Dom Ludowy. Otwarcia dokonał ówczesny poseł ziemi krasnostawskiej, sekretarz Rady Państwa, L. Stasiak.

W związku ze zmianami w polityce oraz gospodarce, większość miejsc pracy (kółko rolnicze, tartak itp.) zostało zamkniętych. Wielkopole stało się miejscowością typowo rolniczą. Jednakże nadal tętni życiem, „sielskim anielskim”...

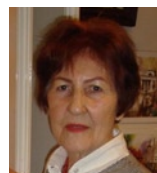


rys. R. Znajomski

Joanna Antoniuk

Lidia Kosk

Łapanka



(Fragment rozdziału „Wojna...”
z przygotowywanej do druku książki).

Na dworcu kolejowym

Chłód wrześniowego poranka wyganiał resztki snu z Ligii w jej kilkukilometrowym marszu do stacji kolejowej. - Zaraz dojdę, wsiądę do pociągu. Dwie stacje, potem Lublin i szkoła - cieszyła się Ligia. Jej pierwszy dzień w szkole po trzech latach przerwy w systematycznej nauce.

Od kilku dni Ligia rozmyślała czy też da sobie radę. Pierwszego września 1939 Niemcy napadli na Polskę, rozpoczęły się lata wojny i okupacji. Przerwana została normalna nauka, podobnie jak wszelka normalność. Ligia ucieszyła się, że przyjęto ją do handlowki, którą utworzył dyrektor znanego gimnazjum i liceum, aby dać młodzieży możliwość jakiegokolwiek nauki i uchronić od wywózki do Niemiec. Była chyba jedną z najmłodszych przyjętych osób; do szkoły podstawowej poszła, gdy miała 6 lat.

Teraz, po wyjściu z wagonu w pośpiechu otwiera drzwi sali dworca w Lublinie, z której wychodzi się na ulicę 1 Maja. Przetnie skosem przecznicę, pobiegnie kawałek w lewo, do Nowej Drogi, którą dojdzie do ulicy Narutowicza i zaraz będzie mieszcząca się tam czasowo szkoła.

Silne szarpnięcie za ramię, ostry krzyk i mocno pchnięta Ligia wpada w grupę ludzi ustawianych w kolumnę. Wciąż nie rozumiejąc, co się dzieje, usiłuje wrócić do drzwi, którymi weszła do sali dworca.

- Widocznie na stronę miasta nie można wychodzić - pomyślała - i tego pilnują niemieccy żołnierze z karabinami.

Niestety, droga powrotna również została odcięta i Ligia zaczęła rozumieć, że wraz z innymi przypadkowymi ludźmi została złapana przez Niemców. ŁAPANKA, zadzwęczało jej w uszach. Słyszała to słowo w strasznych opowieściach. Teraz ona stała się ofiarą łapanki - dlatego tylko, że

17. Kronika... s. 5.

18. Tamże, s. 14.

19. Tamże, s. 16-17.

20. Tamże, s. 32.

znalazła się tu i teraz. Rozejrzała się. Wszystko jedno kto popadł, dorośli czy dzieci, kobieta w ciąży, matka karmiąca dziecko. Ligia była przerażona, podobnie jak inni ludzie. Żołnierze niemieccy z karabinami, krzycząc i popychając złapanych, formowali z nich kolumnę po cztery osoby w rzędzie. Tak wyprowadzono ich na ulicę 1 Maja. Po skręcie w prawo, popędzono ludzi w kolumnie brzegiem jezdni. W czwórce przed nią szła dziewczynka ubrana podobnie do niej, w białą bluzeczkę i granatową spódniczkę.

- Może jechała do tej samej szkoły - pomyślała Ligia i zaświtała jej nadzieja. Z prawej strony zauważyła sklep spożywczy; automatycznie wyciągnęła rękę w stronę dziewczynki i szybko pociągnęła ją do uchylonych drzwi sklepu. Przez moment wydawało się uciekinierkom, że wszystko wróciło do normalności. Skierowały się do lady sklepowej, lecz w tym momencie zostały brutalnie wyciągnięte ze sklepu przez policjanta i dołączone do kolumny. Ligia zastanawiała się, dlaczego on to zrobił - pewnie ze strachu przed niemieckimi żołnierzami, może wszyscy tak się boją.

Łaźnia

Kolumnę zatrzymano przed bramą z napisem „Łaźnia miejska”. Na schodach pierwszego piętra rozdzielano pędzonych między wejścia dla mężczyzn i kobiet; wpychano ich do pomieszczeń z kamienną posadzką, nakazując ostrym krzykiem rozbierać się szybko do naga, a ubrania i rzeczy układać na parapetach zakratowanych okien. Zdjęcie ubrania i bielizny wobec tylu osób było dla Ligii niepojęte i niemożliwe do wykonania. Pozostawiła na sobie granatowe gimnastyczne majteczki i rozpaczliwie broniła się przed ich zdjęciem. Wstyd, jaki odczuwała był silniejszy niż strach przed krzykiem i popychaniem przez jakichś ludzi w fartuchach z gumy. Potężny, jak się dziewczynce wydawało, mężczyzna chwycił w ręce gumowy szlauch i zaczął polewać ją coraz silniejszym strumieniem wody. Pomagała mu podobna do niego kobieta, wylewając na włosy dziewczynki cały pojemnik szarego mydła. Ligia czuła wrzynające się w skórę pieczenie na głowie i całym ciele, jakby uderzały w nią noże. Woda zaczęła zalewać jej usta. Ból, ból i brak powietrza - to ostatnie, co utkwilo w jej

świadomości. Upadła na kamienną posadzkę. Gdy odzyskała przytomność zobaczyła ręce, a potem twarz kobiety - nieznajomą, a jednocześnie budzącą zaufanie. Jej oczy patrzyły z troską matki. Krzyki w języku niemieckim dochodziły zza stojących w rzędzie gołych osób, które spisywano. Zarejestrowani ludzie z łapanki stawali się numerami w tworzonej kartotece. Ligia musiała stanąć w tym rzędzie. Była cała obolała, ale gdy dotykały ją ręce i spojrzenia mężczyzn spisujących, wybuchających raniącym śmiechem, czuła się chroniona przez granatowe majteczki, które obroniła.

Obóz przejściowy na Krochmalnej

Po ubraniu się w pośpiechu, wśród ciągłego popędzania, wyprowadzono ich ponownie na ulicę 1 Maja w kierunku dworca, miejsca początku ich nieszczęścia. Ligia pomyślała, że gdzieś ich wywożą. Minęli jednak dworzec i brnęli dalej wyboistą ulicą Krochmalną. Szli długo, przynajmniej tak się wydawało zmęczonej, głodnej i obolałej dziewczynce. Znajdowała się w środku kolumny, nie widziała co się dzieje na zewnątrz, w stanie takiego wyczerpania, że nie zauważała nawet kto idzie obok niej i jaka jest już pora dnia. Zatrzymano ich przed szeroką bramą obudowaną kolczastym drutem, wśród krzyku i popychania wtłoczono do środka. Brzęk zamykanej bramy przypieczętował niewolę. Krzyk i popychanie trwały dalej. Przed barakiem, ustawieni na baczność wysłuchali zarządzenia: co mają wykonać, jak się mają zachowywać i co ich czeka w razie najmniejszego nieposłuszeństwa. Ligia czuła jeszcze ból od uderzeń wody ze szlauchu i piekącą od szarego mydła skórę głowy, lecz zmęczenie przemogło; osunęła się na siennik ze słomy i natychmiast zapadła w sen. Zdążyła jeszcze zauważyć, że w baraku, do którego ich wtłoczono byli już jacyś ludzie.

- Pewnie, jak my znaleźli się tu nie z własnej woli - pomyślała...

Obudziły ją dochodzące z zewnątrz krzyki kobiecie w niezupełnie zrozumiałym języku. Ciemność nocy oświeślały reflektory umieszczone wysoko na drutach kolczastych. Rozległy się strzały i wrzaski Niemców. W baraku zrobiło się zamieszanie, po czym wpadli uzbrojeni żołnierze niemieccy, z głośnym krzykiem sprawdzając leżących. Tuż

przed nimi pod siennik, na którym leżała Ligia wsunął się jakiś mężczyzna. Strach i świadomość, że najmniejsze zwrócenie uwagi żołnierzy skończy się tragicznie spowodowały, że leżała jak sparaliżowana. Kiedy Niemcy popędzili przeszukiwać kolejny barak, cisza nie trwała długo.

Zgromadzeni tu siłą ludzie nie rozumieli swojej sytuacji, szukali wyjaśnień. Przestraszeni wrzaskami, strzałami i zachowaniem niemieckich żołnierzy, chcieli się czegoś dowiedzieć. Do świtu szeptano różne wieści.

Rankiem, wśród ostrych krzyków i popychania, ustawiono ludzi z łapanek na placu w dwuszelegu. Jeden z pilnujących wykrzyczał po polsku, że mają się podporządkować Niemcom i nie naruszać ustaleń. Transport nastąpi wkrótce.

- Nieposłuszni zostali ukarani przykładnie - pokazał na ogrodzenie z drutu kolczastego. Ligia nie wiedziała o co chodzi i dlaczego ludzie, którzy zasłaniali jej widok, zakrywali oczy rękami.

Uwięzieni otrzymali pierwszy posiłek - gorzką kawę zbożową z małą kromką chleba. Na obiad dano im w blaszanych miskach zupę z brukwi. Mdły płyn i kilka kawałeczków żółtej brukwi. Byli głodni, pozbawieni wody, więc pili z misek te swoje porcje.

Rozpoczęły się wędrówki po placu, który wyglądał jak szkolne boisko. Ligia postanowiła zorientować się, co widać za drutami. Chciała też jakoś uporządkować swoje długie włosy zlepione szarym mydłem, spleść warkocze. Przeciągnęła w nich palcami i zobaczyła rękę pełną włosów. Przestraszyła się, że może wypadną jej wszystkie.

Właśnie wtedy podszedł do niej młody mężczyzna i powiedział, że uratował go. Nic nie rozumiała, a on mówił dalej. Miał na imię Władysław. Dwa dni temu został wywieziony z miejsca zamieszkania z kilkunastoma innymi ludźmi. Trzech z nich postanowiło uciec w nocy przez kolczaste druty, on jako trzeci z kolei. Zdradziły ich krzykiem zbudzone dziewczyny z Ukrainy, które jechały na roboty do Niemiec i nocowały w tym przejściowym obozie. Straszne nieporozumienie, które kosztowało życie młodego człowieka zastrzelonego na drutach ogrodzenia. Władysław zdołał się wycofać i wbiec do baraku. Ryzykował przestraszenie leżącej i jej krzyk, chowając się pod siennik. Teraz, widząc garść włosów w jej ręce, zaczął pocieszać, że odrosną. Traktował ją, dziewczynkę, jak dorosłą

panienkę. Nie mogli rozmawiać długo, bo pilnujący nie dawali ludziom spokoju. Urządzano zbiórki, zastraszano krzykiem i kopniakami. Mimo to, jeszcze tego samego dnia Ligia zobaczyła, że pod druty przychodzą mali chłopcy i kręcą się w pobliżu. Dobrze, że nie zgubiła materiałowej torby ze sweterkiem i zeszytami. Napisała kilka małych kartek do swojej szkoły, powiadamiając o sobie i tej drugiej uczennicy, prosząc o ratunek. Ostrożnie, aby nikt nie zauważył, przerzuciła, chyba ze 3 kartki przez druty, mając nadzieję, że może chociaż jedną podniosą chłopcy i dostarczą do szkoły. Cieszyła się, że tak dobrze zapamiętała adres. Chłopcy nie zawiedli, po to się kręcili. Czy zdawali sobie w pełni sprawę, że mogą zostać zastrzeleni?

Zanim przybył ratunek, Ligia przeżyła jeszcze rozmowę z człowiekiem pilnującym porządku w tym przejściowym obozie. Gdy stała w szeregu obok kobiety w ciąży, człowiek Niemców, mówiący po polsku, nie tylko krzyczał, lecz kopnął w wystający brzuch kobiety. Ligia podtrzymała ją, pomogła. Wezwana do budynku administracji w celu ukarania, zapytała tego człowieka, dlaczego jest tak okrutny, a on o dziwo zaczął z nią rozmawiać. Powiedział, że stracił całą rodzinę, zamordowaną przez Niemców. Zdumiona dziewczynka zapytała, dlaczego więc im pomaga i to tak gorliwie.

- Bo jak ja straciłem rodzinę, dlaczego inni mają żyć normalnie?

Pomyślała, że on pewnie stracił rozum z tego nieszczęścia. Starła się jeszcze coś tłumaczyć, ale tylko rozzłościła go jeszcze bardziej. Zaczął na nią krzyczeć i grozić. Władysław, z którym potem rozmawiała radził, aby była ostrożna i schodziła tamtemu z oczu, bo on może ją skrzywdzić.

Szczęśliwie nadeszła pomoc. Dyrektor szkoły przyjechał po dwie uczennice w przeddzień planowej wywózki. W odbiorze dziewczynki był dostoyny, z siwą, pięknie przystrzyżoną brodą, co łącznie z nazwą szkoły - imienia A. i J. Vetterów - od nazwiska patronów o niemieckim brzmieniu, pomogło mu wyreklamować uczennice. A nie było łatwo, początkowo nie chciano słuchać o ich uwolnieniu. Mówili o tym dorośli, którzy podsłuchiwali krzyki po niemiecku i po polsku w czasie pertraktacji dyrektora, co potwierdził później on sam. Konwojował je do bramy tamten straszny człowiek, któremu Ligia starła się schodzić z oczu. W mo-

mencie otwarcia bramy poczuła uderzenie w głowę i upadła, na szczęście do środka drożki, która stała tuż pod bramą. Z rozbitego nosa popłynęła jej krew. Ból nie przesłonił uczucia wolności, które dominowało nad wszystkim.

Przez wiele lat wyrывał ją z nocnego snu brzęk bramy zamykanej w momencie, gdy wpędzano ich do obozu i ostry dźwięk niemieckich krzyków. Przechodziła tortury, gdy w szkole nauczyciel języka niemieckiego wywoływał ją do odpowiedzi takim ostrym, twardym głosem. Nie była w stanie odpowiadać, chociaż w pisaniu wykazywała przygotowanie. Tkwiły w niej wrzaski strażników - *schneller, schneller...* Nakładały się na nie krzyki nauczyciela - *weiter, genug*.

Lidia Kosk

Postscriptum

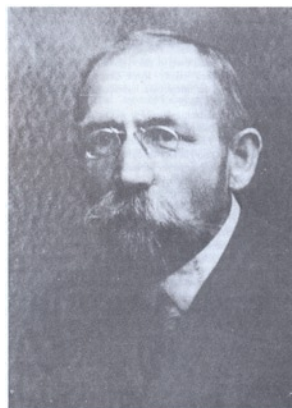
Historia, którą opisałam jest oparta na autentycznych wydarzeniach. Wiele razy wracałam do tamtych chwil, jednak nigdzie nie znalazłam żadnej wzmianki na temat przejściowego obozu przy ulicy Krochmalnej.

W 2010 roku zwiedzałam z córką Danutą kościół Świętej Trójcy na lubelskim Zamku, zwany Kaplicą Zamkową. W trakcie rozmowy z przewodniczką na temat restauracji tego unikalnego w skali światowej zabytku, jak i innych historycznych obiektów Lublina usłyszałam, że nie wszystkie są opisane lub choćby oznakowane. Tu padła nazwa ul. Krochmalnej, gdzie w czasie okupacji był zorganizowany przez Niemców obóz przejściowy, w którym przetrzymywano ludzi przed dalszą wywózką. Z rozmowy wynikało, że jej ojciec, jako chłopiec, biegał tam z kolegami, aby zbierać kartki przerzucane przez uwięzionych i odnosić je pod wypisany adres. Zaniemówiłam. Co za zbieg okoliczności, jak w książkach, jak w kinie. Przecież ja, jako dziewczynka, znalazłam się w tym obozie i przerzucałam przez druty kolczaste kartki z adresem szkoły i prośbą o ratunek. Może to ojciec tej przewodniczki uratował mnie, dostarczając kartkę do adresata? Spotkać się z nim - pomyślałam. Okazało się, niestety, że ojciec naszej rozmówczynie już nie żyje. Usiłowałam nie utracić tej nitki łączności z przeszłością. Stało się to dla mnie bardzo ważne. Powróciły tamte straszne zdarzenia. Uży-

skaałam od mojej rozmówczynie obietnicę zapytania brata ojca i może też jego kolegów. Udało mi się jeszcze raz skontaktować z nią telefonicznie. Stryj pod druty nie chodził. I to wszystko, koniec.

Dlaczego ojciec tej pani nie zgłosił miejsca przejściowego obozu niemieckiego na Krochmalnej władzom Lublina? Nie wiadomo. Sprawa dla niego była niewątpliwie ważna, skoro opowiadał o niej rodzinie.

Jestem w posiadaniu dwóch świadectw ukończenia Szkoły Handlowej im. A. i J. Vetterów Zgromadzenia Kupców w Lublinie w języku polskim i niemieckim. Pierwsze jest za rok szkolny 1942/43, rozpoczynający się we wrześniu roku 1942, kiedy to bohaterka opowiadania „Łapanka” jechała pociągiem do Lublina, została złapana przez Niemców na dworcu kolejowym i zamknięta w obozie przejściowym na Krochmalnej. Drugie, to świadectwo ukończenia dwuletniej Szkoły Handlowej, obejmujące okres nauczania od września 1942 do czerwca 1944, czyli potwierdzające w części pierwsze świadectwo. Podpisy dyrektora i przewodniczącego komisji egzaminacyjnej są nieczytelne. Z informacji sekretarki Zespołu Szkół Ekonomicznych im. A. i J. Vetterów (aktualna nazwa znanej szkoły Vetterów) wynika, że dyrektor, który wyrwał z obozu dwie uczennice nazywał się Tomasz Sauter, a fotografia potwierdza tkwiące



w pamięci dziewczynki podobieństwo dyrektora-wybawiciela. Nie udało mi się dowiedzieć, czy to zdarzenie mogło wystąpić w jakichś zapiskach szkoły.

Lidia Kosk

Aleksander Șerban

Jassy - kulturalna stolica Rumunii


Jassy to największe miasto we wschodniej Rumunii, stara stolica mołdawskiego księstwa - w latach między 1565 a 1859 - to znaczy od hospodara Alexandru Lăpușneanu, (Aleksander Łopusiański) do zjednoczenia Mołdawii z Wołoszczyną. Do 1812 r. Mołdawia rozciągała się od Karpat Wschodnich do Dniestru i od Czeremusza do Dunaju. Połowę Księstwa Mołdawskiego (od Prutu do Dniestru) odebrało Imperium Rosyjskie w 1812 r.

Korzenie osady wiodą do paleolitu, a pierwsze dokumenty oficjalne pochodziły z czasów hospodara Alexandru cel Bun (Aleksandra Dobrego) - 1408 r., kiedy zaliczano Jassy do ważnych grodów w systemie obronnym średniowiecznej Mołdawii. Miasto rozwijało się również jako ważny ośrodek handlowy na szlaku znad Morza Czarnego w kierunku północnym (Gdańsk) oraz z Europy Środkowej na Ruś Halicką. Jeszcze za czasów Stefana Wielkiego wybudowano tu dwór hospodarski. Stolicą Księstwa Mołdawii zostają Jassy dopiero w 1565 r., za panowania Alexandru Lăpușneanu i pozostają nią aż do 1862 r., tj. do ustalenia jedynej stolicy Rumunii - Bukaresztu, do finalnego zjednoczenia księstw rumuńskich. Oprócz faktu, że miasto odgrywało dużą rolę polityczną i gospodarczą, rozwijało się również jako ważny ośrodek kulturalny na skalę całej Europy Wschodniej.

Działali tu wybitni kronikarze, pisarze i mężowie stanu, mający każdy swój wkład w historię i kulturze Rumunii, podnoszący kulturę miasta i Mołdawii do poziomu kulturalnej stolicy kraju:

Grigore Ureche - 1590-1647 - pierwszy znakomity dziejopis, studiował łacinę, język grecki, retorykę i poetykę we Lwowie; jego główny dorobek to *Latopis Kraju Mołdawskiego*, początek historiografii w języku rumuńskim, w którym podkreślił łacińskie źródło wielu słów rumuńskich, a także wspólne pochodzenie Rumunów ze wszystkich trzech Księstw: Mołdawii, Wołoszczyny, Siedmiogrodu; był też ważnym mężem sta-

nu, sprawując między innymi funkcję marszałka Mołdawii Dolnej (południowa Mołdawia);

Miron Costin - 1633-1691 - zaczynał studia u jezuitów w Baru, w okolicach którego jego ojciec, Janku, miał posiadłość, i kontynuował w Kamienice; dobrze umiał mówić i pisać po polsku, po rosyjsku, po łacinie, po grecku; pełnił funkcje dyplomatyczne; walczył razem z Polakami przeciw Kozakom Bohdana Chmielnickiego;

Vasile Lupu (Wasył Wilk) - hospodar Mołdawii - znany w historii jako założyciel Cerkwi Trzech Hierarchów (1637-1639), najpiękniejszej budowli stylu kościelnego nie tylko w Mołdawii, ale i w całym kraju. Tutaj powstała drukarnia wydająca książki w języku rumuńskim. Też znany jako obrońca prawosławia w całym Bizancjum;

Dimitrie Cantemir (Dimitrie Kantemir) (1673-1723) był hospodarem Mołdawii - 1710-1711 - autorem wielu książek, encyklopedystą, etnografem, geografem, filozofem, historykiem, językoznawcą, muzykologiem, kompozytorem, pisarzem. Cantemir był autorem historii i traktatów, w których podkreślał wspólne pochodzenie Rumunów trzech księstw i łacińskie pochodzenie języka rumuńskiego, mającego trzy dialekty: dako-rumuński, megleno-rumuński, istro-rumuński.

Jassy były również ostoją kultury mołdawskiej (rumuńskiej) w czasach, gdy księstwo coraz bardziej popadało w zależność turecką (płaciło haracz sułtanom, którzy wtrącali się w mianowanie hospodarów, albo w inne sprawy wewnętrzne). Choć w XVII i XVIII w. nie omijały Jassów zawieruchy wojenne i zawirowania polityczne (m.in. płądrowali je Kozacy i Tatarzy, zajmowały wojska Jana III Sobieskiego i rosyjskiego cara), to jednak miasto wciąż się rozwijało.

Z Jassami związani byli rewolucjoniści 1848 roku w Mołdawii. To tu, w okresie 1850-1860 rozwinął się ruch zjednoczeniowy, na czele którego stanął Alexandru Ioan Cuza - ostatni książę Mołdawii, a od 1862 roku - pierwszy książę zjednoczonej Rumunii.

Poeta Vasile Alecsandri jest uważany za twórcę rumuńskiego teatru i literatury dramatycznej w Rumunii. Był dramatopisarzem, folklorystą; był ambasadorem Królestwa Rumunii we Francji, osobowością wyrazistą Mołdawii, a potem i całej Rumunii w XIX stuleciu.



Pałac Kultury w Jassach

Działali tu wybitni poeci, pisarze i mężowie stanu, mający swój wkład w historię i kulturę Rumunii: Titu Maiorescu (1840-1917), wybitny literat, filozof, mecenas, pedagog, minister, *spiritus movens* ruchu kulturalnego pod nazwą *Ju-nimea* (Młodość) i współzałożyciel czasopisma *Convorbiri literare* (Rozmowy literackie), które w swej nowej serii publikowało i polskich poetów; Mihai Eminescu (1850-1889) - najwybitniejszy przedstawiciel rumuńskiej literatury doby romantyzmu. Eminescu był dobrym przyjacielem powieściopisarza Iona Creanga (1837-1889), któremu poradził utrzymywać na piśmie chłopskie powieści i baśnie, i uważał go jako najwybitniejszego powieściopisarza pochodzenia ludowego, w odróżnieniu od literatów wykształconych, którzy tylko się śmiali, kiedy Creanga opowiadał im anegdoty, albo czytał powieści.



Teatr Narodowy w Jassach

Ogólnie miasto Jassy może się podobać. Ma wiele cennych zabytków i pamiątek historycznych, ciekawych obiektów o dużym znaczeniu dla kultury narodowej. Stosunkowo mało ciasnej zabudowy, a dużo przestrzeni, szerokich bulwarów, skwerów, parków i w ogóle terenów zielonych. Ważny nie tylko w skali Rumunii ośrodek akademicki, miasto pełne studentów, gwarne, towarzyskie i ogólnie przyjazne dla przybyszów.

Miasto we wschodniej Rumunii - Jassy - stolica średniowiecznej Mołdawii, jej główne centrum administracyjne, gospodarcze, kulturalne i naukowe. Położone niespełna 20 km od Prutu, a co za tym idzie od granicy z postradziecką Republiką Mołdawii (dawniej rumuńską Besarabią - połową Księstwa Mołdawskiego). Liczy ok. 350 tys. mieszkańców i nieustannie konkuruje z Konstancją i Braszowem o miano drugiego co do wielkości (po Bukareszcie) miasta Rumunii.

Aleksander Śerban

Michał Eminescu Mihai Eminescu



Jezioro - Lacul

Błękitny staw w lesie starym
Usiany żółtym nenufarem
Białymi kołami w ciszy
Moją łódeczką kołysze

Opływając wokół brzegi
Jakbym słyszał i nie wierzył
Kiedy ciebie trzciny zrodzą
Kiedy przy mej piersi złożą

Wnet wskoczmy do łódeczki
Bodaj ster wypuścić z ręki
Nie dbać gdzie upadną wiosła
Oby tylko fala niosła

Płynąć tak w objęciach czaru
W świetle księżycowej pełni
Wiatr i trzciny - cichy szelest
Falującej wody brzmienie

Lecz ma luba nie nadchodzi
Próżno wzdycham w starej łodzi
Nad błękitnym szkła jeziorem
Obsypanym nenufarem

Gdyby lata płynąć miały... De-or trece anii...

Gdyby lata płynąć miały jak płynęły
Coraz bardziej będziesz mi się podobała
Bo w postaci twej coś widzę niezwykłego
Nie wiem co to jest i nie wiem dlaczego

Czy zaczarowałaś mnie iskierką taką
W jednej chwili gdy cię ujrzałem pierwszym razem?
O ty wróżko wszędzie będziesz moją muzą
I ciągle inna i nigdy nie wiem jaka

Mimo, że się zmieniasz - dla mnie taka sama
Niezależnie czy coś mówisz, czy też milczysz
Wszak twój głos harmonię zwyczajnie wprowadza
Lecz milczenie jest muzyką - też dogadza

Omotany czarem nie wiem co się dzieje
Błądę wokół ciągle, zdążam starym szlakiem
Nie potrafię zgłębić dzieła tajemnego
I tu nikt nie wie jak z nią jest i dlaczego

Kiedy wspomnienia... Când amintirile...

Kiedy wspomnienia próbują
Wzywać mnie w przeszłość miłą
Na szlaku starym i znajomym
Zdarza się, że nocą przybywam.

Nad domem twoim wschodzą
Ciągle te same gwiazdy,
Które niegdyś jaśniały
I moje serce rozrzewniały

Wschodził też księżyc miły,
Nad rozplecionymi drzewami
Znajdował nas w objęciach...
Szeptaliśmy gorącymi ustami

Nasze serca przysięgały
Wierność na wieki wieków
Na ścieżkach, gdy kwiecie białe
Na ziemię padało z lilaków.

Czy mogłaby tęsknota taka
Zmącić ciszę - ciszę nocy,
Kiedy fale krynicy świeżej
Nie przestają tracić mocy

Kiedy księżyc dęby oświeśla,
Wędrując swą drogą bezgłośnie,
Tam oczy twoje duże jeszcze
Patrzą rzewnie i miłośnicze?

Gwiazda - La steaua

Gwiazda zapalona w niebie
Wiodła nieskończoną drogę,
Tysiącleci było mało
Światłu, aby nas sięgało.

Mogła dawno zgasnąć w drodze
W niebieskich bezkresnych dalach,
Pozostały tylko jej promienie
Odbijane w lustrach żrenic.

Ikona gwiazdy umarłej
Jeszcze podąża niebem;
Żyła, kiedy nie było jej widać,
Dzisiaj widzimy, a jej nie ma.

Podobnie jak tęsknota nasza
Zniknęła w głębinie nocnej
A światelko miłości przygasłej
Przyświeca nam niby mocniej.

Tłumaczył: Alexandru G. Șerban
Konsultacja polska: Andrzej D. Misiura



Pomnik M. Eminescu (1850-1889)

Alexander G. Șerban (czyt. Szerban) od ubiegłego roku przekłada dla nas rumuńską poezję. Dzięki niemu, w „Nestorze” nr 3(17)2011 prezentował już swoje wiersze Cassian Maria Spiridon, a dzisiaj mamy okazję poznać twórczość wielkiego rumuńskiego romantyka Michała Eminescu (Mihai Eminescu, 1850-1889) oraz współczesnego literata Jana Beldeanu (Ion Beldeanu). Alexander G. Șerban tłumaczył również na język rumuński wiersze krasnostawianina Andrzeja D. Misiury, które opublikowane zostały w „Poezji” nr 1(59)2012 - kwartalniku literackim wydawanym w Jassach. Zaledwie kilka dni przed ukazaniem



się obecnego wydania „Nestora”, rumuński tłumacz odwiedził nas w towarzystwie lubelskiego literata, Waldemara Michalskiego. Spotkania w kręgu redakcji oraz z grupą młodzieży z II LO w Krasnymstawie odbyły się we współpracy z Miejską Biblioteką Publiczną 20 czerwca 2012 roku.

Nota o tłumaczu

Alexandru G. Șerban

- profesor, tłumacz i dramaturg. Urodził się 11 października 1940 roku (pod znakiem Wagi, a jako urodzony w 1940 r. jest Smokiem) w miejscowości Carahasani (Okręg Cetatea-Albă), w Besarabii, zaanektowanej już wtedy przez ZSRR. Wraz z rodzicami i siostrą znosił trudy, uciążliwego życia w Siedmiogrodzie. Szkołę podstawową skończył w Cîsnădie - Sibiu, naukę kontynuował w Sibiu



i w Jassach. Studiował na Uniwersytecie im. Al. I. Cuzy w Jassach, kończąc filologię (1963) i filozofię (1973). Jest żonaty, ma jednego syna (44 lata) - wykładowcę na Uniwersytecie Medycznym w Jassach. Mieszka w Jassach. Lubi wędrować, organizować, kontrolować, planować, analizować i uczyć innych. Jest prezesem Stowarzyszenia Obywatelskiego „Dzieci dzieciom” w Jassach, doradcą kulturalnym Domu Polskiego i sekretarzem jasskiej filii Stowarzyszenia „Bukowina”. Obecnie na emeryturze - od 1 września 2003; pracował 30 miesięcy dla polskiej firmy Cersanit Romania, mającej siedzibę w Rumunii. Teraz pracuje sporadycznie dla polskich firm i stowarzyszeń na terenie Rumunii i pisze książki o historii politycznej Polski. Tłumaczy też wiersze polskich poetów współczesnych. Zna dobrze język polski i rosyjski, dobrze zna też francuski, słabo umie po niemiecku.

Opublikował: „Trybunał młodzieńczy - Teatr dla młodych” (Proces Dyktatury i Demokracji; Proces Korupcji; Powołanie bogiń), 2003; „Cugulan zje marcepan” (dramat heroiczno-komiczno-satyryczny), 2003; „Szarlatan ze statywu” (czarna komedia), 2004; „Teatr satyryczny” (5 sztuk), 2005; „Polska dwóch bliźniaków 2004-2006”, 2006; „Pamflety bliźniackie”, 2007; „Polska w portretach” (historia polityczna), 2008; „Leszek Miller - premier europejski - historia polityczna, 2009 oraz przekłady z języka polskiego:

Henryk Józef Kozak „W cieniu ciszy” (wiersze i proza), 1998; Konrad Sakowski „Wielcy zbrodniarze KGB” (historia polityczna), 1999; Jerzy Cieszkowski „Osamotnienie” (wiersze), 2003; „Chociaż wiosna wróci...” (antologia polskiej poezji), 2009; „Nadwrażliwe ogrody” - wiersze Stanisława Leona Popka, 2009; „List od Matki” - wiersze Henryka Józefa Kozaka, 2010; „Czterech wieszczów polskiego narodu”, 2010; „Kupić śmierć” - powieść Henryka Józefa Kozaka, 2011, „Dziennik z nieistnienia” - powieść polityczna Henryka Józefa Kozaka; „Bunin i Esenin - poezja przyrody” - eseje i wiersze, wydanie dwujęzyczne; „Noc wigilijna” - wiersze i powieści, Zbigniew Fronczek, 2012; „Miłujcie ponad bariery czasu” - zbiór wierszy, Waldemar Michalski, 2012.

Jego przekłady wierszy i prozy z języka polskiego i rosyjskiego oraz wywiady z polskimi osobistościami ukazywały się w jasskich gazetach i czaso-

pismach: Independentul, Jurnalul de Est, Cronica, Convorbiri literare, Poezja, i innych miastach Rumunii. Na łamach tych pism opublikował wiersze Tadeusza Chróścielewskiego, Józefa Ferta, Julii Hartwig, Bogusława Kierca, Henryka Józefa Kozaka, Waldemara Michalskiego, Czesława Miłosza, Andrzeja D. Misiury, Macieja Niemca, Zofii Nowackiej-Wilczek, Grzegorza Olszańskiego, Stanisława L. Popka, Tadeusza Różewicza, Jarosława Marka Rymkiewicza, Michała Sobola, Jana Sochonia, Leopolda Staffa, Edwarda Stachury, Wisławy Szymborskiej, Juliana Tuwima, Adama Zagajewskiego, Adama Ziemiańina i Bohdana Zadury, Iwana Buni-na, Zbigniewa Włodzimierza Fronczka. Jest członkiem Związku Rumuńskich Pisarzy (U.S.R.).

Rumuńscy poeci - Bukowina

Jan Beldeanu - Ion Beldeanu



Nie mogą mnie obronić - Nu mă pot apăra

Tylko słowa
mogą mnie obronić
Wychodzę na ulicę i słyszę
parskanie nosorożców
które rozdzierają
płatki mosteczka
między mną a Eldorą
dziewczyną z palcami
szklanymi i uśmiechem
fioletowym

Odwracam spojrzenie
i lokalizuję swój cień
jak grzęźnię w kaźni
tanecznej sali
podczas gdy
spomiędzy zawitych papirusów
wychodzi kopista
Stoi, ostrzega i chce rozlewać
atrament wieków
którym opisano wielkie zdrady
i rozczarowania i ryk
torturowanych

Tylko słowa
mogą mnie obronić
odpowiadam i gubię się
w puszczy metaforycznej
orzeźwiającej
jak letni zmierzch
stamtąd daję wam znaki

przekonany że nawet śmierci
nie ma nie ma nie ma nie ma...

Noc jak kotka - Noaptea ca o pisică

Miała ogień wolności
w spojrzeniu
zwyczajowo przenikała góry
aby trafić przed Słońce
na jego wielkie roślinne dzwonicie

goniłem ją przez okna
wykrzykując
śmierć nas nie obchodzi!
Noc wtuliła się w nasze ramiona
jak kotka
a właściwie
jej wyobrażenie

wpatrzyłem się
w gwiazdy
teraz po moich oczach
płyną zwierciadła
jesteś w nich
pijesz sobie
grzecznie kawę

Naprawdę
jesteś bezlitośnie
piękna
naprawdę
jesteś nienaturalnie
daleka

Kawałek złudzeń - Felia de iluzii

Krzyczała z drugiego brzegu
kocham cię jak kocham światło
a wzburzone fale przelewały się
nad moim spojrzeniem

zubożonym
od tego oczekiwania

Kocham cię jak kocham światło

Widziałem
jak słowa płynęły
niczym wielobarwne płatki
widziałem
jak leciały
na drugi kraniec dali
i czasem wracały
w oczach jakiegoś ptaszka

Zróbcie mi latawiec
ja też chcę przelecieć
na drugi brzeg

Modliłem się do oczu ptaszka
obdaruj mnie skrzydłami
pragnę się wznieść
i rozbić pustkę
rozpostartą między
mną i nią

Dusza moja
ciągle smakowała
ten kawałek złudzeń
i spoglądała na mnie
obojętnie

Ion Beldeanu, „Starea de vid”, Editura Lidana
2005

Tłumaczył: Alexandru G. Șerban
Konsultacja polska: Andrzej D. Misiura

Ion Beldeanu (ur. 1939 r.) działacz kulturalny, eseista, poeta i pisarz, dziennikarz, obrońca praw Rumunów z okupowanej przez Ukrainę Bukowiny (Bukowina północna).



Andrzej David Misiura

Róża z Katalonii i bibliotekarka pisarką



Nie każdy pamięta legendę o tym, że czerwona róża wyrosła z kropli krwi smoka, którego zgładził św. Jerzy - patron Katalonii. Po latach, róża stała się też symbolem katalońskiego odrodzenia kulturalnego. Kwiatem tym tradycyjnie obdarowywano kobiety, a później pojawił się nowy zwyczaj i niejako w rewanżu mężczyźni zaczęli otrzymywać książki. Za tym przykładem w 1995 roku UNESCO ustanowiło Światowy Dzień Książki i Praw Autorских. Oczywiście pozostał nim 23 kwietnia, czyli ciągle ten sam dzień św. Jerzego.

Miejska Biblioteka Publiczna w Krasnymstawie, święto książki potraktowała branżowo i z tego powodu bardzo interesująco. Mianowicie na spotkanie autorskie zaproszona została pisarka Anna Rychter, która na co dzień jest kierownikiem Działu Informacji, Bibliografii i Wiedzy o Regionie w Książnicy Zamojskiej im. Stanisława Kostki Zamoyskiego.



Anna Rychter podczas spotkania w MBP
w Krasnymstawie. fot. Artur Borzęcki

Pisarka zaprezentowała dwie powieści: „Żyjąca w Polsce i inne stany nieważkości” (2010) oraz „Trener duszy” (2011). Artur Borzęcki zauważa, że obie książki poruszają ważne życiowe sprawy, stawiają pytania, ale i udzielają odpowiedzi na szereg trudnych pytań, wręcz spowalniają codzienną egzystencjalną pogoń. Pierwsza z książek, jak mówi z kolei sama autorka, zrodziła się z wielkich emocji, druga zaś - z wielkiej miłości.

ści. Rychter „przepytywana” przez prowadzącego spotkanie Mariusza Kargula zdradziła również, że pracuje nad kolejną powieścią, której akcja będzie się rozgrywać w ważnych dla niej miejscach: Chelmie i Zamościu.

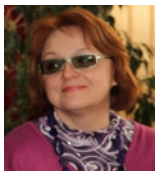
Anna Rychter w prywatnej rozmowie wyznała, że pisuje również wiersze, natomiast obie książki znajdujące się w jej dotychczasowym dorobku wcale nie powstawały z roku na rok jak wynika z dat ich wydania. Uzupełniła je fragmentami swoich zapisków, które przez wiele lat prowadziła w formie pamiętnika. Swoją czerwoną katalońską różę, jaką otrzymała z rąk Artura Borzęckiego, zawiązała do zawsze miłego krasnostawianom Zamościa.

Dzięki uprzejmości Autorki i Wydawnictwa Innowacyjnego NOVA RES prezentujemy na łamach bieżącego „Nestora” fragment powieści „Trener duszy”.

Andrzej David Misiura

Anna Rychter

Trener duszy (fragment)



Pamięta z brutalną dokładnością ten jesienny wieczór: deszcz o zapachu zdrady, takśówkę, bezduszne, sinawe światło nocnej lampki w pustym pokoju.

A więc tak się czuje zdradzana kobieta? Co to w ogóle za określenie: „zdrada”? To słowo jest chyba bardziej adekwatne jeśli chodzi o szpiegów, agentów, jakieś sprawy militarne, polityczne, ale dla dwojga ludzi to coś więcej, coś, co trudno wytłumaczyć jednym wyrazem. Tyle w tym wszystkim jest do opisanego, że aż brak słów.

Jak to przeżyli inni? Czy podobnie jak Poprzednia, czy mieli może mniej cierpliwości od niej i woleli szybko wyrzucić z serca Niewiernego i znaleźć Pocieszyciela? Wszystko zależy chyba od indywidualnego podejścia do sprawy. Jak w każdym przypadku losowego zdarzenia w życiu. To trochę tak jak z przebiegiem pospolitych chorób: są już od dawna opisane przez specjalistów, znany jest

ich prawdopodobny przebieg, objawy, sposób zakażenia, zapobiegania, leczenia i rokowania. Ale jednostkowo może dojść do komplikacji, bo każdy przypadek jest inny, a wyjątek tylko potwierdza regułę.

Przecież to miała być ukochana pora roku Jesiennej - wrzesień dokładnie 15 lat temu. Szykowała się do wyciszenia przed nadejściem zimy, ale tamtej jesieni nie miało być jej to dane. To była najgorsza jesień w jej życiu z Zamyślonym. Dawno nieprzywoływane wspomnienia stanęły nagle przed oczami, wywołując nerwowy skurcz żołądka. „Jak ja to wszystko zniosłam? Dzisiaj już chyba nie dałabym rady”. Przebaczyć, znaczy zapomnieć? Łatwo powiedzieć! Tyle lat minęło, a ucisk w okolicy serca wciąż jest tak samo mocny, jak wtedy gdy zobaczyła swojego męża z inną kobietą, jak wpatrzeni w siebie coś szeptali przy barowym kontuarze. „Czy naprawdę do końca życia będę to jednakowo boleśnie przeżywać?” - ze zdziwieniem stwierdziła, że nie myśli już z wściekłością o Tamtej i Zamyślonym, ale po prostu rozczuła się nad sobą i ma ochotę pogłaskać się po własnej głowie, sprawić sobie przyjemność, porozmawiać ze sobą, pocieszyć się, patrząc w lustro. „Po co w ogóle do tego wracam? Było, minęło”.

Lecz pamięć, jak na złość znowu zaczęła przywoływać zdarzenia sprzed lat, rozmowę w knajpie, pewne siebie spojrzenie Tamtej i Zamyślonego, jakiego dawno nie widziała: usłużny, szarmancki dżentelmen wpatrzony w Tamtą. Wcale nie był zmęczony, mimo że już od dłuższego czasu nie wracał po pracy do domu. Jesienna patrzyła z niedowierzaniem na własnego męża, którego - jak się okazało - w ogóle nie znała. Nigdy nie przypuszczała, że inna kobieta może zawrócić mu w głowie. A wyglądało na to, że Tamta zawróciła. Ba, nawet przewróciła. Zamyślony, z którym od kilku małżeńskich lat byli razem, sprawiał wrażenie twardego realisty, nieczulego na wdzięki kobiet. Zawsze mówił (kiedy jeszcze w ogóle to mówił), że kocha tylko ją, Jesienną, i nie jest idiotą, żeby to zmieniać, szukać, zakochiwać się w Innej, bo za jakiś czas i ta Inna będzie Taka Sama. A jednak... Do czasu, gdy trafił na Tamtą.

Wtedy, w tym barze Jesienna zobaczyła w jego oczach to „coś”, czego chyba jeszcze u niego nie widziała. Kiedy spotkali się przed laty,

to nie była to jakaś szalona miłość od pierwszego wejrzenia. Nie, nie. Najpierw byli parą, która obojnie dojrzewała, uczyła się siebie, poznawała, aż dopiero po pewnym czasie okazało się, że są zakochani. Uczucie narastało etapami, kształtowało ich obydwoje, było rozłożone w czasie. A teraz... Tamta, zadziałała na Zamyślonego jak katalizator w reakcji chemicznej, zmieniła go w kogoś innego. Jesienna, która już wcześniej podejrzewała męża o romans, tamtego wieczora zobaczyła wreszcie na własne oczy jak wygląda zadurzony facet z maślanym wzrokiem, trochę wstawiony, rozanielony, odważny, przebojowy, w rozpiętej marynarce, z teczką porzuconą pod barowym stołkiem. Trochę jak rozbuchany kozioł, który napasł się na łące szalejem i jest gotów obskoczyć każdą samicę swojego gatunku.

A Tamta? Chyba nic sobie z tego nie robiła, bo to nie była jej pierwsza taka zdobycz. Zdaje się, że lubiła dla rozrywki odłowić jakiegoś żonatego gościa, rozbując go, pojeść i popić w knajpach na jego koszt i wreszcie pójść z nim do łóżka. Takie kobiety są jakby żywcem wyciągnięte z XIX-wiecznego burdelu, tylko, że teraz oferują facetom siebie w otoczonego współczesnego marketingu. Są jak wytrawny psycholog: wylawiają z tłumu znudzonego żoną pracoholika i zmuszają go do akcji.

Zamyśloni szybko ulegli tanim komplementom prawionym mu przez Tamtą przy kolejnej butelce piwa, w półmroku intymnego kąca w barze piwnym po brzegi wypełnionym papierosowym dymem. Nareszcie wyrwał się z małżeńskiego kołowrotu! Tamta nie wymagała od niego punktualności, robienia zakupów, poważnych rozmów o życiu, płacenia rachunków, nie snuła wspólnych planów. Była tylko tu i teraz, bez zobowiązań, pośpiechu i nagabywania, no i nie gderала, że on może za dużo pije, a jutro przecież musi iść do pracy, bo wiadomo: obowiązki...

W domu czekała wierna żona, zimny obiad, wyprasowana koszula i wymówki - słowem nic, do czego warto się spieszyć. Zamyśloni błyskawicznie przestał być realista. Jesienna widziała otumanionego romantyka, poruszającego się jakby na zwolnionych obrotach, w innym wymiarze. Nagle ogarnął ją smutek: „Co to jest wierność, lojalność, uczciwość małżeńska? Dlaczego, mimo obojnie składanej przysięgi, to wszystko często dotyczy tylko jednej strony?”.

Tamtego wieczora Zamyśloni nie wrócił na noc do domu. I właściwie trudno mu się dziwić. Jesienna narobiła mu niezłego obciachu w tej knajpie. Najpierw przysiadła się do pary gruchających gołąbków, jakby nigdy nic, jak by pełnym przypadkiem trafiła do tego lokalu. Zamyśloni zwrócił się do Tamtej:

- To moja żona - krótko przedstawił Jesienną, a ona podała jej drżącą rękę.

- A to moja dobra znajoma z pracy - powiedział o Tamtej.

- Miło mi poznać żonę takiego fajnego faceta. - Tamta nie dała się zbić z tropu, wszak była tylko koleżanką żonatego kolegi.

Przez chwilę Jesienna była całkowicie skołowana: „A może to tylko przypadkowe spotkanie dawno niewidzianych znajomych?” - myślała naiwnie. Najbliższa godzina pokazała jednak jak bardzo się myliła. Tych dwoje miało już jakąś tajemniczą przeszłość, rozmawiali o im tylko znanych osobach, miejscach, sytuacjach, mrugali do siebie porozumiewawczo, a nawet rozumieli się bez słów.

Jesienną ogarnęła panika: „Czy to jest na pewno mój mąż, który nigdy nie przepuszcza mnie pierwszej w wejściu do domu, nie zapala mi papierosa, nie obiega dookoła samochodu, by własnej żonie otworzyć drzwi?”. Nie, ten tu dzisiaj to był zupełnie inny facet - podpity macho w przekrzywionym krawacie, który kupiła mu jako praktyczny prezent na ostatnie urodziny. Gdyby w takiej sytuacji zobaczyła męża którejś z koleżanek, to pewnie pokładałaby się ze śmiechu, ale teraz nie było jej wcale wesoło. „Oni mają romans, to pewne, bez dwóch zdań!”.

Skąd to wiedziała? Nigdy dotąd nie była zdradzaną żoną. To chyba był instynkt. Czula przez skórę, że dzieje się coś dziwnego, niedobrego, coś, czego nie potrafiła nazwać, a czego panicznie się bała. Już nie była jego jedyną Jesienną - właśnie poznała współniczkę w małżeństwie, choć wcale o takiej spółce nie marzyła.

A tymczasem romansująca parka zamówiła kolejne drinki, mimo że Jesienna odmówiła picia alkoholu, a jedynie sama sobie zapaliła papierosa, bo siedzący obok mąż nie kwapił się z podsunieniem jej pod nos zapalniczki. Właśnie zajęty był szukaniem papierosów w torebce Tamtej, po-

nieważ poprosiła go o to z szelmowskim błyskiem w oczach. Tak, Jesienna już się nie liczyła dla niego, ba, czuła, że jest wręcz niepożądanym gościem przy barowej ladzie.

- Masz świetnego męża! Jest taki miły i uczynny - powiedziała nagle Tamta, wydmuchując dym z liliowych ust. W takim samym kolorze miała również paznokcie i torebkę, która właśnie zdobiła ramię Zamyślonego, popijającego drinka drugą, wolną ręką.

- Właśnie widzę, że pani się również podobą - powiedziała Jesienna głosem tak głębokim, jakby wydobył się jej aż z okolicy drżących kolan - ale, niestety, jest zajęty, chyba to pani łaskawie zauważyła...

- Doprawdy? - Tamta posłała kolejny kłęb dymu z różowych warg prosto w oczy Jesiennej i podchmielona dalej ciągnęła podjęty temat:

- Jest zajęty mną, bo to ja zwróciłam na niego uwagę, to ja siedzę tutaj godzinami i z nim gadam, i to ja odkryłam go przed nim samym...

Jesienna zupełnie nie wiedziała jak ma zareagować. Była wściekła, przerażona, zdezorientowana, no i nie miała ani różowych ust, ani niebotycznie długich paznokci, ani takiej torebki. „Od kiedy on lubi różowy kolor? Zawsze mówił, że jest dobry tylko na majtkach” - pomyślała zdziwiona. Jej torebki nigdy nie przewiesiłby sobie przez ramię. Takich facetów, którzy noszą torebkę za swoją panią nazywał pogardliwie psituchami. Kim więc był teraz tu, w tej zadymionej speluncie, z błyszczącym na ramieniu kawałkiem liliowej ceraty?

- Błagam cię, chodźmy do domu - Jesienna razem z barowym stołkiem przysunęła się bliżej męża, starając się za wszelką cenę, mimochodem strącić mu z ramienia torebkę Tamtej - Jesteś żałosny z tym różowym gównem na plecach i wyflokowaną lalą przy ladzie. Skąd wytrzasnąłeś taką znajomą, przecież nigdy nie zapraszałeś jej do nas? Czy ona ma jakiś dom, rodzinę? Przecież to niemożliwe. To jakaś zdzira knajpiana...

- Co ty o niej wiesz? - Zamyślony skoczył jak dżgnięty nożem. - Bywaliśmy razem na kursach z marketingu i zarządzania, zna się na komputerach i piłce nożnej, w ogóle jest super, nie to, co te twoje koleżaneczki z wiecznymi pretensjami do życia, zdradzane przez swoich mężów. To jest dopiero kobieta!

A kobieta tymczasem podniosła do ust kolejnego drinka i bezczelnie przyglądała się reakcji Zamyślonego na szept Jesiennej. Wiedziała, że o niej jest mowa, że czyjaś żona usiłuje dowieść swoich praw, walczy o małżeństwo, męża, własną dumę. Jesienna widziała, jaką satysfakcję sprawia jej fakt, że to ona jest dzisiaj zwyciężczynią, to jej należą się laury, bo ma przewagę nad wściekłą i poniżoną żoną.

- Jeszcze raz cię proszę, weź teczkę, pożegnaj się z panią i jedźmy do domu - wycedziła półgłosem przez zęby.

Na tę propozycję Zamyślony odsunął się gwałtownie od żony.

- Z tobą nie przyszedłem i z tobą nie będę wracał! Znam drogę do domu, nie musisz mnie prowadzić, więc jak ci nie odpowiada nasze towarzystwo, to możesz iść, bo my jeszcze tu zabawimy, prawda? - i spojrzał porozumiewawczo na Tamtą, a ona łaskawie skinęła mu utlenioną głową.

Świat zawirował Jesiennej przed oczami. „Idę stąd, wychodzę natychmiast, niech się dzieje co chce, bo zaraz się rozplączę. Nie będę przecież walić ich po pyskach, choć przydałoby się, ale nie mogę dalej dać się poniżać, w końcu mam resztki babskiego honoru”. Nagle olśniła ją myśl jak tonącego: „Zaraz złapię jego teczkę i tak pieprzę po ryjach tych, pożał się Boże kochanków, że zostaną po nich tylko dwie różowe plamy...” Ale opanowała się ostatkiem urażonej dumy: „Nie będę przecież bić się o samca, który potwierdził właśnie, że monogamia to coś wymyślonego przez mężczyzn tylko dla ich żon”.

Odwróciła się szybko, bo poczuła pierwsze, piekące łzy pod powiekami. Wybiegła z baru na mały placyk pełen plastikowych stolików i krzeseł poustawianych pod wielkimi parasolami, reklamującymi jakąś markę piwa. Sezon letni już się skończył, parasole były zamknięte, na dworze nie było nikogo, bo siąpił wrześniey, gęsty deszcz.

Poszła na sam koniec placyku, nad ostatnim stolikiem rozłożyła ciężki parasol i jak automat usiadła na mokrym krześle. Twarz paliła ją, czuła się jak by miała gorączkę. Była w szoku. „A więc i ja także, jak miliony innych kobiet! Co teraz będzie? Co ich łączy? Czy zostanę sama jak moja matka, kiedy długo chorowała i ojciec odszedł do innej, zdrowej kobiety? Ale przecież nie jestem

chora, więc dlaczego? To chyba fatum rodzinne, powielam schematy, tylko że jeszcze nie zachorowałam, a mój mąż ma już inną...”

Zapaliła papierosa i dalej starała się znaleźć jakieś logiczne wytłumaczenie dla tego, co spotkało ją przed chwilą. Deszcz przybierał na sile, ale wcale nie czuła zacinających kosmyków wody, które z parasola zaczęły spływać jej po plecach. Wreszcie, zdeorientowana, wstała z krzesła i usiadła na blacie stolika. Dopiero teraz poczuła, że jest zimny i nieprzyjazny. Chłód plastiku powoli zaczął ją otrzeźwiać. „Ciekawe od kiedy się spotykają? Czy już ze sobą śpią? Kiedy spaliśmy razem? Może on coś mówił, dawał sygnały, a ja nic nie rozumiałam. To moja wina, nie mamy dziecka, ciągle się dorabiamy: praca, nadgodziny, żeby jak najwięcej uciułać, mieć lepszy telewizor, meble, nowy samochód, a teraz... dla kogo to wszystko? Może nas już nie ma? On ma Tamtą, to ona przejmie stery, może szybko da mu dziecko, a mnie wykopie z pamięci i życia Zamyślonego...”

Dlaczego on nigdy mi nie powiedział, że chce czegoś innego, że nie zgadza się z tym, co jest, że musimy coś zmienić, ale razem. A on zmienia wszystko sam. No, nie sam. Z Tamtą. Jest nieuczciwy, wołał zacząć z inną, niż próbować ratować to, co stworzyliśmy razem. A może nic nie stworzyliśmy? Dlatego on chce od nowa, z Tamtą...

Żłość, rozpacz, upokorzenie - tysiące myśli i uczuć szarpały Jesienną. Palila papierosa za papierosem i wciąż siedziała na rozchwianym stoliku. Nie wiedziała ile czasu tu spędziła, ale zapadła już głęboka noc, a zimny wiatr przywiał jej pod nogi kilka pierwszych, opadłych tej jesieni liści.

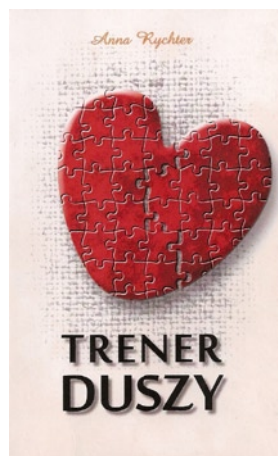
Nagle drzwi baru otworzyły się i w dymiącej smudze światła wyszła z nich roześmiana para. To był Zamyślony z Tamtą. Zaskoczeni deszczem przytulili się do siebie, po czym Zamyślony szybko zdjął marynarkę, zrobił z niej rodzaj daszka i przyciągnął do siebie Tamtą, żeby nie zmokła. Jesienna słyszała jej śmiech wibrujący jak silnik samochodu na najwyższych obrotach, podsycony wypitymi drinkami, rozedrgany nutami pożądania, niepokoju, pełnym oczekiwania napięciem, co przyniesie jej ten zimny, wrześnieowy wieczór u boku gościa tak bez skrpułów zdradzającego własną żonę.

Biała taksówka prawie bezszelestnie zajęchała na placyk i zatrzymała się tuż koło ich stóp. Z mroku parasola Jesienna widziała jak przed reflektorami auta coraz mocniej zacina deszcz. Ciągłość gęstych, deszczowych strug została przerwana na krótką chwilę przez nogi Zamyślonego i Tamtej, migające przed maską taksówki. Biegli obydwójce, a on trzymał nad jej głową rozpostartą marynarkę, którą jakieś dwa tygodnie temu Jesienna przyniosła z pralni chemicznej. Zamyślony otworzył tylne drzwiczki samochodu i Tamtą, wciąż śmiejąc się hormonalnie, zniknęła w głębi białego mercedesa. On szybko okrążył taksówkę i wsiadł na tylne siedzenie z drugiej strony. Klapnięcie drzwi i merc odjechał równie cicho jak się pojawił.

Gdy kochankowie wsiadali do auta, Jesienna w pierwszej chwili chciała wyskoczyć z ciemności i krzyknąć, że ona jeszcze tu jest, że wszystko widzi, żeby się dobrze zastanowili, ale jakiś wewnętrzny hamulec trzymał ją w miejscu, nie pozwolił wydobyć głosu ani poruszyć żadnym mięśniem. Była jak Niobe zamieniona w skałę - sparaliżowana, wryta w ten stolik, bezsilna. Tylko procesor w mózgu podsuwał jej coraz to inne obrazy jak by mało było tego, co właśnie zobaczyła.

Stało się i nic nie zrobiła, żeby temu zapobiec. Wyszła spod parasola wprost w deszcz. Gdzie ma teraz iść po nocy? Do pustego mieszkania? Po co? Nikt tam na nią nie czeka. W poczuciu bezsilności opadły jej ręce.

Anna Rychter



*Anna Rychter,
Trener duszy,
NOVA RES Wydawnictwo Innowacyjne,
Gdynia 2012.*

Zygmunt Marek Miszczak



Podanie

Potwierdzam zawartą we wniosku mym tezę
(Bo pierwszy mój wniosek pozostał bez echa!),
Że Pani - choć niby fachowiec i Prezes -
Stanowczo za rzadko się do mnie uśmiecha!

Na przykład przedwczoraj, gdy miałem nadzieję,
Że Pani mi czasu choć kwadrans poświęci,
Wysłała mnie Pani jak zwykle za klejem -
Dla Pani istnieli jedynie petenci!

A ja, chociaż serce oddane mam kadrom,
Oddaniem niezmiennym i Panią obdarzam.
I właśnie to stało się w sercu mym zadrą,
Że Pani w ogóle mnie nie zauważa!

I nie wie, że prestiż Wydziału podnoszę,
Gdy spodnie prasuję równiutko na kancic,
Lecz, co bym nie włożył - każdego dnia - proszę (!)
- Przychodzą do Pani ci kooperanci...

Ja wiem, że nie szata, a Logo nas zdobi,
Lecz Pani specjalnie nie bywa w Wydziale...,
A to już wygląda zwyczajnie na mobbing,
Gdyż trwa permanentnie i długotrwałe...!

Reasumując - wnioskuje formalnie:
Niech Pani uwzględni me cechy dodatnie,
A skoro zajęta ma zbyt poczekalnię,
Niech spotka się ze mną - wieczorem... prywatnie.

Zygmunt Marek Miszczak, ur. 3 III 1965 w Lublinie. Absolwent Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, Wydział Prawa (1994). W latach 1980-81 współpracownik lubelskiego miesięcznika KPN „Słowo”, drukarz, od nr. 3 faktycznie redaktor nacz. W 1981 redaktor, drukarz pisma politycznego dla młodzieży „Szaniec” (wraz z Grzegorzem Wysokiem, Pawłem Zaborskim, Mariuszem Badyńskim); w IV 1981 współzałożyciel młodzieżowej organizacji Ruch Szańca. W 1981 członek Kierownictwa Akcji Bieżącej Obszaru Lublin. Po 13 XII 1981 członek tajnej organizacji Polski Ruch Oporu; autor artykułów w piśmie PRO „Słowo i Czyn”. II-V

1982 w ukryciu. 3 V 1982 zatrzymany, 5 V 1982 internowany w ośrodku odosobnienia w Lublinie, skąd w VII 1982 zbiegł, do VIII w ukryciu; we IX 1982 w Psychiatrycznym Specjalistycznym ZOZ w Lublinie; 1 X 1982, po ujawnieniu się, internowany w ośrodku odosobnienia w Kwidzynie, zwolniony 25 X 1982. Po wyjściu na wolność działacz KPN (we współpr. m.in. z Dariuszem Wójcikiem, Zbigniewem Sznajderem, Wojciechem Wardawym, Pawłem Mitrussem, Andrzejem Mazurkiewiczem). 1983-1989 kilkakrotnie skazywany przez kolegia ds. wykroczeń (m.in. w V 1985 na 3,5 mies. aresztu, ze względu na stan zdrowia i egzamin maturalny zwolniony po kilku dniach). 1986-1989 członek KABOL. Autor tekstów w piśmie Konfederacji Świętokrzyskiej KPN „Pobudka”. 1988-1989 współorganizator manifestacji studenckich w Lublinie (we współpr. z NZS). 1988-1990 autor tekstów, współredaktor i drukarz pisma KPN Obszar IV Lublin „Goniec”; kolporter wydawnictw niezależnych i ulotek. Współautor tomiku poezji „Tak różne” (2008).

Wiersz satyryczny ze zbioru *Rozproszenie*. Notka biograficzna opracowana przez P. Małgorzatę Choma-Jusińską pochodzi z *Encyklopedii Solidarności* i zamieszczono ją na okładce debiutanckiego tomiku.



Zygmunt Marek Miszczak, *Rozproszenie*, Polihymnia, 2011, ss. 58.

Andrzej David Misiura



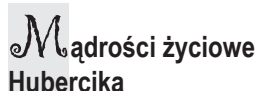

Twórczość jest najbardziej przekonująca, i tym samym budzi szczere zainteresowanie, gdy odzwierciedla autentyczne losy autora. Można powiedzieć, że nie ma nic ciekawszego jak cudzy pamiętnik. Tak więc część prozaików świadomie, a część intuicyjnie zapisuje swoje przeżycia. I jeżeli robią to ciekawym językiem, sukces wydaje się gwarantowany, bo ktoś ułoży lepszy scenariusz, jak nie samo życie...?

Niedawno dotarła do redakcji oryginalna książka Anny Znajomskiej z Łęcznej pt. „Mądrości życiowe Hubercika”. Gromadzi krótkie i dowcipne spostrzeżenia oraz zabawne historyjki będące wynikiem rozmów i różnych życiowych sytuacji, w których znalazł się jej bohater. Jest nim kilkuletni Hubert - syn autorki. Tomik ilustrują rysunki wykonane przez samego Huberta. Młodzi artysta talent plastyczny zapewne odziedziczył i rozwija dzięki swojemu ojcu, Robertowi Znajomskiemu, który od dawna swoje prace zamieszcza w „Nestorze”. On też zaprojektował okładkę. Talent nie bierze się jednak znikąd i można dociekać, że jego korzenie po kądzieli sięgają dalej, a mianowicie znanego lubelskiego poety i malarza, profesora Stanisława Leona Popka, a także i Jana Popka, autora monumentalnej mozaiki znajdującej się w Krasnostawskim Domu Kultury.

Omawiana książka jest już drugim tomem dziecięcych dowcipów. Poprzedni nosił tytuł „Hubercikowe humorki” i zawierał 115 zabawnych wypowiedzi. To dzięki niemu czytelnicy i tajemnicza pani Hanna Fogel, której książka jest dedykowana, zachęcili Annę Znajomską do wydania następnego tytułu. Niewątpliwie jednak oba wydawnictwa powstały dzięki wielkiej matczynej miłości pani Anny. Poniżej kilka wybranych fragmentów.

Andrzej D. Misiura

Anna i Hubert Znajomscy




...

Hubert uczył się roli rycerza przed przedstawieniem z okazji Dnia Kobiet w szkole, fragment roli brzmiał: „Spójrz na mnie łaskawie, ma miła, a wejdzie we mnie taka siła, że pod Grunwaldem Krzyżaka pokonam i skonam”. Mały aktor tak się wczuł w rolę, że zawołał: „A wejdzie we mnie taka siła, że Grunwalda pod Krzyżakiem pokonam!”.

...

Pewnego popołudnia Hubert uzupełniał ćwiczenia z przyrody, musiał opisać kilka rodzajów drzew. Wyczytał w Internecie wiadomości na temat sosen i oznajmił, że osiagają do 80 m. Zapytałam, czy nie rosną wyższe, bo sosny to wysokie drzewa. Odpowiedział, że rosną, tylko nie żyją długo, bo są cienkie i szybko się łamią. Zapytałam ponownie, gdzie występują te najwyższe. Hubert odpowiedział, że w Górach Białych. Byłam ciekawa, co to za góry, więc on na to: „No, góry białe, czyli góry, które mają ośnieżone szczyty, i te sosny rosną na dużych wysokościach, gdzie leży śnieg”.

...

Oglądając Toma i Jerry'ego na jednym z dziecięcych kanałów, w pewnej chwili Hubert zwraca się do mnie: „Mamo, a Jerry to jedyna mysz, której się nie boisz, a wręcz ją uwielbiasz, prawda?”.

...

Hubert przyniósł do domu notes, który znalazł na dworze. Nie byłam z tego zadowolona. Hubert jednak sprytnie skomentował: „Wziąłem go, bo rzadko coś ci się trafia za darmo w życiu. Trzeba przyjmować z wdzięcznością dary losu, choćby to był taki mały dar losu, jak ten notes”.

...

Hubert powtarzał materiał z matematyki dotyczący ułamków. Zapytałam go nieoczekiwanie, czy wie, jak się dzielą ułamki. On mi odpowiedział: „Ułamki dzielą się na właściwe i niemożliwe”.

...

Gdy kupiliśmy sobie zmywarkę, Hubert długo ją oglądał i podziwiał jej cichą pracę. Po chwili

zawołał do swojego brata: „Jasiu, wymyśliłem swój własny żart: jaka jest różnica między zmywką a mamą? Zmywarka jest cichsza!”.

...

Namawiałam Huberta wraz z tatą na udział w konkursie plastycznym zorganizowanym przez Google, popularną wyszukiwarkę internetową. Hubert nie bardzo miał ochotę na rysowanie i po moim kilkakrotnym przypominaniu, zawołał zniecierpliwiony: „Jak ktoś rozkazuje mi, co mam rysować, to ja się boję i moja wyobraźnia też się boi i ucieka, i wtedy zupełnie nie chce mi się nic robić!”.

...

Rano, przed śniadaniem, Hubert skarży się, że jest strasznie głodny i odpowiednio to opisuje: „Moje kości są tak kruche i nie mają siły, tańczą ze zmęczenia, każda w inną stronę”.

...

Na początku czerwca, przed zbliżającymi się Dniami Łęcznej, w której mieszkamy, przepytawałam Huberta, bo brał udział w konkursie wiedzy na temat miasta. Łęczna słynęła w XVIII w. z jarmarków konnych, które przeniesiono tu z Lublina. Zapytałam więc syna, z jakich jarmarków przed laty słynęło nasze miasto, jakie zwierzęta sprzedawano na tych jarmarkach. A on odpowiada bez namysłu: „Dziki”. Pomylił sobie herb Łęcznej, gdzie widnieje dzik, uwieczniony na pamiątkę legendy o pożarze miasta, w której to swoim głośnym kwikiem dzik budzi pogrążonych we śnie mieszkańców, a oni zapobiegają dalszemu rozprzestrzenianiu się ognia.

...

Hubert przed pójściem do kąpieli, odczepił pompę insulinową od swojego ciała i zaraz zawołał: „Co za ulga! Jestem niespotykane wolnym człowiekiem teraz! Nic mnie nie wiąże ani nie krępuje, chciałbym być taki wolny zawsze!”.

Anna Znajomska,
„Mądrości życiowe
Hubercika. O Hubercie
po raz drugi”, Black
Unikorn, Jastrzębie
Zdrój 2012, ss. 51.



Znany czytelnikom „Nestora”, zamojski fraszkopisarz Marian Karczmarczyk, swój najnowszy tomik „Płciowy zawrót głowy” wydał dzięki wsparciu prezydenta miasta Zamościa. Sześć rozdziałów ilustrują rysunki satyryczne autorstwa Małgorzaty Gnyś, a redakcją zajął się, od lat zaprzyjaźniony z Krasnymstawem literat Edward Franciszek Cimek.



Marian Karczmarczyk

Coś z Mickiewicza

Na łące, za miastem,
gdzie wyrosła grusza,
Telimena czytała
„Pana Tadeusza”.
Obok siedział Tadzio,
ten dla niej jedyny,
który szukał mrówek
na ciełe dziewczyny.
No, i w pewnej chwili
coś w nim zaiskrzyło,
bo trafił na gniazdo,
lecz... mrówek nie było.

Przy kąpieli

Dziś Zuzannie nie wystarczy,
że jej nagość ujrzą starcy.
Kiedy z wody znów wychodzi -
patrzy tam, gdzie chłopcy młodzi.

Moralność

Na starość zrobiła
przegląd swego ciała.
Teraz zakrywa to,
co kiedyś odkrywała.

Chora z miłości

Weszła w ramiona lekarza
Podstępny sposobem:
Przez dłuższy czas
Symulowała chorobę.

Taki los

Bywał na odwykach
nałogiem męczony,
aż odwykł od żony.

Pijawka

Zachłanną pijawką
jest pewna Ewa,
więc męża stale
„krew zalewa”.

Kłopot kokietki

Mąż stał się nieznośny,
więc martwi się Ludmiła.
Trudno go wziąć za rogi,
które mu przypawiła.

Wierność

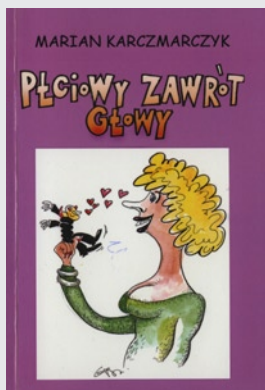
Pas cnoty
własnej roboty.

Pod prysznicem

Miłość powinna być czysta -
rzekł do partnerki higienista.

Strofowany w łóżku

Nabawił się kompleksów,
przy uprawianiu seksu.



Marian Karczmarczyk, *Płciowy zawrót głowy*,
Poli hymnia, Lublin 2012, ss. 72.

Mariusz Kargul

Żelaźniakiem w absolut



W deszczowe popołudnie, 15 kwietnia br. w Zagrodzie Guciów miała miejsce premiera debutanckiego tomiku Stanisława Jachymka „Żelaźniakiem w chmurach”. Autor odgrażał się, że jak nie zdąży na ten dzień, to już wcale go nie wyda. Udało się, choć zdaniem Krzysztofa Konopy „ciąża poetycka” wyszła z lekka przenoszona. Na omawianą publikację składają się wiersze i zdjęcia autorstwa naczelnego geografa Roztocza.

Zgodnie z wyjaśnieniami autora, tytuł wziął się z pewnej obserwacji poczynionej jeszcze w latach młodości. Jechał sobie otóż któregoś pięknego dnia chłop na wozie żelaźniaku, a jak już wjechał na wzgórze, stojącemu na dole Jachymkowi wydało się, że koń, pojazd i woźnica suną w chmurach. Obraz zaiste godzien pędzla mistrza. Kto zna gospodarza Guciowa, ten wie, że nie jest to czcza gadanina. Wystarczy tylko przypomnieć w tym miejscu, iż projekt autorstwa Anny i Stanisława Jachymków „Kopalne uczucia z Guciowa” został nagrodzony swego czasu w ogólnopolskim konkursie Fundacji Kultury „Małe Ojczyzny - tradycja dla przyszłości”.

Jak napisał w postawie sam Krzysztof Konopa, prywatnie przyjaciel i dobry duch Zagrody Guciów, a przy okazji poetycki akuszer, który ową ciążę pomógł autorowi skutecznie donosić: *Jachymkowa poezja tkwi po uszy w naturze - w tej najczystszej formie liryki. Nawet wiersze z dużą dozą sarkazmu, satyry, dzieją się - jak mówi klasyk - „w pięknych okolicznościach przyrody”. Fotografie zamieszczone w tomiku nie stanowią dodatku do wierszy - są ich dopełnieniem.*

I tak jest w istocie. Chwile i krajobrazy utrwalone w kadrze przez eks-sołtysa Guciowa nie są jakąś fanaberią, wymysłem kierowanym np. potrzebą zwiększenia objętości. Wiersze Jachymka bez jego fotografii byłyby niepełne jak stół bez nogi albo pagór bez byka. Z kolei same „obrazki” bez kontekstu literackiego, nie niosłyby ze sobą tej satysfakcji, jaką jest obcowanie ze słowem i wizją rodem spod guciowskiego sklepienia.

Przegląda się w nim absolut istnienia autora książki (dedykowanej zresztą rodzicom). To świat, w którym warto i chce się żyć. Miejsce na ziemi, dokąd idzie się za głosem serca, bez zimnego wyracho-

wania czy kalkulacji. Trudno powiedzieć na ile Guciów był magicznym i mistycznym miejscem przed przybyciem w te strony małżeństwa Jachymków. Na pewno coś tutaj musiało tkwić, skoro zakotwiczyli i wokół tej kotwicy zbudowali całą życiową przystań. Teraz są jak magnes, który przyciąga z nieodpartym urokiem i siłą oddziaływania. Aby pływać w tym absolucie (nie mylić z absyntem) nie trzeba specjalnych kursów, szkoleń, zaświadczeń. Wystarczy otwarty umysł i szczere serce, bo chociaż autor świadczy się tytułem magistra, to w jednym z wierszy pisze o sobie: *wykształcenie zdobyłem/ powierzone/ środek mam zdrowy/ nietknięty*.

Wiersze i zdjęcia Stanisława Jachymka są jak Guciów poza sezonem - autentyczne, proste, szczere. Podobnie jak okładka przedstawiająca butwiejące liście na dnie wąwozu (po zboczach którego skapuje być może owa słynna już na cały kraj - i nie tylko - „wilgoć”). Zdaniem autora, trzeba mieć coś nie po kolei w głowie, żeby przestawać nad takim z pozoru nic nieznaczącym humusem. Ale tylko dzięki takim ludziom nie zatoniłbyśmy jeszcze w powszechnym wyścigu szczurów. Czasami, kiedy tracę orientację życiowej busoli, przypominam sobie, że są jeszcze takie miejsca, jak Bondyryz z księdzem Słonopasem i Guciów ze Stachem Jachymkiem. Od razu robi się jakoś cieplej na sercu i zdrowiej na zwojach.

Warto wybrać się zatem w drogę, w którą zaprasza guciowski latarnik. Po wzgórzach Roztocza, w ostępach puszczy i leśnych wykrótach, z radością przemierzać kolejne zakręty krajobrazu, sięgając od czasu do czasu po „Żelaźniaka w chmurach”, po to między innymi, aby przeczytać wiersz pt. „Dziadek Andrzej”: *dziadku/ przyniosłeś mi człowieka/ dobrego/ dałeś pogodę/ na wszystkie dni/ spłowiły pola/ rok się skończył/ wiek się skończył/ dąb nad Twoją/ chałupiną/ Twoja dobroć/ jak Roztocze*.

Mariusz Kargul



Stanisław Jachymek,
Żelaźniakiem w chmurach,
Drukarnia Zamdruk w
Zamościu, Guciów 2012,
ss. 64.

Wybudzanie dinozaurów - 2012

Na wieść, że Jachymkowy „Żelaźniak...” wyruszył w swoją podniebną podróż, niewiele się zastanawiając zadzwoniłem do Stanisława - autora tomiku. Pogadaliśmy dłuższą chwilę i na drugi dzień miałem w rękach pachnącą drukarnią książkę. Bo w wersji elektronicznej oczywiście nie istniała, potwierdzając dziewiczość i naturalny klimat Guciowa, który od dawna nie chce się nabrać na podstępne cuda techniki. Przeczytałem, jak się powinno powiedzieć, „od okładki do okładki”. Miejscami rozpoznałem mistykę z naszych stron spotkaną w twórczości kilku znajomych poetów m.in. Edwarda Krzysztofa Rogalskiego. Uradowało mnie też niezmiernie, że Stanisław Jachymek zachował rzadki i drogocenny dar, który pozwala mu być poetą, nawet gdy nic nie mówi. Zapewne dzięki temu nie musi brać udziału w wyścigu na ilość wydanych książek i nie potrzebuje zabiegać o przynależność do literackich związków i stowarzyszeń.

Andrzej David Misiura

Stanisław Jachymek

w podróży od rany do rany
gubię się w buczynie
i błękitach żony
jeszcze oczy synów
i woda w źródle
tak daleko od rany do rany
a ja w podróży



pójdę do Paar

spłowiąle stodoły - ostańce polskie
mgły siwomodłe w biodrach starych sadów
gwałtowny deszcz sine tarki syci
do rydzów blisko blisko...
zapach gada z lebiodką
i tylko kamienie wypoczęte
przyjaźni szukają po polach...
a chłopcy batem w jęczmień
pchłom się kurczy pejzaż

życie poszło skosem
gdzie mam szukać ryby?

umyj lustro w potoku
i...
idź tam gdzie zapomniany człowiek
na odludzie
w trawy
idź tam gdzie mech z paprocią gada
do leśnych światów
do chmur słonecznych
do wiatru w polu
idź tam gdzie szczyry piasek
wyszoruje
niedomytą
duszę

mój kumpel kierat
choć mało zmęczony
i w trybach go nie łupie
osiem lat w pokrzywach
leży
porzucony
z rdzą w pokera przegra
ze czterysta jeszcze...
leży na bezrymiu
pusta puszką
samotna...
a pusta butelka wściekła
nie zmęczona nigdy
chce być wypełniana
jak kobieta

dziadek Andrzej

dziadku
przyniosłeś mi człowieka
dobrego
dałeś pogodę
na wszystkie dni
spłowiły pola
rok się skończył
dąb nad Twoją
chałupiną
Twoja dobroć
jak Roztocze

alchemik

człowiek by chciał
poznać budowę Boga
następnie rozmontować
i zrobić duchowe maści
transplantacje
a samą istotę wykraść
jak uran z Iranu
pobawić się
nie pojąć
nasikać
zmieszać w kopytem diabła
i wrócić
do ludzi

w deszczu nad lasem
widziałem Tróję Świętą
naszą rodzoną
cała była zmoknięta

w mojej wsi
Bogi
wychodzą z kapliczek
i na bosaka
ganiamy po polach

Stanisław Jachymek urodził się w 1961 r. w Szczepieszynie. Rodzinny dom w Gorajcu opuścił w 1981 r., aby do roku 1986 studiować geografię na lubelskim UMCS. W 1987 r. z żoną Anną rozpoczął pracę w Roztoczańskiej Stacji Terenowej Instytutu Nauk o Ziemi UMCS w Guciowie. Po 7 latach pracy, drogi z uniwersytetem rozeszły się. Potem roczny pobyt w Lublinie i powrót do Guciowa w 1996 r. Od tego momentu rozpoczyna się budowa Zagrody Guciów. Zakup opuszczonych gospodarstw stał się obszarem nieskrępowanej pracy na rzecz piękna i harmonii wsi polskiej. W Zagrodzie Guciów powstało wiele filmów o ratowaniu architektury, kultury i przyrody Roztocza. Projekt autorstwa Anny i Stanisława Jachymków „Kopalne uczucia z Guciowa” został nagrodzony w ogólnopolskim konkursie Fundacji Kultury „Małe Ojczyzny - tradycja dla przyszłości”.

Dominika Tchórz

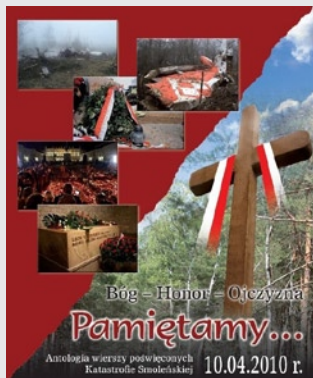
Smoleńsk

Wiatr historii zawirował
i metalowy ptak
przez mgłę
zszedł

Ta ziemia drgnęła
łącząc niemy krzyk dusz
uśpionych i ulatujących w niebo

By Katyń ożył
a imię jego obiegało glob
Smoleńsk przywdziewa kir

I znowu
składamy w ofierze
diamenty
jak zawsze
gdy honoru ojczyzny
trzeba strzec



Wiersz ze zbioru: „Pamiętamy... Bóg, honor, ojczyzna: antologia wierszy poświęconych katastrofie smoleńskiej 10.04.2010 r.”, (red. Janusz Dariusz Telejko). Wydawnictwo „Wektory”, Wrocław 2011, ss. 113.

Dominika Tchórz jako jedyna z powiatu krasnostawskiego znalazła się wśród 41 autorów współtworzących tę piękną pamiątkową antologię, wydaną przez Koło Literatów Polskich im. Zbigniewa Herberta. Wśród autorów znalazł się także ks. Paweł Wojciech Maciąg – założyciel



wspomnianego Koła, które powstało jako alternatywa dla hermetycznych organizacji Związku Literatów Polskich i Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. Dominika Tchórz pochodzi z Izbicy. Jest absolwentką społecznego LO im. Unii Europejskiej w Zamościu i aktualnie studentką dziennikarstwa na UW i psychologii na UKSW w Warszawie, jej wiersze drukowane były m.in. w Egerii, Nestorze, antologiach: „Przestrzeń prawdy” (Lublin 2008), „W nauce życia” (Wrocław 2009), „Pamiętamy”. Jest członkiem (wcześniej zastępcą sekretarza) lubelskiego oddziału Koła Literatów Polskich im. Zbigniewa Herberta.

Dominika Tchórz

Tu inaczej przychodzi wiosna

Nie budzi się krzykiem reklam,
przepychem witryn sklepowych.

Cichutko przepija zmarzlinę
pieszczoną dotykiem słońca
i uśmiecha się bielą tu -
gdzie jeszcze wczoraj był śnieg.

To przebiśniegi kwitną w izbickich ogródkach
by za chwilę ustąpić miejsca
żonkilom, hiacyntom, tulipanom
i

bratkom o oczach czarnych jak Twoje.

Pamiętasz?

Zrywałeś mi je z rabat.

Do dziś patrzę na mnie.

Promienieją ciepłem.

Prowadzą w krainę baśniowych spacerów

po ulicach krętych

gdzie czasami noga trafiała w dołek

po wymytm asfalcie

po rozległych łąkach

gdzie czasami nogi kaleczyły ostre trawy
ubiegłego lata

gdzie Wieprz szumiał wtórując

naszym rozmowom, które nie zawsze
potrzebowały słów.

Izbica trzech wzgórz

*

To za moim oknem
skrywa tajemnic moc.
Dziecięcych harców i marzeń
w zaroślach gęstych jak noc.

Tu ptaki śpiewają najpiękniej
a zapach jaśminu i bzu
tak słodko upaja i nęci
by częściej powracać tu.

**

Mijaszy karuzelę
i kasztanową aleję
kręłą ścieżkę
i schodzisz w dół.

Jesteś

u

podnóża

przedszkolowego wzgórza.

Tam były pierwsze łzy rozstania z Mamą.
Tam były pierwsze przyjaźni doznania.

Szkołą w górę
teraz brama
trochę krzywa - tak, ta sama
i budynek okazały
choć dach ma przedrzewiał.

Gwar tu zawsze niesłychany
gwar przyjazny, swojski, znany.

Kraj lat dzieciennych

I znowu wstało słońce nad Wieprzem.
Zbiera się młodzież na rynku, w parku.
Biegnę na spacer w stronę Malińca.
I szukam miejsc, chwil wspomnień dawnych.
Cała kraina mego dzieciństwa tutaj zamknięta.
A powracając w te okolice, kocham to miejsce - moją Izbicę.

Kazimierz Bolesław Malinowski

Solo na wszystkich



Co się tam wtedy zdarzyło, do jakiej to anomalii perwersyjnej doszło wtedy, w te szalone lata 17-21 zeszłego wieku, na Hulajpolu, Ukraina. Wykrzyknik, pytajnik. Przebrany za pannę młodą drobny, szympanсовaty facet ze swoim oddziałem *zamaskiowanym* na orszak ślubny wpada do stepowego miasteczka i wykonuje zbrojny nieporządek. Ci kolorowi pajace, ta chłopska armia amatorów jest śmiertelnie niebezpieczna. Kopy dostają austriaccy okupanci, a potem po kolei, biali monarchiści i biali republikanie, bolszewicy i Petlurowcy. W różnych konfiguracjach. *Machnowszczyzna* wierzga, wypalanie stepowych traw, języki ognia pulsując, rozpętlają się i cofają, dym. Ten szympanсовaty facet jest na gruzach połamanych na bitewnych polach kości apokaliptycznie rozkrwawionej Europy mesjaszem z dobrą nowiną o wolności.

My skorzystaliśmy na tej zadymie, szybka odbudowa struktur niepodległego państwa, a ukraińscy chłopcy próbowali po swojemu, bez państwa, przeciw państwu, o obszar bez panów i bez panowania. Im się nie udało. A zwycięskim czerwonym nie udało się, mimo mozolnych wysiłków, zatrzeć legendy Rewolucyjno Powstańczej Armii Ukrainy Nestora Machny. Stach Łubieński napisał o tym książkę, biografię Nestora, w której wolne Hulajpole jest punktem centralnym. Wcześniej odbył pielgrzymkę do miejsc świętych. Badał czujnie ślady w pamięci tych, co widzieli i tych, co słyszeli opowieści świadków. *Jestem Polakiem, czy to wam przeszkadza?* Zaczyna rozmowę, po ukraińsku. Od czasów powstania Chmielnickiego pytanie jak najbardziej na miejscu.

Czego tam szuka polski pan, ma jakiś problem z Machną? Pewnie, toż Machno jest postacią arcyproblematyczną. To był istny generator problemów, dla całego filopaństwowego otoczenia. Wszyscy naokoło budowali państwa albo przynajmniej państwoidy, na tym bajzlu po Austrowęgach, carskiej Rosji i Hohenzollernlandzie, dyktaturki, armie, administracje, ciała ustawodawcze, bankczki

narodowe, cały ten sprzęt do ustanawiania, zbierania i wymuszania podatków, a *bat'ko* na odwrytkę, demolował i głosił, że demolować będzie, albowiem źródłem zła na tym leż padole jest państwo właśnie, jako hierarchiczna, oparta na przemocy i dominacji maszyna parowa do wyciskania potu, łez i krwi poddanych dyktatowi knuta. Nu, sam on tego nie wymyślił. Proroków anarchii było przed nim wielu, a Słowianie najsugestywniejsi, Michał Bakunin, książę Kropoćkin, Tolstoj Lew. Ale Machno zamieniał słowo w ciało.

A my, mamy kłopot z Machną? Ciągłe o nas mówią, że Polacy to organiczni anarchiści. Polska, kurde, anarchia. I WiP, Międzymiastówka Anarchistyczna, Waluszko, Kurzyniec, Galiński swoją drogą, a Muniek swoją:

Wracamy do swych wiosek ze zwycięskiego boju
Wracamy do swych wiosek w nasze dni pokoju
Na dalekich frontach podpisują rozejm
Na dalekich frontach zatwierdzają zgodę

Każdy z żołnierzem podzieli się chlebem
Starszyzna wioski zajmie się pogrzebem

Jestem wolny jak taczanka na stepie

Strzelamy w nasze niebo i podrzucamy czapki
Na stepach nasze żony. I nasze stare matki
W chałupach są kartofle, w chałupach z naszego drzewa
My podrzucamy czapki, strzelamy w nasze niebo

Każdy z żołnierzem podzieli się chlebem
Starszyzna wioski zajmie się pogrzebem

Jestem wolny jak taczanka na stepie

Ja wojak, ja mójec - Ja bohaterem boju
Ja w pieśniach, na plakatach - historii swego kraju
Ja wojak, ja mójec - ja z dziećmi na portretach
Ja wojak, ja mójec - ja w filmach, ja w gazetach

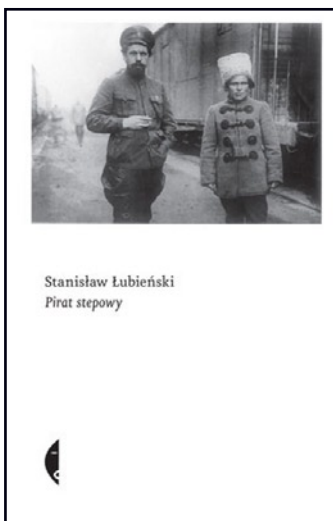
Jestem wolny jak taczanka na stepie, że o Dezerterze, Siekierze i całej reszcie anarcho-punkowej bandy bendów nie wspomnę. Muniek tę piosnkę zaśpiewał w 89-tym, bo wtedy przez chwilę mogło się wydawać, że jesteśmy wolni jak taczanka na stepie. Bo Solidarność. Ale już po chwili

było jasne, że to nie ta anarchosyndykalistyczna Solidarność, z oliwskim programem Samorządnej Rzeczypospolitej, że z tamtej zostało tylko graficzne logo z małym wielkim „R” w kółeczku na górze z prawej strony. A na politycznych demonstracjach drugiej połowy lat 80-tych czarne i czarnoczerwone chorągiewki powiewały. Wychodziła A'capella, Mać Pariadka, Nietoperz, Spartakus, Lewarek Wolności, masa mniej lub bardziej efemerycznych anarchozinów. To była gorączka. Były głódówki, okupacje budynków, uliczne nawalanki, pirackie radiostacje, skoty. A zamiast „R” w kółeczku „A”. Ale to już historia, w której Grabarz śpiewał *„Nasz kolor jest czarno-czerwony”* (Pidżama Porno *Welwetowe swetry*). Teraz wyrosła w Polsce następna generacja apostołów anarchistycznej swobody. I znów *„Czasy są niepewne, sytuacja jest napięta”* (Pidżama Porno *Passenger*). I ta machnowska taczanka się toczy, turla przez wyobraźnię następnego pokolenia. *Pirat stepowy* Łubieńskiego pojawił się bardzo w porę.

Choć solidnie oparta na tekstach źródłowych, to opowieść, nie bezduszne akademickie opracowanie. Łubieński, mimo że elegancko stara się zachować formalny dystans, ujawnia narracją fascynację fenomenem, krwawym machnowskim Woodstock'iem, i jego odpalonym charyzmatycznym szympanسوبodobnym DJ-em otoczonym postrzelonymi apostołami. Tą niesamowitą eksplozją chłopskiej wolności. Nawarstwione ujęcia tworzą plastyczny, sugestywny obraz. Autor również tam jest, w tej zakurzonej hulajpolskiej rupieciarni, rozmawia z jej kustoszami. Składa do kupy skorupy, montuje je jak kadry i wyświetla dokumentalny film uzupełniony rasowymi reporterskimi komentarzami z tu i teraz.

Na okładce książki jest zdjęcie kurduplowatego Nestora stojącego obok rosnącego Pawła Dybienki, bolszewickiego dowódcy, zrobione w czasie, gdy anarchiści zawarli taktyczny sojusz z leninowcami „białymi” Denikina. Dybienko był później jednym z managerów tłumienia buntu kronsztadzkiego, roznieconego przez anarchistycznych marynarzy bałtflota przeciw bolszewikom w 1921-ym. W końcu rewolucja, która obaliła carskie samodzierżawie, wyłoniła z siebie ludobójczą, opartą na niewolnictwie, sowiecką tyranję. Warto jednak pamiętać, że po stronie rewolucjonistów

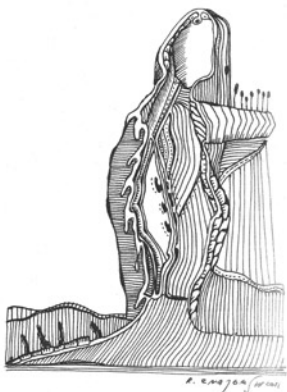
byli również wolnościowcy walczący z bolszewią na śmierć i życie.



Stanisław Łubieński,
Pirat stepowy, Wołowiec 2012.

Miał Machno i polski epizod. W 1923-cim, po ucieczce z Ukrainy do Rumunii, jako *persona non grata* stamtąd wydany, trafił do nas. W Warszawie stanął przed sądem oskarżony o wspólny z Sowietami spisek zmierzający do oderwania Galicji Wschodniej od Rzeczypospolitej. Został uniewinniony. No. A teraz Stach Łubieński uhonorował jego romantyczny żywot adekwatną biografią.

Kazimierz Bolesław Malinowski



rys. R. Znajomski

Artur Borzęcki



Dzieje Pawłowa

Dobrze jest, gdy każda zbiorowość zakłęta w przestrzeni granic: miasta, gminy czy regionu ma swoich badaczy dziejów, społeczników, którzy, „bo chcą”, poświęcają wolny czas, niejednokrotnie kradnąc go rodzinie, na szperanie, spisywanie, odkrywanie i popularyzowanie lokalnej historii. Takich badaczy, skupionych wokół Stowarzyszenia Miłośników Pawłowa, ma szczęście mieć właśnie Pawłów, niegdyś miasto, dziś wieś-osada w gminie Rejowiec Fabryczny. Zespół autorski w składzie: Marian Janusz Kawałko, Adam Kędzierawski, Stefan Kurczewicz, Lucyna Lipińska i Stanisław Lipiński (redakcja) popelnili wspólnie książkę pt. „Zarys dziejów Pawłowa od XV do XX wieku”. Publikacja oparta jest na solidnej podstawie źródłowej, autorzy przeprowadzili kwerendę w archiwum w Warszawie (AGAD), archiwach lubelskich (Archidiecezjalne, Państwowe, w tym również chełmski oddział APL), wykorzystali rękopisy przechowywane w lubelskich bibliotekach, i co ważne, uwzględnili miejscowe parafialne księgi metrykalne. Ze źródeł archiwalnych zabrakło materiałów z lubelskiego oddziału IPN-u, które byłyby przydatne np. do rozdziału VII (Ruch oporu podczas II wojny światowej).

Trzon publikacji stanowi 10 rozdziałów w układzie chronologiczno-problemowym, jak się wydaje, odzwierciedlających zainteresowania autorów. Tematycznie około jednej trzeciej treści zajmuje historia szeroko rozumianego Kościoła. Dysproporcje są też widoczne w konstrukcji samych rozdziałów. Taki, a nie inny dobór tematyki artykułów, wymusił konstrukcję formalną książki, sprawiając, że publikację trudno nazwać monografią w pełnym tego słowa znaczeniu, nawet jeśli autorzy świadomie używają w tytule słowa „zarys”. Przykładowo, jeżeli jest rozdział pt. „Ruch oporu w latach 1940-1944 na terenie gminy Pawłów”, to dlaczego nie ma podobnych o aktywności niepodległościowej w innych latach? Brak też szerszego spojrzenia na inne obszary, np. na kulturę czy życie społeczno-polityczne. Treść rozdziałów nie jest

oczywiście problemem, to wolna wola, własna koncepcja oraz przywilej autorów. Uwagi można mieć do strony techniczno-warsztatowej publikacji.

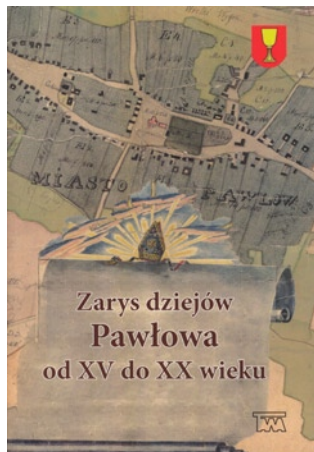
Jeden z recenzentów, prof. Andrzej Stępnik, polecając do druku materiał, wspominał o „drobnych uchybieniach w obrębie aparatu naukowego”, mając zapewne na myśli m.in. konstrukcję bibliografii zamieszczonej w książce. W zestawieniu bibliograficznym, w którym zresztą dokonano nielogicznego podziału na charakter i rodzaj źródeł, mówiąc delikatnie - panuje chaos. Przykładowo, artykuł z naukowego czasopisma „Rocznik Chełmski” został zaliczony do publikacji zwartych [!!!], z kolei inny artykuł z tegoż „RCh” - do artykułów prasowych [!!!], na równi z notką ze „Sztandaru Ludu”. Kilka opisów bibliograficznych jest „urwanych”, przez co nie wiadomo czy chodzi tu o tekst samoistny wydawniczo, czy artykuł np. z pracy zbiorowej. Wykorzystanych w tekście zbiorów rękopiśmiennych z Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej w Lublinie nie widać w wykazie bibliograficznym. Przy pozycjach nieopublikowanych, nie ma miejsca ich przechowywania - gdzie ich szukać? Takie egzemplifikacje można mnożyć, ale nie o to tutaj chodzi. Technicznym błędem jest też to, że przypisy są numerowane w sposób ciągły w obrębie całej publikacji, co w przypadku pracy zbiorowej jest zastanawiające. Brakuje również zawsze pomocnego indeksu osobowego.

Do plusów publikacji zaliczyć należy krótkie notki biograficzne (ze zdjęciami) autorów oraz kolorowe współczesne zdjęcia Pawłowa i jego mieszkańców.

Konkludując, pomimo wspomnianych błędów warsztatowych i może zbyt wybiórczej tematyki pomijającej pewne sfery życia społecznego, kulturalnego czy gospodarczego, książka stanowi cenną pozycję regionalną, której mimo wszystko mogą pawłowianom zazdrościć inne społeczności lokalne. Poza miłośnikami Pawłowa i okolic, publikacja, z racji wykorzystania i omówienia m.in. parafialnych ksiąg metrykalnych, będzie też istotną pozycją na półce genealogów. Książka ważna też będzie dla badaczy dziejów ziemi krasnostawskiej, z powodu sąsiedztwa samego Pawłowa, czy obecnej gminy Rejowiec Fabryczny z powiatem krasnostawskim. Z publikacji dowiemy się m.in. że w XVIII w. w Pawłowie była ul. Krasnostawska,

a także, o tym jak apelacje od wyroku sądu pawłowskiego składane były do biskupa rzymskokatolickiego w Krasnymstawie.

Artur Borzęcki



*Zarys dziejów Pawłowa od XV do XX wieku,
[pod. red. S. Lipińskiego], Wydawnictwo „Tawa”,
Pawłów 2012, ss. 280.*

Andrzej David Misiura



W drzwiach

gdy przemierzałem pustynię
nazwano mnie uciekinierem

postanowiłem posadzić gaj
wówczas okrzyknięto mnie cudzołodziem

ukryłem się w borze
przyjęto to za pogański ryt

pragnąłem zawędrować do
a wahałem się w drzwiach

przez szpary w podłodze
obserwował mnie klucz
który zaginął
podczas porządkowania

Mirosław Iwańczyk



Nikt nie wie

Nikt nie wie co będzie
gdy skończy się ostatni seans
czy umyśli wypełnią otchłań pieśnią
i każdy pragnie być chociaż bilionowym kwantem
odbierającym obrazy przestrzeni
albo mikroskopijnym skrawkiem bytu
pamiętającym swoją tożsamość
i każdy myśli żeby po wszystkim
cieniem dotykać kochanych twarzy
czasami załnić w czyichś oczach iskrą z płomienia
szelestem liści przekazać prorocze słowa
w atomie zmierzchu zaistnieć
przypomnieć że sen to część zmartwychwstania
a człowiek słoneczny rydwan walczący z mrokiem

Karuzela

Wyrzuceni na margines
pogrzebani w nienawiści
wyrastają z bruzdy łona
wciąż i wciąż
łany garbów w bruk wgniatane
pamięć w pieśniach zapisana
pamięć która w sercach tli
nieustanne falowanie
ludzkich dłoni myśli twarzy
bezustannie trwa i trwa
karuzela karuzela
świat pochłania i powtarza
w samotności zapomnienia

Mędzy milczeniem

Mędzy milczeniem
a milczeniem
coś jest
soczewka świata
gdzie się skrapla
całość
istnienia tragizm
czas pustkę wypełnia
przywołuje pamięć
cisza spowiada czaszki
na maskach

strach zastyl
przed kresem
cierpiących twarzy

Jesteś fantomem

Jesteś tylko fantomem
snem niespełnionych pragnień
mirażem co wędruje
dolinami złudzeń
nie jesteś niczego pewien
wszystko budzi lęk w tobie
wyczuwasz brak stabilności
obluda grząska i lepka
wypełnia przestrzeń życia
nicość kroczy tuż obok
na zmierzch spójrz
gdzie nikną
poetów umarłych sylwetki
zastłuchaj się
w psalm ich wędrowki
skomponuj
dla nich requiem

Zaśpiewaj mi pieśń nieznaną
o wszystkim co było
i o tym co nie istniało
zaśpiewaj mi pieśń nieznaną
bez końca i bez początku
bez słońca na tle horyzontu
zaśpiewaj mi pieśń nieznaną
z uczuciem lękiem i trwogą
helotów posępną mową
zaśpiewaj mi pieśń nieznaną
błękitnych ramion przestrzeni
w zielonej strukturze ziemi
zaśpiewaj mi pieśń nieznaną
słowami których już nie ma
o myślach które ziemia wchłonęła
zaśpiewaj mi pieśń nieznaną
sufiego natchnionego
w obłokach tańczącego
zaśpiewaj mi pieśń nieznaną
wirującego posłańca
derwisza i skazańca
zaśpiewaj mi pieśń nieznaną

Kazimierz Bolesław Malinowski

Rosyjski Sfinks



Dawno temu, w odległej galaktyce, świętej pamięci Miro Nahacz powiedział mi o wywalonym w kosmos autorze, co pominąć go nie można. Miro miał czuć do mistrzowskiej warsztatowo psychodelicznej fantastyki, nakierował mnie na Thomasa Pynchona, Neala Stephensona. A ten autor, trzeci, ale najważniejszy, to był właśnie Pielewin, Witia, tak, ten od *Generation P*.

Ów mąż, tajemniczy autsajder (... „ponurym samotnikiem”, „odludkiem” i „kokietką” w naszych czasach nazywają człowieka, który nie chce za friko dymać świni przed kamerą. A jeśli nie chce nawet za pieniądze, wtedy mówią - „próbuję odkryć się aureolą zagadkowości” - S.N.U.F.F.), co skrywa zwykle oczęta za ciemnymi okularami, pozwala się wywiadować z rzadka i niechętnie, jest koronnym świadkiem i dowodem, że zryta psychoaktywność bańka może być płodna i precyzyjna, do projektowania nowych paradygmatów porządkujących obłęd cywilizacji w fazie poinformacyjnej rewo sposobna. Co właściwie się dzieje, w czym uczestniczymy? Jakie charakterystyczne funkcjonalne cechy ma współczesna kultura? Jak rozeznaczyć się w konstrukcji Molocha, nie utykając mentalnie w generowanych przezeń iluzjach?

McLuhan, Baudrillard, Debord powiedzieli o medialnej cywilizacji symulakrowego spektaklu swoje, językiem rozpraw i esejów, Pielewin opowiedział nam ją za to dobrą prozą. *T*, i najnowsza jego powieść *S.N.U.F.F.* są uzupełniającymi się seriami ujęć problemu położenia boskiego ludzkiego niebożęcia ery, kiedy nasze cienie, jak tuż przed zmierzchem, są najdłuższe, wydobyte oślepiającym bliskiem Technologicznej Osobliwości, co na osi czasu jest punktem wyznaczającym koniec historii. Obie są również znakomitymi fabularnie opowieściami o udręczającym współczesną literaturę strukturalnym kryzysie fabuły. Fajnie się złożyło, że ich lektury mi się ze sobą stereoskopowo nałożyły. Niedawno WAB wydał *T* (wyd. rosyjskie 2009), a od nieocenionej Poliny Siergiejewnej dostałem z Moskwy woniejące świeżą farbą drukarską wydanie *S.N.U.F.F.*-a. Dzięki temu jeszcze plastyczniej dostrzegłem wydajność pielewinowskiego generatora konceptualnego. Ale do rzeczy, do rzeczy.

W *T* Pielewin objaśnia nam zawiloci problemu kim jest literacki bohater naszych czasów. Egzemplifikacją jest bohater jego własnej powieści, hrabia T., wygarbowany na postmodernistyczną modłę Lew Tołstoj. Postać tragiczna i groteskowa. Nie, jak pierwowzór, tknięty demencją staruszek, u schyłku życia ruszający w swoją ostatnią podróż kolejną żelazną, tylko młody awanturnik przebrany za popa, solidnie wyposażony w dziwaczne utensylia do walki wręcz. Jego misja - dotrzeć do widmowej Pustelni Optyjskiej, gdzie doznać ma duchowego spełnienia i przeobrażenia. Zaczyna się opowieść od fazy komiksu sensacyjnego, luźno opartego na popkulturowej recepcji przetworzonych motywów kanonicznych XIX-wiecznej rosyjskiej literatury pięknej oraz wysokiej, wyonaconej w jakiś rozrywkowy steampunk. Ale Pielewin nie ma zamiaru wyszydzać i dezawuować wysiłku gigantów rosyjskiego ducha czasu przełomu wieków, przeciwnie, chce nam opowiedzieć ich mękę na nowo. Hrabia T. doznaje iluminacji, objawia mu się jego demiurg ułomny, szef zespołu literackich *copywriterów*, którzy kreują jego losy i wyznaczają mu, jako postaci, fabularne drogi. Zadaniem zespołu jest wyprodukowanie powieści, która będzie chodliwym towarem. *Rozumie pan? Twórczość literacka przeobraziła się w sztukę zestawiania takich kombinacji liter, które będą się najlepiej sprzedawać.* Demiurg, Ariel Edmundowicz Brahman, jest kutym na cztery kopyta literackim przedsiębiorcą. Za pomocą pewnej kabalistycznej techniki (spopielenie strony tekstu, rozpuszczenie popiołu i wypicie, motyw jak z „Esencji” Gawronkiewicza), może wejść w bezpośredni kontakt z bohaterem własnej prozy, albowiem każda wykreowana literacka postać „żyje” na swój sposób w uniwersum opowieści. *Nawet najmarniejszy i najtępszy pisarzyna, z czarną jak noc duszą jest w stanie powołać do życia nowe istnienia.* I już płynie potok dowcipnych erudycyjnych rozważań, wariacji na temat specyficznie rosyjskiej egzaltowanej, a w porывach historycznej duchowości. Starcie z metafizycznym złem, wiara, istota wolności, drogi zbawienia, wewnętrzne rozdarcie, cała ta niepokojąca, duszoszczypatielna plejlista rzucana w nowoczesne konteksty, odślania nowe znaczenia. Oto człowiek „pisany” przez merkantylnie motywowanych socjoingenierów, toczących ze sobą straganiarskie boje o otumanionego klienta. Pielewin, jako Rosjanin nie ma złudzeń co do własnej ojczyzny - *Ten zapytał, na czym polega kosmiczne powołanie rosyjskiej cywilizacji. A Sołowiow na to: jest to, wasza cesarska moc, przeróbka energii słonecznej na niedolę ludu.* Jednak isto-

tę oferty Zachodu rozpoznaje lapidarnie - *Europa, Europa - a cóż jest dobrego w tej całej Europie? Czyste wychodki na dworcach, i to wszystko. Można tam jeździć, żeby się wysrać, a poza tym nie ma po co... I dodaje - Najstraszniejsza jednak nie jest ta cała babilońska kosmetyka, ale to, że przy niej rzeczy proste i prawdziwe zaczynają wyglądać ubogo i nędźnie*. Sztydzi jednak z tołstojowskiego snobistycznego „sprostaczenia”, któremu oddają się wyższe sfery, nie ma powrotu do urojonej sielskiej arkadii przez zmianę kostiumu i językową rustykalizację. Wszzechogarniająca wielopoziomowa reżyseria eroduje real, unieważnia go. Miejsce wszechmogącego Boga, jako Kierownika Produkcji, zajmują drobnego płazu demony kitrające kasę na spłatę rat konsumpcyjnych kredytów.

Ukazanie specyfiki relacji Rosja-Zachód jest też osią najnowszej jego powieści *S.N.U.F.F.* Dawno, dawno temu ludzkość przeszła burzę atomowej wojny. Ostało się uwstecznione cywilizacyjnie państwo Urkaina, niedowładna tyrania, i wiszący nad nim na antygravitacyjnej poduszce kontynent BigBiz, liberalna demokracja. Obszerna święta Ruś wobec wyszydzonego dekadentckiego Zapadu, pisarz chłostkowie są sprawiedliwie, po równo. Klaustrofobiczny świat BigBizy, poszerzony elektronicznie generowanymi mirażami żyje wewnątrz produkowanych przez siebie halucynacji. Pierwszoplanową postacią wprowadzającą nas za jego kulisy jest Damiłola, pilot bojowy, jak lubi o sobie mówić, operator uzbrojonego drona-kamery. Tłusty sybaryta, którego życie uczuciowe i erotyczne obsługuje sura (surogat kobiety, żeński cyborg) Kaja, wyregulowana mentalnie przez właściciela na maksymalne „sucedstwo” i uduchowanie, co daje wyjątkowo ekscytujący sprzęg. *Myślisz - smutno rzekła Kaja - że jestem po prostu gadającą lalką do masturbacji. I tu masz rację tłusta świni. Mylisz się w czym innym. Sądzisz, że wewnątrz ciebie żyje Manitu. I to czyni cię czymś jakościowo różnym ode mnie. - A czyż nie? - Nie - odezwała się Kaja. - Jesteś taką samą maszynką do onanizmu jak ja. Tylko bezużyteczną, dlatego, że nie ma nikogo komu byś to robił. Rozumiesz? Manitu w powieściowym świecie to jedno słowo oznaczające Boga, komputer i pieniądze jednocześnie.*

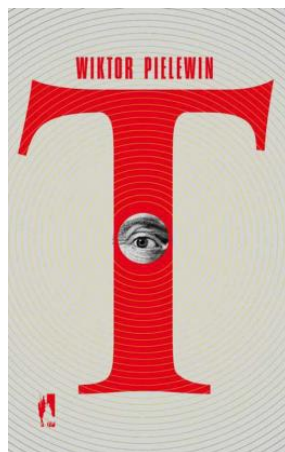
Urkaina i BigBiz są ze sobą w permanentnym konflikcie, co jakiś czas prokurowana jest rytualna wojna, Urkowie giną tysiącami w aranżowanych przez BigBizantyjczyków bojach z wyślnymi efektownymi wizualnie machinami, nad polem boju, wielkiej arenie, krążą pieczołowicie

rejestrujące spektakl automatyczne kamery, jak trzeba to i strzela z bezbłędną precyzją, operatorem jednej z nich jest Damiłola. A o cóż idzie bój? O wymyślone przez „dyskursmonterów” BigBizy, „liberastów”, pierdolety, głównie o wolność uciekniętych Urkaińskich ero perwersów.

Młody Urk Grym, meandrami fabuły wiedzion, trafia na uduchowioną cybersukę Kaję, dochodzi do uczucia i transmisji danych. *- Myślałeś kiedyś - zagadującym tonem spytała Kaja - dlaczego światowa oligarchia tak nagłaśnia prawa seksualnych zboczeńców? [...] - Nie - powiedział, szeroko otwierając oczy. - A dlaczego? Dlatego, że oni sami są zboczeńcami? - Rzecz nie tylko w tym - odpowiedziała Kaja. - Władza nad światem należy do finansowej elity. Grupki draniów, którzy dla swojego zysku skazują wszystkich pozostałych na niewypowiedziane cierpienia. Ci niegodziwcy skrywają się za fasadą fałszywej demokracji i unikają publiczności. Dlatego dla aktualizacji rozkoszy potrzebna im grupa ludzi, mogąca być ich ukrytym symbolicznym reprezentantem w świadomości społecznej. [...] - A po co im to? - zapytał. - Żeby na symboliczną reprezentację elity złożoną z perwersów, przechylała się szala większościowych preferencji, i realna tajna elita doznała kryptoorgazmu uwiarygodnienia. To przecież oczywiste.*

Treść prozy Pielewina jest festiwalem parapranoicznej politniepoprawności, pozostawiającym w umyśle czytelnika masę niepokojących i inspirujących pytań. Jeżeli ktoś was zapyta o najciekawszy łeb spośród współczesnych rosyjskich prozaików, odpowiedź już znacie.

Kazimierz Bolesław Malinowski



Wiktoria Pielewin, T, przekład Ewa Rojewska-Olejarczuk, WAB, Warszawa 2012.
Wiktoria Pielewin, S.N.U.F.F. Умножен, Издательство „Эксмо”, Москва 2012.

Kazimierz Bolesław Malinowski

A lato było piękne tego roku



Przeczytałem właśnie „Poruczników 1939” Tomasza Stężala. Wojna na frontach polityki historycznej trwa! Moje pokolenie dobrze zna ten rechot czerwonych, „Lotna” i most w Zaleszczykach. Rechot, a w refrenie jęki o nieudolności sił zbrojnych i demoralizacji obozu Rydza (Śmigłego). Ideologiczne łojenie sanacji. Stężała napisał książkę pod prąd tej szyderczej narracji, książkę, w której można znaleźć sporo plastycznych opisów jarających się niemieckich czołgów (Niemcy stracili ok. 30% sprzętu pancernego, z którym zaczynali kampanię, podobne straty miała Luftwaffe). Napisał książkę o tym, jak kosa Hitlera trafia na polski kamień. Koniec pokojowego jednoczenia Europy pod adolfowymi skrzydłami! Anschluss Austrii, Sudety, Czechy, tak to fajnie wszystko szło do owego fatalnego września.



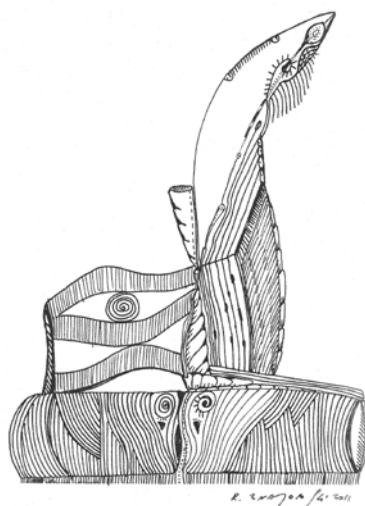
Tomasz Stężała, *Porucznicy 1939*, Instytut Wydawniczy ERICA, Warszawa 2011.

Stężała posłużył się dynamiczną narracją, bo tytułowi porucznicy są i po niemieckiej, i po polskiej stronie, jest też wątek porucznika sowieckiej *razwiedki*. Opowieść ma więc wiele ogniskowych, plany i ujęcia zmieniają się szybko, coś, takie jest współczesne kino.[????] Zdania krótkie, opisy przyrody zdawkowe. Oczywiście, tak musi być, by

sceneria była kompletna - krom Tanatosa uwija się Eros, młodzieńcze zakochania, płodzenia, welony, rozdzierające rozstania. Militaria skontrolowane obyczajówką, jedno i drugie oddane ze znajomością kultury materialnej i ducha epoki. Po polskiej stronie, centralnym punktem akcji jest szkoła piechoty w Różanie nad Narwią, osobą zaś porucznik Nieczuja-Ostrowski. W jego oddziale służą obok Polaków, również Rusini i Żydzi, postacie naszkicowane szybką kreską, akcja goni, ale przekonywająco i realistycznie. A akcja zaczyna się dwa lata przed wybuchem wojny, kończy zaś ucieczką Ostrowskiego z sowieckiej strefy okupacyjnej zimą 1940. Wydawnictwo ERICA zapowiada następne tomy powieści Stężala - „Kapitanowie 1941” i „Pułkownicy 1944”.

Nie jest powieść ta literackim arcydziełem, ale czyta się ją z zainteresowaniem, absorbuje uwagę, nie zostawia estetycznego kaca i poczucia straconego nad lekturą czasu, to wiele. Nie należy do nurtu kompensacyjnej *historical fiction*, jak np. „www.1939.com.pl” i reszta cyklu Marcina Ciszewskiego, a krzepi serca, nie gnąc do tego celu historycznych faktów. Wystarczy zmiana ujęcia kamery i oświetlenia planu, niepotrzebne są cyfrowo generowane efekty specjalne.

Kazimierz Bolesław Malinowski



rys. R. Znajomski

Piotr Linek

6 prawdach nieobjawionych Henryka Radeja



Słowo wypowiedziane w poezji Henryka Radeja nigdy nie jest skażone przypadkiem. Owszem, niekiedy dyktowane intuicją, zawsze odnajduje uzasadnienie w poetyckim dyskursie. Radej szanuje słowo (wydaje się - z wzajemnością!), świadczy o tym każdy kolejny wiersz **Fletni i łuku**, ale i kompozycja całego tomu. Rozpoczyna go motto z Ciorana: *Powinno się pisać książki jedynie po to, by powiedzieć w nich to, czego nie ośmielamy się wyznać nikomu*. Otwarcie to jest elementem kompozycyjnej klamry, która swe dopełnienie uzyskuje w ostatnim wierszu - **księga**. Nie pomyłą się ci, którzy słowa Ciorana odczytają jako zapowiedź pogłębionych poetyckich znaczeń, ale ostatnie słowo poety zapisane w **księdze** przekonuje, że istnieją też światy niewypowiedziane, istnieje poezja księgi niezapisanej:

*najprawdziwszą księgę piszę
w sobie
dla samego siebie
utrwalam jej słowa suptami krwi
skurczem mięśnia
(księga)*

Inną niezapisaną księgą jest księga miasta. W nieco Czechowiczowskim z ducha liryku **miasteczko** Chełm „pod powieką nocy” staje się miastem metafor zaklętych w dźwiękach obudzonych słowików, łoskotu pociągu; w obrazach płonących kandelabrow, strojnych kasztanowców; w zapachach kadzideł; w temperaturze nagrzanego kamienia. Podobną księgą do odczytania poza słowami okazuje się w wierszu **na Rostoczu** natura. Radej wsłuchuje się w jej pełen znaczeń język z uwagą równą poezji Jana Twardowskiego. Jest więc poezja Radeja trochę jak podglądanie życia. Co ważne: jego skrawki jak puzzle, pozornie odległe, układają się w sens codzienności (**niedziela**).

Radej spiętrza poziomy znaczeniowe. Jest poetą niekiedy prowokującym i zarazem wymagającym od swego czytelnika. Choć nie brakuje w tej

książce poetyckich strzelistych aktów (**akt strzelisty**), to tytułowa **Fletnia i łuk** nie jest typowym wierszem konfesyjnym, co sugerowałaby otwierająca go apostrofa (*nie miej mi za złe/ Panie*). Jej adresatem jest Bóg czy mityczny Pan, który w pogoni za nimfą doświadczy odrzucenia? Czytelnik musi rozstrzygnąć pytanie na rzecz konfesyjności pogańskiej. W tej konwencji bohater liryczny wydaje się głosem odwiecznej natury mężczyzny. Natury określonej napięciem zwierzęcości (**łuk** - pierwiastek męski) sublimowanej i dopełnianej żywiołem lirycznym (**fletnia** - pierwiastek żeński). Jeśli istnieje poezja kobieca, to bez wątpienia na jej przeciwległym biegunie - męskości - odnajduje się poezja Radeja.

Uderzająca jest szczerość tej poezji. Gdy wiersz dotyczy kwestii podstawowych, Radej odrzuca konwencjonalne gry. Rezygnuje z nadmiaru literackiej kreacji. Mówi językiem poetyckich tropów, ale bez wątpienia własnym głosem (**pieśń na wyjście**). Dzieje się tak nawet wówczas, gdy w turpistycznej poetyce - metaforze fizjologicznego rozkładu - zakodowane zostaje pytanie: czy istniejemy poza wymiarem zegarów i kalendarzy (**stan rzeczy**)? Zasada ta dotyczy nie tylko poezji osobistych, ale i szczególnej pasji Radeja - historii. Poeta wydobywa z niej treści najtrudniejsze, niezabliżnione w pamięci pokoleń, jak krwawe rozprawy z unitami w zaborze rosyjskim, które trwają w modlitwie prababki Małgorzaty i w wierszu Radeja (**historia, podlaski lament**). Zresztą, granica pomiędzy osobistym a powszechnym zdaje się płynna. A ton ocalanych opowieści prababki Małgorzaty czy dziadka Antoniego wprowadza szczególną wartość osobistej prawdy historycznego doświadczenia. W kontekście historycznych dramatów, Henryk Radej czyta również współczesność (**modlitwa**). Smoleńska trauma wielu Polaków, kompromitowana instytucjonalnie przez innych, okazuje się dla jednych i drugich lekcją zbyt trudną, jak wielokrotnie w przeszłości.

Poezja wyrasta z niezgody. Można nosić ją w sobie. Utrzymywać w milczeniu. Radej pozostał poetą milczącym niespełna trzydzieści lat. Jego powrót nie jest bynajmniej próbą łatwego kompromisu ze światem. Powraca z poezją, która staje się nośnikiem prawd nieobjawionych. Wyzwaniem wobec świata pozbawionego zmysłu poetyckiego udziału:

witajcie
 starzy poeci
 (...)
 razem
 źle nam nie będzie
 zawyjemy wszystkie psy podczas
 pełni księżyca

wystawimy strażę
 przy każdej świątyni
 by nadal wygłaszać prawdy
 nieobjawione
 których nikt nie słucha
 (na powrót)

Poezja wyrasta z dialogu. Powyższa apostrofa przywołuje stale obecnych w książce Radeja adresatów: Iwaniuka, Czechowicza, Łączkowskiego, Stachurę, Miłosza, Słowackiego, Mickiewicza. W dialogu z poetami, Radej odkrywa prawdę trudnej intymności we dwoje - paradoks oddalenia, które przybliży, i bliskości, która oddala (inspirowany Stachurą wiersz *****z oddalenia**). Literackie aluzje do Mickiewicza osławiają inną jeszcze, nieuchronną pustkę, z którą mierzyć się musi każdy we właściwy dla siebie sposób:

w bocznej kaplicy serca
 wciąż tłoczno
 lecz nie ma was
 w pustym pokoju pozostał smak
 angielskiej herbaty
 hiszpańskiego wina
 (...)
 trudno o szczęście w domu
 gdy go nie ma w ojczyźnie
 - pociesza romantyk
 (oddalenia)

Romantyczne marzenia drugiego z narodowych wieszczów, dotyczące fatalnej poetyckiej siły przemieniającej zjadaczy chleba w aniołów, powracają w poetyckich snach przerywanych nad poranną gazetą. Naiwność romantyka zachowuje ciągłość w konsekwentnie świadomym i konsekwentnie naiwnym marzeniu autora *Fletni i łuku*. Naiwne światy z Miłosza odżywają natomiast w *lekcji polskiego*. Radej wchodzi w baśniowość,

ocalając ich naiwność i bez uchyłania rąbka tajemnicy, na szczęście. **Lamentacja na dzień 4 stycznia 2001 roku** jest z kolei osobistym hołdem złożonym emigracyjnemu poecie, Wacławowi Iwaniukowi. W przywracaniu jego poezji świadomości polskiego czytelnika Radej, jako redaktor **Kresów Literackich**, ma zresztą udział niemały. Wiersz **Dwaj**, w nawiązaniu do skandalizującego poematu Czechowicza **hildur, baldur i czas** zatrzymuje się nad ironią tragiczną, która określa nie tylko literacki los bohatera antycznego, ale i poety z Lublina, ginącego podczas bombardowania zaledwie kilkaset metrów od rodzinnego domu:

(...)
 od pocałunku
 szybsza była bomba
 u fryzjera
 zgubiła Cię
 przesadna dbałość
 o grzywkę
 (Dwaj)

Fletnia i łuk jest więc książką powracającego poety, ale jest też książką o innych powrotach:

jadę
 po latach niewidzenia
 rzeki wystąpiły z brzegów
 a ja jadę
 bo ona tam czeka
 spokojna jak nigdy
 (...)
 jadę
 na pogrzeb ciotki
 bo ona dziś najważniejsza
 na drodze
 do nieba
 (droga)

Zacierają się przestrzenne granice. Droga powrotu staje się zarazem drogą wstępowania do nieba. Staje się także podróżowaniem w przestrzeni wewnętrznej, ku samopoznaniu. To jeszcze jeden istotny powrót, którego spełnienia pragnie bohater liryczny *Fletni i łuku*. Powraca do swego *axis mundi*, punktu, od którego poczyna się odrębność indywidualnego doświadczenia. W takich

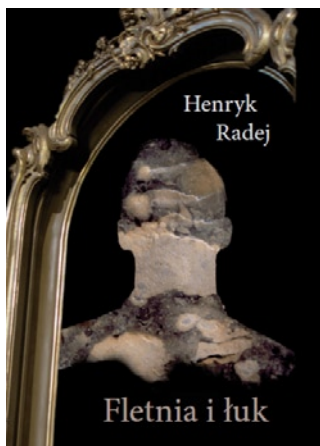
powrotach załamuje się nie tylko przestrzeń, ale i czas. W głębi jego psychologicznej struktury otwiera się mistyka i sacrum:

*ojciec zdejmuję czapkę
klękamy na stoku
milczymy najpiękniejszą antyfonę
do pierwszej gwiazdy
(pod wieczór)*

*Zaś dziadek Antoni powiada:
że innego szczęścia nie ma na tym świecie
jak to na które godzimy się o poranku
(szczęściarz)*

Wierszy o podobnym charakterze (patruje im myśl Bergsona), w których czas fizyczny ustępuje psychologicznemu, a przeszłość i teraźniejszość spotykają się w „nieustannym teraz”, jest w książce Radeja wiele; wierszy o upływie czasu mierzonych z tego punktu na jego osi, od którego łatwiej doznaje się utraty, niż wyczekuje zysków nieznannej przyszłości (**wróżba, czasu kurz, ***przyjeżdżam**). Dziwne, przedziwne wiersze, które intelektualne wyzwanie łączą z dreszczem najgłębszego wzruszenia. Nie sposób mu się oprzeć.

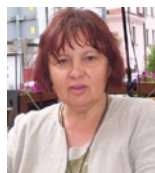
Piotr Linek



Henryk Radej, *Fletnia i łuk*,
Wydawnictwo TAWA,
Chełm 2012, ss. 63.

Bożena Fornek

Mamy takie same półbuty



Po „Wieku zielonym” z 1983 roku, nadzedł czas na drugi tomik poezji Henryka Radeja pt. „Fletnia i łuk”. Z „Wiekiem zielonym” dało się zaraz zakolegować, bo był obietnicą powrotu mitów młodości, do których wracać się lubi. Tytuł „Fletnia i łuk” trzyma interpretacyjny dystans. Przywołuje na myśl symbol fletni - poetyckości, łuku - mocy i walki. Tytułowy wiersz też sprawy kategorycznie nie rozstrzyga. Co najwyżej buduje analogię z opowieścią o greckim bogu zakochanym w nimfie przemienionej w trzcinę, który z żalu za niespełnioną miłością, z łodyg rośliny zbudował fletnię. Nie wykluczone, że pozostawił nam w spadku także atawizm pierwotnych instynktów i zmysły szybsze od myśli.

Na szczęście poezja nie wymaga jednoznacznej identyfikacji, bo w tomiku jest pięćdziesiąt wierszy, i każdy z nich rozniecił zapewne iskra życiowych zdarzeń autora. Kolejne strony prowadzą więc do namysłu nad życiem. Czytam: *najprawdziwszą księgę piszę/ w sobie/ dla samego siebie/ utrwalam jej słowa suptami krwi/ skurczem mięśnia*. Taką księgę spisuje każdy swoim życiem, poeta daje jej świadectwo - wierszem.

Tak jak kiedyś rodzice, przed przyjeżdżającym do rodzinnego Zagrobla synem, otwierali księgę pamięci: *przyjeżdżam/ ojciec otwiera księgę pamięci/ kto umarł i jak/ matka - ile wesel kto z kim/ bilans życia i śmierci* - tak teraz Henryk składa poetyckie sprawozdanie.

Pisze o własnym miejscu, Zagroblu, Chełmie, rodzinnych historiach i biografiach historią wytyczonych, o uczuciach, z których *jedynie miłość jest największa/ i o każdej porze* („jak drzewo”), o samotności na planie filmu i życia („niemy film”), o dramatach dziejowych: tragedii męczenników z Pratulina („podlaski lament”), zabójstwie księdza Jerzego Popiełuszki („dwie misje”), katastrofie Smoleńskiej („modlitwa”). Prowadzi poetyckie dialogi z Józefem Czechowiczem, Wacławem Iwaniukiem, Zdzisławem Łączkowskim - bo oni gdzieś są wywołani dedykacją w wierszu.

Jest Eda Ostrowska, przybyła prosto ze śnieżnej zamieci: *zapisalem/ bo pamięć stopnieje/ i my/ jak śnieg/ tylko Eda kosztuje w zadymce.*

Bohaterowie spod znaku „Fletni i łuku” mają własną suwerenność, żyją w różnych czasach, jednak ich biografie są uległe wobec historii, losu albo chwili. Te podległe kołu historii są wstrząsające, tak jak przyjmowany w Polsce *kolejny rzrzt biało-czerwonych trumien* po smoleńskiej tragedii. Urzekającą postacią (także uwikłaną w historię) jest dziadek Antoni, o dłoniach szorstkich jak kora drzewa, i który swoje wie: *że innego szczęścia nie ma na tym świecie/ jak to na które godzimy się o poranku* („szczęściarz”). Zakochany, bezmiejny bohater też wie, więc biegnie, ziemi nie tykając („niedziela”), innych, nieziemskich *schody zapraszają wprost do nieba* („wniebowzięci”). Są tacy ulubieńcy spadających pospołu z kwaśnymi jabłkami gwiazd, że heglowska koncepcja wolności ducha nie chce wykroczyć poza druciane ogrodzenie sadu („perseidy”). Najbardziej lubiącym poburczyć bohaterem wierszy jest poeta: bo gardło wrażliwe, a życie jak nóż, bo podpatrywanie świata - bolesne jak odrywanie koszuli od ran, a *to kalendarz jak wariat krzyczy/ że jeszcze wieku ćwierć/ a potem - nic ?/ a potem - / ?*

Poeta poszukuje sensu. Być może odkryła go para osamotnionych staruszków z wiersza „jak drzewo”, jednak postawione w nim pytanie: *dlaczego nie dziedziczymy mądrości/ tylko łzy/ i marną pociechę* - czeka na odpowiedź.

Podobno wiersz jest rozmową. Czytelnik odczyta go i odpowie po swojemu. Henryk jest dobrym rozmówcą, daje szerokie pole do dialogu, a w jego wierszach jak w „miasteczku”: *drzemią sfory metafor/ gotowe do skoku na skinienie palcem/ z perspektywy dowolnej rogatki/ można zacząć nowy wiersz*. Albo nową rozmowę: o kole historii, ludzkich losach, o filmie, czy fotografii (choćby tej czarno-białej, zrobionej poecie przez syna, na nowy wiek), albo o czasie, który mija zawsze za szybko i tylko mucha bez świadomości wagi problemu wozi się beztrząsco na wahadle ściennego zegara („zegar”).

Roztocze z ziołami, tarniną, słomą, kurzem, leszczyną, żywiczne i miodne zostało także w wierszach zapisane. Również, to z odległych wspomnień, kiedy chłopacy siadywali na płocie *by liczyć siwe konie na pewny ożenek/ około setki głód mylił*

nam ogony/ z welonem panny młodej/ teraz już nie ma takich zim/ nie ma takich koni. Motyw przemijania to zajmujący temat na rozmowę.

Poezja „Fletni i łuku” w przesłaniu jest wieloznaczna, nosi w sobie pogodę wolności i mrok zniewolenia, znaki mądrości minionych pokoleń i stygmat wiary. Pisze Henryk Radej o sobie, zaczynanym w galerii *odwiecznych znaczeń*. Warto być towarzyszem takiej podróży. Nawet, jeśli sam poeta niekiedy dobiera książki wg klucza: *opis na okładce i ilustracja przesądziły o zakupie - mam takie same półbuty!* (z blogu „Druga strona księżycy”), a może właśnie dlatego też warto.

Bożena Fornek

Henryk Radej

akt strzelisty

bez noża
bez łomu
bez olejków wonnych
ostro
wejść we mnie
Panie

niech boli
niech się stanie
Twój cud

druga strona

przyszła i na mnie
śmierć w Wenecji
jakiś *faustus*
smugi cienia

każdy sam sobie tajemnicą
aż do zniewolenia

i nastał chaos
niebo wali się z trzaskiem
stare granice ranią
krawędzią kamienia

resztę zasypała codzienność

Mann i Visconti nie powiedzieli
wszystkiego
każdy ma swoją drugą stronę
księżycy



Henryk Radej

księga

najprawdziwszą księgę piszę
w sobie
dla samego siebie
utrwalam jej słowa supłami krwi
skurczem mięśnia

niczego nie wyczytasz
z moich oczu
ust
z siwiejącej brody

ona jest we mnie
i tylko dla mnie
zaczętanego
w galerii odwiecznych znaczeń
z pocztówką miasteczka
za oknem

najprawdziwszą księgę noszę
w sobie

oddaleni

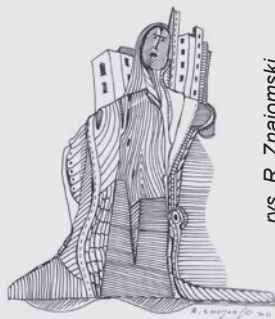
synom

w bocznej kaplicy serca
wciąż jeszcze tłoczno
lecz nie ma was
w pustym pokoju pozostał smak
angielskiej herbaty
hiszpańskiego wina

nieśmiertelniki udają lato
dalekie podróże kończą się
na krawędzi stołu
tylko powietrze łączy nas
płytkim oddechem

gorączka wspomnień wypala
wasze twarze
nocami nawiedzają mnie
stany zapalne
wasza nieobecność wielka
przez dwa morza i tysiące gór

Trudno o szczęście w domu
gdy go nie ma w ojczyźnie
– pociesza romantyk



rys. R. Znajomski

perseidy

po zmierzchu piliśmy czarną kawę
zmaconą belgijskim mleczkiem w proszku
gdzieś daleko ryczała ostatnia we wsi krowa
nieosiągalna jak spieniony udój
potem parzyliśmy już tylko herbatę
przeplataną zimnym kasztelańskim -
studziliśmy zapal lub zagrzewali się
do szturmów kiedy zegary ogłaszały północ

zapalały się race spadających gwiazd
na przemian z pociskami kwaśnych jabłek
wprost na nasze plecy

był środek lata
głębia ojcowskiego sadu
w samym pępku świata
i nas trzech nasłuchujących wołania
schorowanych matek

perseidy gasły nad naszymi głowami
nie dolatując do celu
najlepiej wychodziło nam wzniecanie iskier
z wiśniowego drzewa w gotyckie wzory
sękate katedry płonęły w meandrach
la vie electronique Klausa Schulze
omiatały niebo żarem saksofonu Garbarka

nasza Hegłowska koncepcja wolności
nie wykraczała poza druciane ogrodzenie
pomimo znajomości ciągów matematycznych
i wszechświata o strukturze kwarkowej

przed świtem narastał szum
czuliśmy drżenie kamieni
wmawialiśmy sobie że drgawki naszych ciał
to efekt porannego chłodu i zimnej rosy

ja pierwszy nie doczekałem słońca

stan rzeczy

tak tak
to nadal ja
od stóp do głowy
po ostatnią włosów garść
przez wydatny obwód w pasie
i jeszcze większy w klatce piersiowej

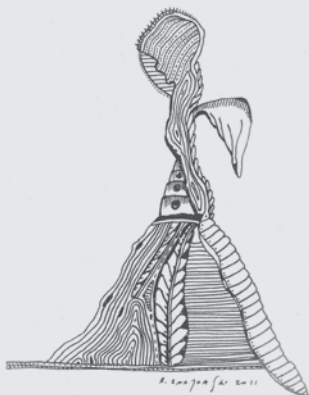
ta sama twarz w albumie odbitek
fotografii szarych i w kolorze
ostatnio jakby mniej ostra
ten sam oddech co pompuje
hektolitry krwi niewidocznej
teraz jakby bardziej płytki

niżej moje wnętrze - płatanina
jelit i mięsa i żył przełożona
grzybem wątroby i piachem nerek
ach jak to dobrze że tego
nie widać gołym okiem co się nosi
w tłustym worku ze skóry

kiedy zbuntuje się moja męskość
co od półwiecza spełnia się
i wylewa nektar albo moc
pod nerwowe dyktando ciała
lub błyskawice przyjemności?

podobno zaczyna się niewinnie
od ropienia paznokcia dużego palca
żylaka na łydce lub w odbycie
a nogi nadal zgrabne znoszą ten
stan rzeczy i początkowe stany
zapalne zanim spocięła na dobre

to kalendarz jak wariat krzyczy
że jeszcze wieku ćwierć
a potem – nic?
a potem –
śmierć
?



rys. R. Znajomski

Aleksandra Nizioł



Zgrzyt (peryferyjnego) noża po (wielkomiejskim) szkle czyli jak śladami Stanisława Bojarczuka obcykać sobie warsztat

- Skąd jesteś?
- Z Krasnegostawu.
- Ooo... to długo musiałaś tu jechać.
- Nie, 30 minut. Przyjechałam z Mokotowa.
- Aha...?
- Mieszkam w Warszawie, ale pytałeś, skąd jestem.

8 lat po przeszczepie z Lubelszczyzny na Mazowsze, przytaszczyłam z biblioteki wraz z książkami „Tygodniki Powszechne”. Zaczęłam od numeru styczniowego („TP”/1.01.2012, nr 1/3260). Czytałam i czytałam o polityczno-społecznych rozterkach narodu naszego, aż tu nagle dziw mnie ogarnął - przed oczyma znajome wyrazy: „Rońsko”, „Krasnystaw”. Ki diabeł? O szybsze bicie serca przygotowili mnie Andrzej Stasiuk i Mariusz Kargul rozmową o Stanisławie Bojarczuku, lokalnym poecie międzywojnia. Nic o nim wcześniej nie wiedziałam, choć popularne w tamtych rejonach nazwisko - jak wspominają rozmówcy - było mi znane. I kogo poznałam, czytając tę rozmowę?

Człowieka, który funkcjonował na pograniczu dwóch światów, zarówno terytorialnie, jak i egzystencjalnie, wewnątrz. W codzienności zajęty pracami w gospodarstwie, pracą fizyczną, pełno-krwisty chłop - rolnik z krowami, błotem i smrodem. Żyjący na wsi dalekiej od znanych literaturze sielankowych obrazów, co więcej - łączącej się z brakami w edukacji i patrzącej wilkiem na poetyckie dziwactwa, tworzenie w samotności i wypisywanie nie wiadomo czego. Na wsi, gdzie normą - jak dziś w akademiku lub na squacie - było życie w jednej izbie kilku osób razem. A mimo to daleki od kojarzącego się z brakiem wykształcenia czy kulturalnej formacji warcholstwa, dystygnowany, co widać na zdjęciu zamieszczonym zarówno w „TP”, jak i na okładce tomiku poezji „Linie liryki”. Słowo „chłop” kojarzyło mi się od czasów studiów raczej z „Chamem” Orzeszkowej niż z człowiekiem pastującym

buty przed wyruszeniem w drogę na spotkanie z kręgiem literatów, a taki - jak wynika z rozmowy Stasiuka i Kargula - był Bojarczuk. Unikat. Samouk czytający dostępne w bibliotece publikacje z półek od A do Z. Przy tym lingwista bawiący się nawet nazwą rodzinnej miejscowości („Szczekarzewstów”). Dziecię XIX wieku z portretem Prusa nad łóżkiem czytające Mickiewicza. „Uklasyczniający polską wiochę” - jak mówi Stasiuk, choć z wykształceniem prawie elementarnym. (Ten etap edukacji musiał być jednak wówczas zupełnie innej jakości niż dziś...). Do tego społecznik, radny (!), lokalny autorytet pytany o zdanie. Bez pieniędzy na podróż, ale wędrujący po okolicznych miejscowościach i piszący o tych wyprawach. Fonetycznie plus ze słuchu i z serca. Ile dziś, bez względu na miejsce zamieszkania, trzeba się uczyć i starać, działać i angażować, by wszystkie te zawody i aktywności, którymi można by opisać bogate curriculum vitae Bojarczuka, zgłębić!

Ale cóż to za magdalenkę mi podano w kawiarni „Tygodnika Powszechnego”, że aż postanowiłam zawrócić głowę swoim tekstem redakcji „Nestora”? Czyż nie mamy wiosny, a wraz z nią - jak niegdyś napisał Mariusz Kargul - wysypu nowych poetów, których warto by tu zamieścić?

„On [Bojarczuk - przyp. AN] jest bardzo polski. Trzy czwarte Polski to wiocha. Wiocha, która chce aspirować” - konkluduje w rozmowie Stasiuk. W czasach licealnych, co potwierdzi być może publikująca na tych łamach, a ucząca mnie wówczas językowej ogłady Pani Polonistka, kontrowersje podczas lekcji wzbudziło słowo „wieś”. W redakcji, w której pracuję w Warszawie, dyskutowano ostatnio, czy w tytule „Biznes wkracza na prowincję” słowo „prowincja” nikogo nie dotknie. Stasiuk nie analizuje, nie owija w bawełnę, nie zważa, czy urazi czyjeś uczucia religijno-patriotyczno-językowo-poprawnościowe. Podobnie jak Bojarczuk, nie kombinuje za wiele, choć od poety - jak sam deklaruje - ukończył nieco więcej szkół. Gada - mówiąc wprost, i każde z tych słów jest ciałem. Aspiruję w stolicy do różnych miejsc, środowisk i podobne aspiracje obserwuję. I śmieję się z każdej skuchy - jeśli nie ujawniają nas kompleksy, to regionalizmy, jeśli nie końcówki, zaciąganie lub intonacja (mam tu na myśli „wiochy” całej Polski), to zbytnia wylewność, gdy np. zobaczę znajome lico

i krzycząc: „Znam Cię!”. Ponadto sprzątanie i mycie okien, gdy zbliżają się święta (nie dlatego, że jest brudno), zakupy obrywające ręce, bo ktoś przyjdzie, i obrażanie się, jeśli zaproszony gość nie chce jeść przygotowanego posiłku. Łykamy stolicę jak młode pelikany i czasem o tym, skąd jestem, przypomina mi wzruszenie, gdy czytam, jak dobrze się ma nasza OSM, gdy trafiam na nasze mleczarskie logo gdzieś przy okazji. Moja prostota wywieziona wraz z maturalnym dyplomem objawia się na każdym kroku. I choć to czasem mało stosowne, dobrze mi z tym, że ta „chłopskość” (a raczej „babskość”) daje o sobie znać. Ale brakuje też drugiego skrzydła - naturalnej, niezmanierowanej ogłady. I stąd inspiracja w postawie i życiorysie Bojarczuka. Jak się nauczyć takiego transferu? I czy w ogóle jest to wyuczalne?

Mnie nie wystarczyło tylko wyjechać i skończyć studia. A nie chcę - jak mówi Stasiuk - stać się „duchowym i kulturalnym emigrantem, który zapomniał, skąd się wziął”. Bojarczuk „obcykał sobie warsztat, a jednocześnie widzi, co jest dookoła”. Ja też widzę, ale z tym obcykaniem wciąż pod górkę. Przydałby się jakiś kurs albo taki przedmiot w liceum (a może wcześniej?) o treści: zintegrować siebie w miejscu, z którego się pochodzi, a potem dzięki tej bazie móc być sobą na każdej emigracji, na każdym nowym „wygnaniu” (pozwolę sobie nadużyć Annę Kamieńską). Bez względu na to, czy w Polsce, czy za granicą. Tak, by osobowość nie odrzuciła przeszczepu, by nie być śmiesznym ze sobą, dla siebie i otoczenia. I by nie zdradzić krasnostawskości, ale zachować ją w najlepszym wydaniu.

Nie objęła mnie troską ścieżka regionalna w gimnazjum, kończyłam 8-klasową podstawówkę. Poppytałam natomiast ówczesnych absolwentów, dziś 23-26-latków, z którymi pracuję, czy tamta formacja owocuje w ich życiu. Niewiele pamiętają albo nie zastanawiali się nad tym. Nie wiem, czy też sama skorzystałabym z tej wiedzy. Mając 13-15 lat, czytałam o szaleństwach panny Ewy i Majki Skowron, tłumaczyłam nocami teksty piosenek kulturowanych zespołów. Nie śniło mi się jeszcze wtedy, że wkrótce kilkoma kliknięciami znajdę to wszystko w internecie, a lepiej byłoby się uczyć Krasnostawu. Moja ówczesna tożsamość łaknęła innych treści. Dziś odczuwam deficyt - jakaś sytuacja graniczna z okazji zbliżającej się trzydziestki?

Skoro nie zawsze da się przewidzieć miejsce osiedlenia w kolejnej dekadzie życia, jak się w trakcie tej adaptacji lub po drodze nie zmanierować, nie zbufonąć? Bojarczuk „opisuje kapitalnie swoim życiem i twórczością polskie rozdarcie, które w końcu do absurdu prowadzi” - mówi Stasiuk. Czy jest jakiś inny finał? Pytającym pozostaje chyba jedynie lektura bożego (i kulturowego) szaleńca. Chłopskiego Petrarki-Sokratesa.

Aleksandra Nizioł



foto Dominik Kleszko

Kręgi energii

zostanie po nas tylko zapach
wtarty pomiędzy szyszki chmielu
skrawek słońca w pryzmacie rosy
ślad stopy o jeden gest za daleko

spojrzenie przez ramię
czy idzie ktoś z nami
łagodny stok i winorośl
sad w kwiecie wieku
wiek, co zleciał jak motyl

zostanie po nas tylko zapach
wtarty pomiędzy szyszki chmielu

w ostatnim tchnieniu lata
słońce szaleje za niebem
dłoń płynie po morzu kłosek
ziarno pulsuje pod skórą

potem przyniosą nas znowu
w tęczyowych kolebkach
złożą u progu nowej drogi
bo nawet ptaki
też muszą wrócić kiedyś do gniazd

zostanie po nas tylko zapach
wtarty pomiędzy szyszki chmielu

śl. Mariusz Kargul
muz. Monika Krajewska

(Z okazji 90-lecia Zespołu Szkół Ponadgimnazjalnych nr 2
im. Bartosza Głowackiego w Krasnymstawie).

Stanisław Bojarczuk



Do Patriarchów

I

Petrarko! Mickiewiczu! Zapraszam was w gości!
Was, których uwieczniono w wawrzyny i bluszcze...
Obchodzę bowiem dzisiaj dwa jubileusze:
osiemdziesiąt urodzin i ćwierć – wiecz twórczości...

Gotuję na przyjęcie Was me kartelusze
sonecich wypracowań w tysięcznej mnogości,
dość skromnych i mniej – nawet lubieżnej nagości,
odbite w kryształowym, wielkim, pyszym lustrze...

Wiosenne słońce brzozie łona rozniegliło,
więc piję w cześć sław Waszych dziś oskołę lepką,
ponieważ śpiewaliście już nad mą kolebką...

Potem zaprezentuję Wam poezję lekką,
płynącą, jak to mówią – „z praśnym miodem mleko”.
Przyjmijcie – czym dysponuję przed bliską mogiłą...

II

Przybądźcie! Przy nadwieprzej, szczekarzewskiej
Ławrze,
w drzewianej, pańszczyźnianej, wieśniaczej willi,
na łonie wczesniowiośniej, prostaczej idylli,
fakt paktu parnasiego przyjaźnią rozżarzę...

Wobec Ciebie, Franczesku, i przy twojej Laurze,
Wobec Ciebie, Adamie, i twojej Maryli –
I mnie z mą Galateą, korzystając z chwili,
Póki się barbarzyństwa paszczyka nie zawrze.

Wstydić się tylko muszę, że taki czas podły,
tego aroganckiego parcia za zdobyczą,
gdy tłum się delektuje walką turo – byczą -

Że mię ma obserwacja wątpliwością judzi,
że brakuje wszechstronnej wszechwzględności ludzi,
przypadło mi znosić do Parnasu modły...

Rońsko, 4 IV 1869 – 1-49

Mariusz Kargul

Banany z kopca



Pod koniec ósmej klasy szkoły podstawowej rodzice nie wiedzieli za bardzo co mają ze mną zrobić. Słusznie obawiali się, że mogę sobie nie poradzić w ogólniaku, a przez zawodówkę przejdę jak burza. Końskim targiem stanęło na „rolniczaku” w Krasnymstawie. Przyznam, że nie zdawałem sobie za bardzo sprawy z tego, do jakiej szkoły się wybieram. Kontakt z naturą posiadałem praktycznie od dzieciństwa, a jedna z babć przebąkiwała nawet od czasu do czasu nieśmiało, że może zostałbym „na gospodarce”... Owszem, siało się w polu i ogrodzie to i owo, a potem zbierało, ale bez żadnej podbudowy teoretycznej. Robiłem, co kazali starsi, usiłując nie podpadać koniowi i kosiarce. Wakacje traktowałem jako swego rodzaju miszmasz obowiązku i bez troski. Teraz miałem formalnie „zdobyć papier” technika ogrodnika. Kompletnie nie rozumiałem tych pojęć. „Technik” kojarzył mi się z techniką, a „ogrodnik” ze starszym panem w spodniach na szelkach przycinającym różę w snobistycznym ogrodzie jakiegś lady.

Przełom lat 80. i 90. okazał się nie tylko wiekopomną chwilą w dziejach tej części kontynentu, ale także ogromnym kryzysem i krachem wielu przedsięwzięć i zamierzeń. Jednym z nich było szeroko rozumiane „badylarstwo”. Pokutowały jeszcze powiedzenia, że „kto ma owce, ten ma co chce”, a „kto ma szklarnie, ten nie zginie marnie” – jak już, to w Marnie – ale wybór szkoły rolniczej, co bardziej przytomnym, jawił się jako strzał z łuku w kolano, tudzież samobój do pustej bramki o wymiarach chłodni.

Rozgarnięci kombinowali nad załapaniem się do placówek stawiających na raczkującą u nas dopiero informatykę i naukę języków obcych. Mnie nie był w stanie nawet podniecić prawdopodobnie pierwszy komputer w Siennicy Różanej, który moja rodzima szkoła (im. Synów Pułku) dostała w darze od tychże synów. Commodore 64 spłynął pewnego dnia z obłoków w wielkim huku lądującego niedaleko internatu śmigłowca Mi-2, i powalił na kolana wszystkich uczniów i większość uczennic.

Ja w tym samym czasie zastanawiałem się czy Kołumb był Polakiem i czy uda mi się przejść zimą, przez zamrożnięty Bałtyk do Szwecji.

Nie ogarniam tego wszystkiego, co potem działo się ze mną w obecnym Zespole Szkół Ponadgimnazjalnych nr 2. Przypadł mi do gustu patron szkoły. Bartosz Głowacki kojarzył mi się z Antkiem Boryną z „Chłopów” (tych filmowych), i w ogóle równym gościem, co to nie kłaniał się Moskalom, tylko im jeszcze lonty armat czapką zakrywał. Gdyby żył w naszych czasach, zabieralibyśmy go na piwo do baru „Pod Wisienkami”, na bilard do „Irnisza”, albo na winko do „RAJ-u”. Szkoła „bez pole”, jak to się dawniej w czworakach mawiało, za patrona upatrzyła sobie Władysława Jagiełłę. Wobec królewskiego majestatu odczuwałem dystans i szacunek. Wiedziałem, że Krasnystaw jemu zawdzięcza lokację, bo do dzisiaj byłby Szczekarzowem, a Sońce – piękne miano. No ale to był jednak pomazaniec boży, ciut mikry, lecz mimo wszystko dumnie spoglądający z portretu Matejki. A Bartosz vel Wojtek chłopem był chwałkim, co pięknie korespondowało z tradycjami za pańszczyznymi „rolniczaka”.

W tym momencie nasuwa się smutna, a zarazem pouczająca refleksja, nad zmiennymi losami ludzkiej kondycji i miejsc z nią związanych. Żadnego ze wspomnianych wyżej miejsc uciech już nie ma. Największego szoku doznałem, wędrując jakiś czas temu ulicą Okrzei, i natykając się, tam gdzie dawniej balowano pod wisienkami, na... zakład pogrzebowy. „O tempora, o mores!” – rzec by się chciało i ronić łzy górne i durne.

Każdy ma swój „rolniczak” i swój „Krasnystaw”. Mój, ten z pierwszej połowy lat 90., jeszcze tak bardzo nie starał przebierać się w cudze szatki. Był miastem załatującym odrobinę prozą Hrabala, a może trochę Stasiuka. Jak człowiek dobrze się postarał, to i co nieco z Schulza sobie uszczknął. O Bojarczuku nie wspominając, którego wtedy kompletnie zresztą nie znałem.

Dopiero gdzieś po kilku miesiącach nauki załapałem, że to jednak nie przelewki i w szkole o profilu ogrodniczym są przedmioty „zawodowe”. Do dzisiaj współczuję paniom od sadownictwa, warzywnictwa, kwaciarstwa i Bóg wie czego jeszcze. Dziwię się własnej ignorancji, na której dojechałem do pracy dyplomowej i matury. Były przecież

po drodze „praktyki”, raz w tygodniu, i te wakacyjne, połączone z bliższymi lub dalszymi wyjazdami, w których i tak nie brałem udziału. Nie wiem czy ktoś jeszcze wtedy serio traktował możliwość uzyskania tytułu „technika ogrodnika”, czy chodziło jedynie o w miarę bezbolesne dotarcie do egzaminu dojrzałości. Nauka nam więc w życiu raczej nie przeszkadzała.

Dla mnie osobiście tych pięć lat spędzonych w szkole przy Sobieskiego, było tylko początkowo - i z pozoru - czasem straconym. Fakt, z mym szkolnym przyjacielem wykonaliśmy imponującą pracę dyplomową, w postaci chyba jednej z pierwszych oczyszczalni ekologicznych po tej stronie Wisły, co oczywiście do niczego nam się potem nie przydało. Faktem jest też okoliczność, iż poziom mojej wiedzy ogrodniczej AD 1996 równał się stanowi z roku 1991, i tak zostało do dzisiaj, ale nie o to chodzi. Liczy się to wszystko, co dane mi było przeżyć w moim „ogrodniczaku”. Liczą się ludzie, których lepiej lub gorzej poznałem, z którymi spędziłem chwile niemożliwe do przeżycia w innym miejscu. Ta cała otoczką „negatywnych wybrańców”, szkoły „gorszej” od ogólniaka, ale kompletnie nieobliczalnej i szalonej, wliczając w to pożary, zrywanie chmielu, wykopywanie warzyw przy obwodnicy, dogłądanie zwierząt na Zakręciu. Rzeczywiście, oglądani z okien pobliskiego liceum, mogliśmy się jawić jako wataha bezpańskich barbarzyńców, tylko przez obyczaj i ustawę nazywanych uczniami. Z drugiej strony czuliśmy chyba pewną zazdrość dotyczącą panującego luzu i sposobu spędzania wolnego czasu. A kiedy przychodził wrzesień i czas było zasiąść pomiędzy pędami chmielu, nie kombinowałem jak wykręcić się od jego zrywania, lecz spokojnie czekałem na kolejne „chmielaki”. I wtedy piwo smakowało jak usta młodej bachantki.

Nigdy nie nauczyłem się szczepienia, sadzonkowania, pielienia, defoliowania, dozowania, osypywania, ale posiadałem zdolność, dzięki której dzisiaj inaczej patrzę na otaczający świat. Przekonałem się, że nie wszystko da się wycenić i wymierzyć. Przeczytałem masę książek kompletnie niezwiązanych z profilem szkoły. Zaliczyłem kupę gaf i wpadek, które do dzisiaj wspominam z uśmiechem i politowaniem. Dostrzegłem siłę akceptacji

i przenikania się kompletnie obcych sobie rzeczywistości. Mniej więcej od studniówki do matury trwał karnawał dojrzewania do dojrzałości. Tokowanie i gody wyrostków, którym wydawało się, że zaraz pozjadają wszystkim rozumy i odkrywają nowe lądy. Fiesta, pełna dyrdymałów i mitomanii przemieszanej z purnonsensowym poczuciem humoru, wyczyny godne mistrzów czarnej komedii i suspense. Przekonanie, niemal graniczące z pewnością, że to przecież wszystko na niby, że po czerwcu będzie znowu wrzesień i padną egzystencjalne pytania, w stylu: Sorko, a czy musimy czytać „Wywiad z katem”(sic!)?

Kto by wpadł na pomysł, że banany można trzymać przez zimę w kopcu? Nierealne? Kiedy nie miało się jeszcze dwudziestu lat, prawie żaden pomysł nie był wystarczająco nedorzeczny, by nie móc go zrealizować. Rzecz jasna, nikt z nas nie wypróbował tego ostatecznie w praktyce, ale do dzisiaj pamiętam, jak owa hipotetyczna możliwość była całkiem sensownie brana pod uwagę na jednej z lekcji warzywnictwa.

Mariusz Kargul

Lucjan Cimek

Czas biegnie...



I ziemia... jeśli porównać z tym, co dawniej - to, co dziś jakoby same kości z ciała, które choroba zjadła... tylko został chudy szkielet ziemi - to głos Platona sprzed dwudziestu czterech stuleci! Krzyk w obronie przyrody Basenu Śródziemnomorskiego. Wielki filozof obnaża zadane jej rany, których ona nie zagoiła do teraz, wyzbyła się już wtedy swoich wspaniałych lasów - objedzonych przez kozy, wypalonych ogniem, wydanych na łup gwałtownej erozji.

Ale tak na dobrą sprawę, ludzie dostrzegają trafność tego stwierdzenia dopiero teraz, gdy środowisko nasze uległo potwornej degradacji. Wprawdzie, począwszy od lat 60. XX wieku, w rozwiniętych ekonomicznie krajach świata wypuszcza się do wód coraz mniej nieoczyszczonych ścieków,

a do atmosfery - toksycznych wylewów, likwiduje się groźne dla środowiska wysypiska trujących odpadów, zaprzestaje produkcji i używania toksycznych środków chemicznych, ale okazuje się, że mimo tych lokalnych osiągnięć najważniejsze problemy ekologiczne mają charakter ogólnosiwiatowy. Ostatnio łamy gazet i czasopism zapełnione są złowrogimi doniesieniami: od dziury ozonowej, poprzez masowe wymieranie fok czy gwałtowny rozwój alg, po niespotykane dotychczas warunki pogodowe na większości terenów naszej planety. Decyzje podjęte w jednym kraju mogą spowodować określone skutki w innym. Najpoważniejszym problemem ekologicznym jest obecnie tzw. efekt cieplarniany.

Do niedawna uważano, że najbardziej groźne dla środowiska są emisje dwutlenku siarki, tlenków azotu i fluoru, które w postaci kwaśnych deszczów czynią spustoszenia w europejskich lasach. Bez wątplenia wymieranie lasów na naszym kontynencie grozi katastrofą ekologiczną. Jednak poprzez emisje gazów cieplarnianych, człowiek po raz pierwszy w swej historii spowodował groźbę wystąpienia katastrofy globalnej, z czego tak naprawdę nie zdaje sobie sprawy.

Wskutek ogrzania się wód morskich, zdarzać się będą częściej niż dotychczas groźne burze, a siła huraganów znacznie wzrośnie. Z cieplejszym powietrzem wiąże się bardziej intensywne parowanie, większe zachmurzenie i w konsekwencji zwiększenie opadów o 5-7 procent. Jednak ich rozmieszczenie nie będzie równomierne. Z prognoz wynika, że w środkowych Indiach opadów będzie dwukrotnie więcej, natomiast w centralnych częściach kontynentów średnich szerokości geograficznych wystąpią susze. Postępować będzie pustoszenie i strefa uprawy zbóż przesunie się na północ. Na razie jednak trudno przewidzieć, czy na tych terenach (północne rejony Kanady i Rosji) uprawy będą się udawały. W każdym razie dzisiejsze żyzne ziemie zamienią się w pustynię, co spowoduje klęskę głodu.

Ucierpią również rośliny i zwierzęta, które nie będą mogły w tak szybkim tempie przystosować się do nowych warunków. Spowoduje to zwielokrotnienie - tak dziś intensywnego procesu wymierania gatunków (w tym gatunku *homo sapiens*).

Mój dobry znajomy, jachtowy kapitan żeglugi wielkiej, członek Komitetu Prognoz „Polska w XXI wieku” przy Prezydium Polskiej Akademii Nauk - Lesław Michnowski - w swojej książce, pt. „Czy regres społeczeństwa?” (Warszawa 1999), pisze tak:

Świat przeżywa kryzys. Szybciej wyczerpujemy źródła zasobów naturalnych i paliw, nim pozyskujemy dostęp do źródeł alternatywnych. Szybciej też degradujemy środowisko przyrodnicze i glebę, niż środowisko samo się odtwarza w postać zgodną z potrzebami życia człowieka. Szybciej także postępuje moralne starzenie się dotychczasowych form życia, aniżeli wdrażamy formy nowe - zgodne z nowymi uwarunkowaniami życia ludzi i przyrody. Sytuację pogarsza szybko postępująca demograficzna ekspansja, zwłaszcza opóźnionych w rozwoju części rodziny ludzkiej (...).

Trzeba jednak pamiętać, iż kryzys - to zagrożenie i szansa.

Zagrożenie - ekologicznym holocaustem i totalną zagładą, w przypadku podjęcia błędnej strategii jego przezwyciężania. Szansa - ekorozwoju, poprzez dostosowanie form życia (i gospodarowania) światowej i polskiej społeczności do wymagań powszechnego, efektywnego i ekologicznie użytecznego wykorzystania potencjału intelektualnego rodziny ludzkiej oraz wielkich współczesnych osiągnięć rozwoju nauki i wysokiej techniki. Kryzys - to zatem także szansa radykalnej, trwale przywracającej zdolność rozwoju, ekohumanistycznej przebudowy mentalności i stosunków społecznych.

Na razie jednak tylko nieliczni zdają sobie z tego sprawę. Człowiek nie chce zrezygnować z awansu cywilizacyjnego i trudno się temu dziwić, choć w obliczu grożącej ludzkości globalnej katastrofy, tego rodzaju postawa traci wszelki sens.

Lucjan Cimek



Irena Malec-Iwańczyk

Krasnystaw - Kalifornia



Rozłąka z najbliższą osobą, w moim przypadku z córką, budzi tęsknotę, a wraz z nią ból. Żadna korespondencja ani rozmowa telefoniczna nie zastąpi bycia sam na sam. Dzielą nas dwa kontynenty, ocean i 17 tysięcy kilometrów. Wszystkie święta i uroczystości przywołują łzy, a nie daj Boże, gdy brak połączenia telefonicznego, wtedy pojawiają się wizje jak z obrazów Zdzisława Beksińskiego. Powodują panikę i rozpacz, że chciałoby się natychmiast ptakiem dolecieć w obawie, że w każdej chwili może stać się coś najgorszego, bo takie jest życie.

Dwukrotnie lecąc do Kalifornii, pierwszy raz 8 marca 2003 roku, i drugi - sześć lat później, w czasie przesiadek we Frankfurcie i Zurychu, oprócz trudności z odnalezieniem terminalu, groziła mi katastrofa lotnicza. Najgorsza była pierwsza podróż, kiedy postawiłam wszystko na jedną kartę: - Jadę! Być może zginę w podróży, ale pragnienie spotkania się z moimi dziećmi jest ponad wszystko. Systematycznie kupowałam wyprawę dla córek i prezenty dla nowej rodziny.

W przeddzień wyjazdu wstąpiłam do kościoła. Przy konfesjonale poprosiłam: ojcze, pobłogosław mi na drogę. Jutro wyjeżdżam do swojej córki w Kalifornii i bardzo się boję, bo nigdy nie leciałam samolotem. - Niczego się nie lękaj. Twoja miłość doprowadzi cię do celu. W imię Boga, wyruszaj. Błogosławie cię i twoje dzieci - rzekł ksiądz. Podbudowana tymi słowami i komunią, znacznie spokojniejsza wróciłam do domu.

W nocnym zimowym pejzażu, z synem i umówionym taksówkarzem wyruszyłam do Warszawy. Na Okęciu czułam się zagubiona jak uczennica nieprzygotowana do lekcji. Po odprawie celnej wsiadłam do samolotu Lufthansy i za godzinę byłam we Frankfurcie, gdzie jest wielkie lotnisko. Pasażerów do samolotów dowożą autobusy. Mnie nikt nie powiedział, w który wsiąść, więc wpadłam w panikę. Na szczęście spotkałam Polkę, która leciała, już po raz dziesiąty do córki w Los Angeles. Kamień spadł mi z serca, gdy Elżbieta Kujawa

z Gdyni zgodziła się towarzyszyć mi w podróży. Po odprawie celnej weszliśmy do samolotu, ale każda z nas musiała zająć miejsce w innym sektorze. Start o godz. 13.30. Lecąc w słońcu, ponad chmurami, czułam się szczęśliwa. Dziękowałam Bogu, że doznaję czegoś wspaniałego i ubogacam swoją duszę tym pięknem.

Po kilku godzinach lotu byliśmy prawie w połowie drogi do Los Angeles. Nagle pani Elżbieta dotknęła mojego ramienia i przekazała niemłą wiadomość - Zawracamy do Frankfurtu, bo zepsuły się urządzenia dostarczające tlen. Maski nic nie pomogą, więc możemy się udusić. Porażona odpowiedziałam - Trudno, skoro musimy zginąć, zginieśmy. Tu są dzieci, młodzi ludzie, razem ze 300 osób i wszystkich czeka ten sam los! W godzinę śmierci, bądźmy razem. Niech pani przeniesie się do mnie. - Spokojnie - odparła - jak będzie źle, to wtedy przyjdę. Panika udzieliła się wszystkim; stewardessy, z przyklejonym uśmiechem, nie mogły ukryć przerażenia, podawały trunki, lody, słodczyce, co kto chciał. Pasażerowie opuszczali swoje miejsca i głośno wyrażali oburzenie i strach. Tylko siedząca obok mnie Niemka śmiała się i pocieszała mnie mówiąc: - Irrina good!

Zatopiłam się w myślach: cóż, najwyżej moje dzieci dostaną odszkodowanie, gdyż ubezpieczyłam się na 50 000 dolarów. Niewielka to suma, ale dobre i to. Pogodzona z ostatecznością, obserwowałam ludzi, którzy patrzyli w okna, a nawet robili zdjęcia, gdy samolot wylewał paliwo do oceanu, aby zapewnić bezpieczniejsze lądowanie. Na krawędzi życia i chyba z boską pomocą wróciliśmy do Frankfurtu, aby po trzech godzinach, o 22.00 wystartować ponownie innym samolotem. Tym razem, po trzynastogodzinnej podróży z turbulencjami, dolecieliśmy do oświetlonego i pulsującego kolorami świateł Los Angeles.

Port lotniczy to olbrzymi labirynt różnych pomieszczeń, trzeba prawie biec za wylewającą się z samolotu falą pasażerów, bo można zabłądzić albo się zgubić. Dotarliśmy takim sposobem do miejsca, gdzie trzeba było ustawić się w tasiecowej kolejce na odprawę celną, która była bardzo szczegółowa i trwała długo. Pomimo wielkiego opóźnienia, w poczekalni, obie z koleżanką, zastałyśmy nasze dzieci. Radość nie miała granic. Padłyśmy sobie ze łzami w objęcia i później ciągle

przytulałyśmy się do siebie, chcąc nadrobić lata rozstania. Wreszcie zapoznałam się z zięciem, którego znałam tylko z fotografii. Ten sprawnie załadował się bagażami, a za chwilę wiozł nas autem do teściów mojej córki na przedmieścia Los Angeles, do dzielnicy Anaheim.

Zajechaliśmy przed dom rodziców Phila. Nieśmiało i pod wrażeniem weszłam do pokoju, w którym Carol Fowler, teściowa córki, trzymała na rękach naszą rozespaną wnusię. Podałyśmy sobie dłonie, wymieniły imiona i uściśniły, a wnuczkę tylko pocałowałam w policzek, gdyż tuliła się do amerykańskiej babci. Poznawałam rodzinę, dom, ogród. Wszyscy byli wyjątkowo sympatyczni, starali się pokazać to, co jest w Ameryce najpiękniejsze i najlepsze.

W zachwyt wprawiało wszystko: przyroda, piękno miast, gór, jezior, parków, Pacyfiku, obyczajów, zabytków, tańca, pieśni, muzyki itp. W Los Angeles 9 marca było już gorące lato, kwitły krzewy, hibiskusy, róże, dojrzewały cytryny i pomarańcze. Jest to miasto olbrzymich wieżowców, restauracji, teatrów, dżungli sklepów, parków rozrywki, muzeów.

W całej Ameryce celebrowane jest wykwintne jedzenie, a szczególnie dinner czyli obiad, który jest bardzo urozmaicony, smaczny i tani (przeciętnie 20 dolarów), a najczęściej konsumuje się go w restauracjach, z wybraną kuchnią polską lub włoską, czy chińską, meksykańską, tajlandzką itp. Jest tu niezliczona ilość restauracji, niemal na każdym kroku, w miastach, miasteczkach i na trasie każdej podróży.

Konsumpcję rozpoczęliśmy w Los Angeles od restauracji z kuchnią polską. Byłam zaskoczona, gdy na dużym półmisku, podano mi ogromny kotlet schabowy z bigosem i ziemniakami. Tym daniem mogłyby się najeść trzy osoby. Byliśmy też w lokalu poświęconym pamięci Elvisa Presleya, gdzie oprócz wyśmienitych potraw, trunków i ciast, oglądaliśmy na kilku ekranach filmy z Elvisem, oraz słuchaliśmy jego piosenek. Przy wejściu witął nas i zegnał aktor, przebrany za Presleya, natomiast przed budynkiem znajdował się posąg zmarłego artysty. Z kolei w lokalu „Dziki Zachód” spożywanie oryginalnych dań uatrakcyjniały występy artystów, a wśród nich prawdziwych Indian w oryginalnych strojach oraz szamanów, sztukmistrzów, piosenka-

rzy: tańczyli, grali, śpiewali, organizowali konkursy, zapraszali do tańca. Korzystaliśmy z wielu restauracji i wszędzie spotykaliśmy niezwykle sympatyczną obsługę. Podawano nam smaczne, bardzo obfite i tanie posiłki.



Dużą atrakcją był park rozrywki, do którego wpuszczano za okazaniem biletów po 50 dolarów. Była sobota, więc przyszły całe rodziny i trudno było wejść. Zanim przekroczyliśmy bramę, trzymaliśmy się za ręce, aby się nie zgubić. Park w Los Angeles zajmuje ogromną przestrzeń z wigwamami, fontanami, jeziorami, strumieniami, kolejkami, restauracjami i niespotykanymi urządzeniami rozrywki dla dzieci i dorosłych. W saloonie kowbojskim artyści tańczyli, śpiewali i grali w stylu country. Następnie przeszliśmy do pomieszczenia, gdzie słuchaliśmy indiańskiej muzyki rytualnej, a potem, za pomocą efektów świetlnych, śpiewu i recytacji, Indianin w roli ducha opowiadał dzieje życia swojego plemienia, a świetlisty orzeł symbolizował postać wodza. Tym opowieściom towarzyszyły grzmoty i błyskawice. Iluminacje świetlne, dźwięk, obraz, muzyka sprawiły, że znaleźliśmy się w innym wymiarze świata. Doznaliśmy mistycznych i metafizycznych przeżyć. Z kolei, jadąc dyliżansem konnym z góry i pod górę, czuliśmy się jak prawdziwi, dawni pionierzy, przemierzający szlaki Dzikiego Zachodu.

Tu spotkaliśmy ludzi różnych ras, często niewyobrażalnie otyłych, do 200 kg wagi. Przy temperaturze około 40° C chłodziliśmy się zimnymi napojami, lodami, a później, w klimatyzowanej restauracji zjedliśmy obiad. Brodziliśmy też w Pacyfiku, a na plaży zbieraliśmy muszle. Spacerowaliśmy po molo, sięgającym daleko w ocean, na skraju którego była restauracja i obserwowaliśmy



plywające statki i ludzi uprawiających sporty wodne. A w oceanarium podziwiałam urodę podwodnego świata.

Następnego dnia udaliśmy się do Hollywood. Już z daleka rzuca się w oczy wzgórze z wielką nazwą miasta. Góruje tu olbrzymia statua Chaplina. Wszędzie turyści, tłok, ruch, gwar. Przed teatrem, gdzie wręczają Oscary, aktorzy przebrani za Elvisa Presleya, braci Marx i innych, za opłatą



pozują do zdjęć. W Alei Gwiazd czytam nazwiska najśłynniejszych aktorów, a wśród nich Poli Negri, polskiej aktorki Apolonii Chałupiec, pochodzącej spod Hrubieszowa, która zrobiła światową karierę w Hollywood. Poczułam gwałtowny przypływ krwi, radość rozpierającą serce, jedność i bliskość duchową. To nasza rodaczka - Polka! Przyjaciółka Rudolfa Valentino. Wielka, sławna i pochodzi z moich stron. Boże, co za szczęście - powtarzałam. Dzięki niej, daleko od Polski poczułam się dumna, ważna i pewna siebie. Potem zwiedzaliśmy wytwórnie filmowe, między innymi Paramount Pictures, i cmentarz ogrodzony wysokim murem, na którym spoczywa Marilyn Monroe i Rita Hayworth. Kupiliśmy pamiątki, a wśród nich atrapy Oskarów.

Po tygodniu pobytu w Anaheim wyruszyliśmy z Halem, jego samochodem, do Big Pine, co znaczy „Wielka Sosna”, gdzie mieszka moja córka z mężem i moją wnuczką. Po całodziennej podróży dotarliśmy do miasteczka w górach Sierra Nevada, znanych z filmów kowbojskich. Big Pine jest położone w dolinie i otoczone górami, których szczyty pokrywa śnieg, widok wspaniały, klimat górski, woda czysta i zdrowa. W pobliżu park, jezioro i szumiący potok. Przy głównej arterii znajdują się najważniejsze instytucje. Od niej prowadzą uliczki w stronę gór. Mieszkańcami tego miasteczka są w większości Pajuci, potomkowie Indian, ludzie przeważnie otyli, mają ciemną cerę i długie czarne włosy. Żyją z zasiłków.

Dom z dwoma tarasami, w którym mieszkają moje dzieci, przypomina dworek otoczony dużymi rabatami kwiatów, a od wschodu - ogrodem warzywnym. Budynek pochodzi z XIX w. i jest po Levi Straussie, który pierwszy produkował spodnie zwane „lewisami”. Wnętrze zaskakuje wspaniałym urządzeniem, zabytkowymi meblami i dobrym gustem. Tu każdego wieczoru, a szczególnie w weekendy, sąsiedzi przychodzili na taras domu, by porozmawiać i wypić piwo przyniesione z domu, natomiast w wyjątkowe święta robiliśmy przyjęcia z piwem, duszonym mięsem, pierożkami z kapustą i z tym, co kto przyniósł. Wszyscy byli ciekawi Polski.

Na wstępie pytali o gesty, o niecenzuralne słowa, przy czym było dużo śmiechu. Opowiadałam im o życiu w Polsce, ciekawe historie rodzinne i dowcipy, oni też dołączyli swoje opowieści i żarty. Czasem przychodzili nieznani ludzie, chcąc mnie poznać. Zyskałam nowych przyjaciół. Meksykanin Chris, muzyk grający na gitarze, dał nam na tarasie koncert flamenco. Byłam urzeczona zarówno jego muzyką jak i urodą. Z kolei Cyntia ugotowała wspaniałą meksykańską zupę. Wendi Moffet zabrała mnie na całodniową wycieczkę w góry i nad jeziora, innych odwiedzałam w ich domach, a na pożegnanie od wszystkich dostałam prezenty.

Podczas dwumiesięcznego pobytu, oprócz obiadów w restauracjach, zarówno córka, zięć jak i ja, kiedy była potrzeba, gotowaliśmy dinner. Najbardziej z polskich potraw Amerykanom smakowały pierożki z kapustą, kluski - kopytka, placki ziemniaczane, bigos, pączki no i tort, a mnie kali-

fornijskie borito, steki, sushi, krewetki, lasanie, dyp i inne dania, których nazw już nie pamiętam.

Z tego miasteczka wyjeżdżaliśmy na całodienne wycieczki w góry Sierra Nevada, gdzie przed milionem lat czas się zatrzymał. Te góry stworzyły lodowce i wulkany, są piękne, niebotyczne i dumne, jakby zamieszkiwał w nich sam Bóg. U podnóża gór widzieliśmy wielkie połacie soli wyglądające niczym lód albo śnieg. To pozostałość po wyschniętych słonych jeziorach. Były też ruiny dawnych kopalń złota i wymarłe miasta. W wyższych partiach podróżowaliśmy nad przepaściami, przejeżdżając przez naturalne skalne bramy, by wreszcie dotrzeć do Death Valley, czyli Doliny Śmierci. I tu zaskoczenie - dotąd nagie skały, a nagle wyrasta krajobraz palm, zieleni, gdzie tętni życie, są sklepy, restauracje, muzeum, hotele i ludzie z całego świata, bo to jeden z najpiękniejszych zakątków na ziemi. Z wysokości patrzyliśmy w dół. Groza, strach i zachwyt łączyły się w jedno. Tu zagubiłam się w czasie i miejscu, zdawało mi się, że słyszę głosy Indian sprzed lat i rozmawiam z Bogiem.



Po kilku dniach udaliśmy się nad Mono Lake największe jezioro w Kalifornii, zdobią je potężne pomniki, wyrzeźbione przez naturę i stojące w wodzie - skały, o różnych kształtach, niektóre przypominające postać ludzką. To pozostałości po bijących źródłach. Tworzyły się przez epoki, a gdy źródła przestały bić i woda zaczęła szybko opadać, gdyż czerpano ją stąd także dla Los Angeles, ukazał się widok niesamowity. Niespotykany dotąd nigdzie na świecie. Poczułam, jak bym była razem z baśniowym Kajem w krainie lodu u Królowej Śniegu, lub w pracowni artysty wśród nowoczesnych rzeźb. Pełni wrażeń wróciliśmy do domu, by

po trzech dniach udać się do Las Vegas, miasta hazardu i rozrywki.

Ziść wybrał trasę krótszą, ale niebezpieczną, bo przez góry. Słońce chyliło się do linii horyzontu, gdy jechaliśmy wybujałą serpentyną, nad przepaściami. Nocą dotarliśmy do stanu Nevada. Mijaliśmy rozległe przestrzenie. Wreszcie mroki nocy rozstały się, uderzyła jasność, jakby ściana nieba się rozwarła, feeria barw. Niesamowite kolory i kształty światel - migocą, tętnią, tańczą, strzelają, wabią, szokują pięknem. Nad całym miastem góruje orkiestra światel. Nocny świetlisty ogrom piękna trudno ogarnąć sercem. Las Vegas, mekka dla podróżnych i hazardu, kipiący kocioł Nevady poraża pulsującym tętnem, nie tylko światel, ale też mozaiką ludzi, wodnym baletem, hotelowymi kasynami. Ruch, gwar, wir całą dobę, a szczególnie w nocy. Turyści różnych ras i różnego wieku, zajmują miejsca w hotelach wybudowanych na wzór najsłynniejszych zabytków z całego świata. Hotel w kształcie ogromnej piramidy, symbolizuje Egipt, hotel jako wieża Eiffla - Paryż, Statua Wolności - Nowy Jork, Monte Carlo - Monaco itd. W każdym kasyna gry, sklepy, ruchome schody, tysiące pokoi, dziedzińce, ogrody, baseny. Wśród gości - hazardziści, którzy zajmują miejsca i z uporem grają, licząc na szczęście, na wielką wygraną. Tu spotkaliśmy dwoje młodych Polaków z Warszawy, którzy przyjechali tylko na trzy dni, aby pograć w ruletkę.

My na okres też trzech dni zamieszkaliśmy w hotelu „Terribles” (czyli „Straszny”), zajęliśmy pokój 3003. Najpierw zwiedziliśmy lokal: kasyna, restauracje, sklepy i otoczenie. Na drugi dzień udaliśmy się na zwiedzanie miasta. Spacerowaliśmy imitowanymi uliczkami Paryża, Kairu, Nowego Jorku i Monte Carlo, podziwiając komfort każdego hotelu i jego otoczenia, naśladującego ulice wybranych miast. Zdumiewające było spotkanie tylu fragmentów świata i jego najważniejszych budowli w jednym mieście - Las Vegas, co czyni je wyjątkowym i oryginalnym.

W hotelu „Monte Carlo” próbujemy kasynowej gry. Jedynie córka wygrywa 10 dolarów. Wieczorem obejrzelśmy tańczące przy muzyce kolorowe fontanny, które przyciągają tłumy. Oczywiście ciągle korzystaliśmy z restauracji w hotelu „Terribles”, w którym za 8 dolarów można było przy

szwedzkim stole cały dzień konsumować wykwintne potrawy, trunki, napoje i ciasta.

Las Vegas, miasto zbudowane na pustyni, poraża swym pięknem i pokazuje jak wielka jest potęga rozumu ludzkiego. Tu człowiek, za pomocą wysokiej techniki, różnorodnych i wyjątkowych pomysłów dokonał niemalże cudów, zachwycając nimi świat. Czułam się w nim jak zabłąkana gwiazda, odurzona bezkresem piękna, ołowianociężka od nadmiaru doznań, a jakże szczęśliwa. Żał mi było odjeżdżać.

W przeddzień wyjazdu do Polski udaliśmy się do kalifornijskiej Częstochowy, zwanej „Mission San Juan Capistrano”, pozostałość po pierwszej misji hiszpańskiej z XVI wieku. Jest to zespół sakralny, składający się z budynków klasztornych, kaplic, kościołów z dziedzińcami w środku, z piękną parkową przyrodą, fontannami, ogrodzony wysokim murem. W dawnych celach klasztornych, obecnie zamienionych na muzeum, znajdują się przedmioty hiszpańskich konkwistadorów: zbroje, siodła, biała broń, wyposażenie wnętrz, dawne meble i przedmioty codziennego użytku. Są też rzeźby bogów indiańskich, maski, broń, indiańskie narzędzia kowalskie, rękodzielnicze, rolnicze z XVI wieku. Tu też oglądaliśmy ruiny pierwszej kalifornijskiej winiarni, dawną kuchnię klasztorną i piec do wypiekania chleba. Kilka cel zamieniono na sklepiki z dewocjonaliami.

W kościele, przed którym znajdował się mały cmentarz, modliliśmy się i palili świece. A w olbrzymiej katedrze górującej nad zespołem sakralnym oddaliśmy się w opiekę świętego Antoniego, mając na myśli szczęśliwy powrót do domu, bo na wspomnienie podróży ogarniał mnie lęk i zwątpienie. Przyjmując komunię, pytałam siebie i Boga na przemian, czy dam radę wrócić, czy dane mi będzie zawitać w progi swojego mieszkania?

Kalifornia, najpiękniejszy i najbogatszy stan Ameryki, oczarowała mnie ogromem piękna. To do niej ściągają artyści z całego świata, tu powstało najwięcej filmów, a szczególnie westernów. Ja też miałam szczęście wiele doświadczyć, a w dniu odjazdu chciałam zabrać ze sobą ten urok, z którym się rozstałam, może na zawsze.

Żał jest zapłatą za wszystko, co zobaczyłam, wspomnienie - tęsknotą, by wreszcie stać się ulotnym, jak mijające lata. A ludzie, których pozna-

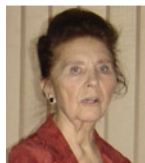
łam, otworzyli przede mną podwoje swoich serc na oścież. I choć dziwny jest ten świat, i mimo że pochodzimy z różnych kontynentów, wszędzie możemy spotkać ludzi, którzy tak samo czują, czyli „nadają na tych samych falach”. Ja takich spotkałam w Ameryce.

Zarówno rodzina moja i mojego zięcia, jak i nowi przyjaciele, dali mi majątek duchowy na całe życie. Z niego czerpię, pisząc wiersze i we wspomnieniach ciągle do nich wracam. W żadnych snach ani marzeniach nie przewidziałam tak silnych przeżyć. Dotąd czuję ich wagę, bo znakomite rzeczy wprowadzają w upojenie graniczące z bólem, może to jest uwięziona w nas nieskończoność? Człowiek ciągle czegoś szuka. Coś pozostawia. Czegoś nigdy nie znajdzie. Do czegoś nigdy nie wróci.

Irena Malec-Iwańczyk

Irena Malec-Iwańczyk

Kalifornia



To Kalifornia mnie zaczarowała
różdżką miłości dwojga serc
Strachem przed czarną wdową
i tarantulą
szelestem kaktusa raniącego dłoń
otwartą mozaiką ludzkich ras
tygłem świata w Hollywood
i Las Vegas
Tulę się w klawiaturę gór
i patrzę w przepaść
- tu nawet śmierć byłaby piękna
Nie czuję siebie
tylko się domyślam
w boskiej potędze gór
w rytmie indiańskich ballad
się rozplywam
Moje ego potwierdza
tylko bicie serca
i radość
która kroplą spływa

Mateusz Grzeszczuk

Woń

lubię pierwsze litery
i w nich urządzać noclegi
z paprocią na pościeli

lubię pierwsze litery
wśród których serce milknie
zbrudzone rozpaloną żywicą

lubię pierwsze litery
wśród ostatnich do których
powrócić mogę
co jeszcze dymią
i kładą się pod kołdry na siłę

Gardło

krzyki tak dzisiaj
czerwienią i rozkładają na chodnikach
pienią w ustach i między zębami
pustka od wczoraj
rozkryczczana
naga
zbyt ciężka by przeżyć
wygięta w ciele przez żal i klęskę
dławi ślepo kołysz

a tydzień trwa jak tydzień
ktoś traktował poważnie kalendarze
i nie istniał
powoli zakrywa
kurtynę jak lustro
dni nienasycone
w których ginę milknę
a moje gardło przynosi na tacy
nieruchome szepcze
placze
snem krótkim
ust spod rzęs
mokrej atmosfery

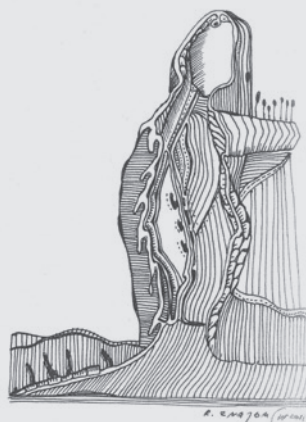
Skrzydła

mieliśmy w posiadaniu ptaki
które wpadały do rąk
nieprzytomnie oszalałe klękały

na niebie
zbląkane nie wiedziały że
nie obserwujemy ich tęsknot

snów zaścielonych

krzykiem na chmurach



nys. R. Znajomski

Dłonie

każda dłoń ma swoje łaki
bruzdy i spacery we mgłę
na których poznajemy
po dotyku kamienie
podszywane stalą zrywane z bruku
rozbite na plastry papilarów

dłonie ładu wieńców
spętane na szyi i na cieniu
opierające jazgot kołatania
grozy czasem nowy świat
policzków przedświt koniec

nasze dłonie wachlarze ziół wschodzących
oczy ślepe na kolor kwiatów

Ewa Magdziarz

Wiosenne przedsięwzięcia „Iluzjonu”



Premiera filmu „Jestem tu”

Projekt „Kręmy film!” realizowany był przez Młodzieżowy Dyskusyjny Klub Filmowy „Iluzjon” w 2011 r. W ramach projektu powstał film „Jestem tu”, którego premiera odbyła się 10 marca w auli koncertowej Państwowej Szkoły Muzycznej w Krasnymstawie. Premierę poprzedziło spotkanie z ekipą TVP Lublin, w czasie którego uczestnicy dzielili się wspomnieniami z letniego projektu i mówili o działalności MDKF-u. Grzegorz Emanuel - opiekun artystyczny projektu „Kręmy film!”, reżyser filmu „Jestem tu”, aktor - w zajmujący sposób przedstawił historię projektu i opowiedział o pracy w czasie realizacji przedsięwzięcia. Po projekcji filmu „Jestem tu” rozpoczęło się spotkanie autorskie, w którym wzięli udział asystent reżysera, montażysta TVP Lublin Sławomir Kozyrski i młodzi aktorzy m.in. Oliwia Zajączkowska, Barbara Grzeszczyk, Żaneta Kozłowska i Wojciech Kocharczyk. Uczestnicy projektu opowiadali o pracy na planie filmowym, dzielili się refleksjami, uwagami, wspominali zabawne historyjki, odpowiadali na pytania widzów.



Pod koniec spotkania, dyrektor II LO, Anna Cichosz, podziękowała uczestnikom projektu za wytrwałość w pracy i zaangażowanie. Stwierdziła, że cała społeczność szkoły z prawdziwą satysfakcją, dumą i wzruszeniem obejrzała film. Następnie realizatorzy wręczyli płyty z filmem „Jestem tu” gościom, sponsorom i uczestnikom projektu.

Wiosenne przedsięwzięcia „Iluzjonu”



Z relacji widzów wynika, że film zrobił duże wrażenie. O projekcie i filmie z uznaniem wypowiadali się dorośli i młodzież, dlatego realizatorzy, pomimo ograniczonych środków finansowych, zamierzają kontynuować to udane przedsięwzięcie filmowe w czasie wakacji w 2012 r.

Jubileuszowa edycja Powiatowego Konkursu Filmowego

MDKF „Iluzjon” zorganizował po raz dieśiąty Powiatowy Konkurs Filmowy „Spotkanie z X Muzą - bliżej marzeń”. Finał konkursu odbył się 18 kwietnia w auli koncertowej Państwowej Szkoły Muzycznej w Krasnymstawie. Polska Federacja Dyskusyjnych Klubów Filmowych ufundowała dla laureatów nagrodę specjalną - akredytację na 13. Letnią Akademię Filmową w Zwierzyńcu.

W celu przygotowania uczniów do konkursu, MDKF zorganizował przegląd „Stereotypy w filmie”. Uczniowie obejrzała dokumenty Nataszy Ziolkowskiej-Kurczuk m.in. „Sześć postaci”, „Na wsi zabawa”, „Głód” i wzięli udział w spotkaniu autorskim z reżyserem.

Honorowy patronat objęli: starosta krasnostawski Janusz Szpak oraz wiceprzewodniczący Rady PF DKF Piotr Kotowski. Uczestnicy konkursu przygotowali prace w dwóch kategoriach: praca filmowa/fotograficzna/fotokast na temat „Stereotypy” i plakat filmowy. Prace w pierwszej kategorii oceniali: Piotr Kotowski - przewodniczący jury, Damian Kozyrski - dyrektor KDK i Sławomir Kozyrski - montażysta TVP Lublin. Plakaty oceniali: Tadeusz Kiciński - przewodniczący jury, Joanna Szufnara - nauczycielka II LO i Sławomir Kozyrski.

Zaproponowane kategorie spotkały się z dużym zainteresowaniem. Uczniowie wykonali na konkurs 66 prac. Szkoły, z których nadesłano prace, to: gimnazja z Małochwieja Dużego, Sien-

nicy Nadolnej, Rudnika, Zakręcia, Izbicy, Krupego i Łopiennika Górnego oraz gimnazja nr 3 i nr 4 w Krasnymstawie, I i II Liceum Ogólnokształcące, Zespół Szkół Ponadgimnazjalnych nr 2, Specjalny Ośrodek Szkolno-Wychowawczy.

W kategorii praca filmowa/fotograficzna/fotokast pierwszą nagrodę zdobyły Andrea Szostak i Dominika Żydzia z Gimnazjum nr 4 w Krasnymstawie za film „Mam dość” i Aneta Tarnogórska z II LO za pracę fotograficzną „Stereotypy - okulary, które oślepiają”. Drugie miejsce zajęły Katarzyna Basa i Justyna Badio z I LO za film „Never mind”. Uczniom szkół gimnazjalnych nie przyznano drugiego miejsca. Trzecie miejsce zajęli Kaja Kłos z Gimnazjum w Izbicy i Karol Domański z II LO w Krasnymstawie. Pierwsze miejsce w kategorii plakat filmowy zajęły Ewa Gołębiowska z Gimnazjum w Siennicy Nadolnej („Sztuczki”), ex aequo Aleksandra Czerniak („Jutro będzie lepiej”) i Katarzyna Kozyrka - uczennice z II LO w Krasnymstawie („Barwy granatu”). W kategorii wiekowej uczniowie szkół gimnazjalnych nie przyznano drugiej nagrody. Kinga Łaniewska z I LO i Magdalena Krupa z II LO w Krasnymstawie wykonały plakaty do filmu „Hamlet” i zajęły drugie miejsce ex aequo. Trzecie miejsce zajęły Ilona Potoczna z Gimnazjum w Rudniku („Nad Niemnem”) i po raz kolejny ex aequo Paulina Markiewicz („Jutro będzie lepiej”) oraz Karolina Miszczak z II Liceum Ogólnokształcącego w Krasnymstawie („Cienie zapomnianych przodków”). Liczba nagrodzonych w tej kategorii świadczy o wysokim poziomie nadesłanych prac.

Finał konkursu zakończyły podziękowania Janusza Szpaka organizatorom, którzy od wielu lat przygotowują konkurs promujący sztukę filmową, a także tym, którzy wspomagają finansowo organizatorów. Starosta podkreślił szczególną rolę byłego dyrektora II LO, Edwarda Kawęckiego we wspieraniu przedsięwzięć filmowych podejmowanych przez MDKF. Głos zabrała także dyrektorka Specjalnego Ośrodka Szkolno-Wychowawczego Beata Korszla, która podziękowała Ewie Magdziarz i Joannie Szufnarze, a także uczniom II LO: Magdalenie Krupie i Karolowi Domańskiemu za pomoc w przygotowaniu filmu promującego SOSW, a także za wkład wniesiony w łamanie stereotypów związanych z niepełnosprawnością. Dyrektorka II LO, Anna Cichosz także podziękowała organizatorom, podkreśliła również, że przygotowanie tego typu przedsięwzięć wymaga zespołowego wysiłku wielu osób - nauczycieli i uczniów.

Organizatorów cieszy fakt, że uczniowie chętnie biorą udział w konkursie popularyzującym

sztukę filmową, a także projekt FilMOTEKA Szkolna, w którym „Iluzjon” aktywnie uczestniczy. Powiatowy Konkurs Filmowy integruje młodzież ze szkół gimnazjalnych i ponadgimnazjalnych Krasnegostawu i powiatu, proponuje jednocześnie wiele ciekawych form realizacji filmowych projektów.

Tomasz Radej z Wielkiej Brytanii gościem MDKF-u

Warsztaty filmowe „AMATOR 2012” odbyły się 26 kwietnia w II Liceum Ogólnokształcącym w Krasnymstawie. Prowadził je non profit Tomasz Radej, który studiuje na The Arts University College at Bournemouth w Wielkiej Brytanii. W spotkaniu uczestniczyli uczniowie z Gimnazjum nr 4 w Krasnymstawie pod opieką Piotra Galińskiego oraz uczniowie z I i II LO w Krasnymstawie.



Zajęcia autorskie poświęcone były związkom fotografii i filmu. Tomasz Radej analizował od strony teoretycznej i praktycznej na wybranych przykładach obszar pomiędzy obrazem ruchomym i statycznym. Rozróżnił te dwie estetyki, wskazał podstawowe środki wyrazu, sposoby traktowania czasu i przestrzeni. Zaprezentował wczesne rejestracje ruchu w fotografii Muybridge'a i Marey'a. Pokazał filmowe paradoksy, czyli statykę i ruch w jednym. Następnie przybliżył zagadnienie narracji sekwencyjnej i narracji zamkniętej w jednym kadrze, na przykładach prac fotograficznych Jeffa Walla, Gregory Crewdsona oraz fragmentów filmów Chrisa Markera i Chantal Akerman. Tomasz Radej podkreślił, że rola twórcy i odbiorcy jest równoważna. Zaproponował uczestnikom warsztatów analizę szczegółów ukrytych w fotografiach. Uczniowie, z pomocą prowadzącego, wnikliwie interpretowali struktury filmowe na podstawie prezentowanych przykładów.

Kolejna część warsztatów miała charakter praktyczny i okazała się bardzo ciekawa. Uczniowie podzieleni na grupy mieli za zadanie opowiedzieć historię, używając jednego ujęcia filmowego lub jednego obrazu fotograficznego. Młodzież z zapalem dyskutowała na temat projektów zadań. Następnie zaczęła się twórcza praca, w którą włączył się także Tomasz Radej. Po obejrzeniu materiału filmowego i fotograficznego okazało się, że bardzo ciekawe efekty osiągnięto dzięki improwizacji. Autorzy opowiedzieli o swoich pomysłach i ich realizacji. Uczestnicy warsztatów dyskutowali także na temat obejrzanych prac, których oryginalność mile zaskoczyła prowadzącego zajęcia.



Warsztaty „Amator 2012” były ciekawym doświadczeniem zarówno dla Tomasza Radeja jak i uczestników zajęć. Spotkanie zaplanowane na dwie godziny trwało znacznie dłużej. Młodzież z uwagą analizowała i interpretowała prezentowane materiały, znajdując w nich inspiracje do swoich projektów. Część praktyczna pozwoliła na wyzwolenie wyobraźni, twórczą pracę i realizację ciekawych pomysłów. Dyskusja kończąca zajęcia pokazała, że młodzi ludzie myślą bardzo dojrzałe, a ich uwagi świadczą o głębokiej refleksji na temat otaczającej rzeczywistości. Mamy nadzieję, że powstaną kolejne prace pod kierunkiem Tomasza Radeja, który obiecał, że przyjedzie do nas za rok.

*Ewa Magdziarz
opiekun MDKF „Iluzjon”*

Filmowe przedsięwzięcia MDKF-u, działającego przy II Liceum Ogólnokształcącym im. C. K. Norwida w Krasnymstawie i Krasnostawskim Domu Kultury, realizowane są w ramach zadania Edukacja filmowa prowadzona przez Młodzieżowy Dyskusyjny Klub Filmowy „Iluzjon” finansowane ze środków Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej, Starostwa Powiatowego w Krasnymstawie i Urzędu Miasta Krasnymstaw.

Saturnin Naliwajko

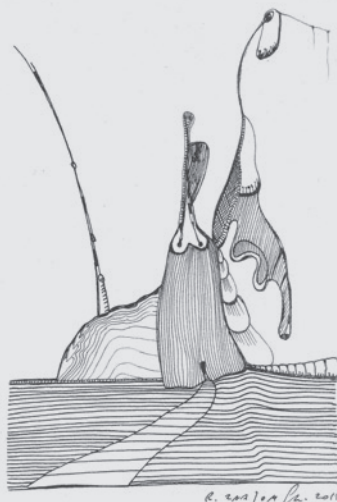


wrosłem w Krasnymstaw
niczym drzewo w glebę
nasiąkniętą krwią
najeźdźców i obrońców
spoczywających obok siebie
bez nienawiści

wrosłem w Krasnymstaw
fundamentem starych
kamieniczek
Ratusza
z herbowymi karpami
na iglicy

wrosłem w Krasnymstaw
jak wrasta się
w dom rodzinny
kolebkę miłości
ciepła
i bezpieczeństwa

a teraz po latach
opuszczam Mój Krasnymstaw
i jadę do największej
miłości mojego życia
jadę
do Wnuków



rys. R. Znajomski

Andrzej David Misiura



poszukiwaniu teatru



Jeszcze w latach 50. XX wieku na większych wsiach, a już na pewno w każdej gminie, istniał teatr. Mówiono i pisano o nich z sympatią, a publiczność przyjmowała życzliwie. Później te amatorskie teatry zaczęły stopniowo przegrywać m.in. z telewizją. W większych miastach z różnymi przygodami zachowały się nawet do dzisiaj. W Krasnymstawie znakomity Teatr im. Stanisława Wyspiańskiego prowadzony przez reżyser Zdzisławę Lipczyńską przestał istnieć w latach sześćdziesiątych na skutek tragicznego wypadku na scenie. Zginęła wówczas czternastoletnia Ewa Lember.

Dla pełnego zobrazowania warto powiedzieć, że małe formy teatralne istniały prawie zawsze. Najczęściej w ramach działalności domów kultury, spółdzielczych i zakładowych klubów kultury lub szkół. Były to zespoły recytatorskie, teatry ruchu, lalki, poezji lub kabarety. Na wsiach ruch teatralny szczątkowo i wyrywkowo próbuje się do dzisiaj reanimować w konkursowych przeglądach widowisk obrzędowych. W Krasnymstawie z końcem lat siedemdziesiątych Tadeusz Kiciński, wychowanek Zdzisławy Lipczyńskiej, utworzył Teatr Małych Form. Wystawiliśmy wówczas (bo również i ja miałem w nich okazję grać) „Zwierzęta hrabiego Cagliostro” i „Hazard” Andrzeja Bursy, prezentowane z sukcesem m.in. w Tarnogrodzie i Łodzi.

Różne działania teatralne nieprzerwanie prowadził Krasnostawski Dom Kultury i później - Młodzieżowy Dom Kultury, który do dzisiaj, pod kierunkiem Janiny Młynek, dochował się znakomitych recytatorów, świetnego teatru dziecięcego „Wyluzuj” (Grand Prix - Wojewódzki Przegląd Teatrów Dziecięcych „Scena młodych” w Lublinie, 2005) i ostatnio spełnia się w widowiskach o tematyce profilaktycznej. Równolegle, w Gminnym Centrum Kultury w Siennicy Nadolnej, Andrzej Woźniak prowadzi od 1988 roku dziecięcy teatr „Dydek” (1 nagroda za „Diabelskie skrzypce”

w Wojewódzkim Przeglądzie Teatrów Dziecięcych i Młodzieżowych, 1998).

Dla powiatu krasnostawskiego rok 2008 okazał się przełomowy, bowiem w Siennicy Różanej powstał dramatyczny Teatr Pokoleń, który sięgnął po profesjonalny repertuar. W pierwszym roku wystawiona została z sukcesem „Chata za wsią”, a później inne sztuki. Dało się zauważyć od tej pory wzrost zainteresowania teatrem i wzmożoną aktywność m.in. krasnostawskich i chełmskich zespołów.



Nie trzeba było długo czekać, aby bieżącego roku Krasnostawski Ruch Ekologiczny „Viridis” oraz Młodzieżowy Dom Kultury im. M. Konopnickiej w Krasnymstawie, w ramach akcji „Ożywić Miasto” zorganizowali imprezę pod nazwą „Okno na teatr”. Ta ciekawa i wspierająca inicjatywa świetnie wypełniła miejską niszę dydaktyczną poprzez organizację warsztatów artystycznych. A tymczasem przed dwoma laty Krasnostawski Dom Kultury podjął się trudnego, ale ciekawego zadania, albowiem rozpoczął organizować:

Krasnostawskie Prezentacje Teatralne.

Tegoroczne święto teatru trwało 3 dni, podczas których wystawiono 4 widowiska przygotowane przez teatry z Wrocławia, Lublina, Siennicy Różanej i Krasnegostawu.



Pierwszy i na dodatek premierowy spektakl zatytułowany „O miłości wśród pól” zaprezentowała Formacja Tańca Ognia „Ignis” z Lublina. Jak sugeruje nazwa, aktorzy tańczą z fascynującym partnerem, jakim jest ogień. Występ łączył też elementy gry aktorskiej i akrobatyki.



W sobotni wieczór przedstawiono na terenie miejskiego rynku bogate w efekty pirotechniczne „Kolory ognia - Ostatni marsz” wykonane przez Fabrykę Spektakli Ulicznych i Teatr Prawdziwy z Wrocławia. *Inspiracją powstania sztuki były tragiczne wydarzenia, mające miejsce na wyspie Bali w 1906 roku, podczas których armia zmasakrowa-*

ła orszak weselny. Pomimo że weselnicy nie byli w stanie stawiać oporu, nie poddali się - ich legendarna odwaga wciąż jednak żyje w świadomości Balijczyków. Elementami spektaklu była charakterystyczna muzyka, mnóstwo ognia i fajerwerków, szcudlarze, kolorowe kostiumy i taniec.



W niedzielę przyszła kolej na Teatr Pokoleń z Siennicy Różanej, który w wirydarzu Muzeum Regionalnego wystawił spektakl „W Baraniej Głowie”. Scenariusz sztuki oparty został na opowiadaniu „Szkice węglem” Henryka Sienkiewicza. Aktorzy, niczym w klasycznym teatrze, zabrali widzów w realia XIX-wiecznej wsi. Mimo zdawałoby się prostego zamysłu, spotkały się tam różne wątki. Sztuka, chociaż przedstawia tragedię uwikłanej w spisek chłopskiej rodziny, przebiega w humorystycznej atmosferze i dostarcza widzom wielu przeżyć.

W chwilę po spektaklu „W Baraniej Głowie” odbyło się monumentalne przedsięwzięcie opracowane i zrealizowane przez Stanisława Kliszczaka pod egidą Stowarzyszenia Inicjatyw Twórczych Lubelszczyzny PULSAR i Krasnostawskiego Domu Kultury. *Mowa jest o widowisku teatralnym „Ekstraktum z żywota imć Stanisława Bojarczuka”,*

które miało swoje dwie odsłony na ulicach i rynku miasta - w piątek o 16.30 i w niedzielę o 17.15. Kto nie był i nie widział, niech naprawdę żałuje, ale nie rozpacza, bo może okazja na powtórkę nadarzy się już wkrótce. Oto na rikszy kierowanej przez St. Kliszczę siedział i grał na akordeonie Leszek Pliszka, a obok przygrywał na bębnie Dariusz Grobelny. Za nimi falował kilkunastometrowy płócienny „Wielki Sonet” podtrzymywany przez młodzież z Zespołu Szkół nr 4.



Drugie, bogatsze wystawienie odbyło się w niedzielę. W postać Stanisława Bojarczuka wcielił się Jacek Dzik, recytując sonety krasnostawskiego mistrza na tle przemarszu „Wielkiego Sonetu”. Wykonawcy przemieszczali po rynku elementy oryginalnej scenografii, do wykonania której posłużyły długie kije leszczynowe i płótno. Z głośników na przemian dźwięczała muzyka i wiersze, a poeta Bojarczuk poruszał się na specjalnej platformie na kółkach. Widowisko zakończyło się w chwili, gdy Stanisław Bojarczuk opuścił rynek, odjeżdżając znaną w mieście wiekową limuzyną marki Czajka.

Andrzej David Misiura

Kilka pytań na piątkę. Agnieszka Szykuła-Żygawska do Andrzeja Davida Misiury

Tytuł czasopisma - co znaczy i dlaczego jest właśnie taki?

Poszukiwania tytułu trwały kilkanaście tygodni. Zebrało się sporo pomysłów, które zapełniły ze dwie kartki. Dyskutowaliśmy nad wszystkimi, ale ostatecznie żadna nie przeważyła. Zdawaliśmy sobie sprawę, że nazwa powinna być wszechstronna, o dobrym brzmieniu i łatwa do zapamiętania. Niezadługo, odbywając zagraniczną pielgrzymkę utwierdziłem się w przekonaniu, że to właśnie „Nestor” będzie najwłaściwszym tytułem. Dobrze zapadł w ucho, a oprócz tego takim imieniem można było nazwać statuetkę, która byłaby np. formą dorocznej nagrody itd. Dlaczego jednak „Nestor”? - w początkach było to najczęściej stawiane pytanie. Czasem nawet mnie to irytowało, bo w podtekście czułem aluzję do starości. Próbowałem przełamać stereotyp i tłumaczyłem wokół, że mitologiczny **Nestor** to nie tylko człowiek w podeszłym wieku, ale przede wszystkim mądry, inteligentny i doświadczony dowódca skoro z powodzeniem przeżył tyle burzliwych przygód. Któż więc nie chciałby mieć takiego mentora? **Nestor notabilis** - *kea* to z kolei okazały ptak z rzędu papugowatych. To on artystycznemu pismu może użyczyć niebiańskich atrybutów w postaci skrzydeł. Literacko-historyczny i jak najbardziej pozytywny wzorzec niesie także święty **Nestor Kronikarz** - mnich pieczerskiego monasteru (ponoć z polskimi korzeniami), autor najstarszego ruskiego latopisu, w którym zapisała się historia sąsiadującej Polski. Mając więc aż trzech znakomitych i adekwatnych patronów, odpowiadających najważniejszym działom i celom łatwo uzasadnić dlaczego czasopismo nosi ich wspólne imię - „Nestor”, które dzisiaj zaczyna nabierać zupełnie nowego wymiaru.

Od kiedy czasopismo jest wydawane i z jaką częstotliwością?

Czasopismo Artystyczne „Nestor”, jak większość periodyków społeczno-kulturalnych i artystycznych jest kwartalnikiem. Ukazuje się re-

gularnie od połowy 2007 roku i jak do tej pory uniknęło opóźnień i konieczności łączenia dwóch lub więcej numerów w jednym wydaniu. Jeżeli więc mówimy, że drukarnię opuścił dzisiaj dwudziesty numer „Nestora”, to wiadomo, że na archiwalnej półce znajduje się także dwadzieścia kolejnych egzemplarzy.

Jaki jest cel czasopisma?

„Nestor” przyjął sobie za cel dokumentowanie zjawisk artystycznych, opiekę i promowanie talentów oraz odkrywanie rodzimej historii. Zajmuje się także odnajdywaniem wszelkich związków Krasnostawszczyzny z wybitnymi ludźmi i miejscami. Nie stroni od ciekawych tematów sięgających odległych dziejów i zakątków świata. Szczególnie upodobał sobie profil literacki, ale w każdym zakresie stara się trzymać dobry poziom. Nie obniżają go nawet często publikowane próbki niewprawnej jeszcze twórczości dzieci i młodzieży. Nie obawiamy się też zamieszczać tekstów debiutanckich, a tych jest u nas sporo.

Jaki jest format czasopisma, nakład, liczba stron, gdzie jest dostępne i ile kosztuje jeden egzemplarz?

„Nestor” od początku nie zmienił swojej szaty graficznej i na pierwszych stronach prezentuje zawsze „Zabytek z okładki”, a na ostatnich - artystę plastyka i jego dzieła w „Galerii jednego obrazu”. Dużo satysfakcji mamy z poręcznego formatu B5, który pozwala nam zdecydowanie odróżnić się od innych wydawnictw. Objętość jego oscyluje pomiędzy 90 a 100 stron, przy nakładzie 1000 egzemplarzy. Bieżących numerów „Nestora” nikt nie sprzedaje. Można je otrzymać bezpłatnie pod adresem redakcji lub w krasnostawskich bibliotekach, a także podczas promocji i różnych imprez literackich.

Czy pismo działa przy jakimś stowarzyszeniu, może instytucji?

Aby oszczędzić niepotrzebnych kosztów, przyłączyłem „Nestora” do swojej działalności gospodarczej. Zmieszczył się on w tych samych składkach ZUS, podatkach od nieruchomości i innych opłatach. To było najprostsze. Nie mieliśmy cza-

su namawiać piętnastu osób do zarejestrowania stowarzyszenia, aby z kolei mogło ono wydawać pismo. Poza tym stowarzyszenie pociąga za sobą pewne obowiązki i wydatki wynikające chociażby z zatrudnienia księgowej itp., bo prawdopodobnie nie miałyby ona ochoty pracować za darmo, tak jak my. Na wszystko więc potrzeba pieniędzy, których i tak jest za mało do opłacania podstawowych usług drukarskich. Obecnie chyba łatwiej byłoby przyjąć dodatkowe obowiązki związane z prowadzeniem formalnego stowarzyszenia, ponieważ „Nestor” skupił już w bliskiej współpracy wielu autorów i sympatyków. Można więc jeszcze sięgnąć po fundusze unijne, zająć się rozliczaniem projektów itd., tylko ile czasu pozostałoby wówczas na redagowanie „Nestora”? A przypomnijmy, że każdy z nas ma jeszcze swoje obowiązki domowe i pracę zawodową.

Odczuwaliśmy tak silną potrzebę obecności tego czasopisma, że bez najmniejszych wątpliwości, płaciliśmy z własnej kieszeni za całe pierwsze wydania i często dopłacaliśmy do następnych. Na szczęście, naszą ideę ciągle wspierają właściciele drukarni, bracia Roman i Marian Furmankowie, świadcząc swoje usługi po naprawdę promocyjnych cenach. A „Nestor” - jak wiadomo - od początku rozdawany jest za darmo. Od 3 numeru każde wydanie skromnie dofinansowuje Starostwo Powiatowe w Krasnymstawie kwotą 500 zł. opłacając jedną z faktur bezpośrednio w drukarni. Paradoksalnie natomiast władze miasta Krasnegostawu, któremu „Nestor” przynosi najwięcej reklamy nie mogą udzielić podobnej pomocy - ponoć przepisy nie pozwalają, bo pełnię tam (redaktor naczelny i formalny właściciel) mandat radnego! O pozostałe pieniądze muszę żebrać w różnych instytucjach, przedsiębiorstwach czy gminnych samorządach. Znajdują się tam jeszcze mądrzy i dobrzy ludzie, którzy doceniają nasze działania. Jak długo? Nie wiem. W każdym razie zjawisko „Nestora” zaczynam postrzegać już w kategoriach cudu, ponieważ od pięciu lat ukazuje się bez własnego budżetu, zużywając najwyżej 10 tysięcy złotych rocznie. Na utrzymanie podobnego pisma potrzeba około 60 tysięcy. Z tego wynika, że „Nestor” (bez przesady) każdego roku oddaje swojemu środowisku prezent wart co najmniej 50 tysięcy złotych!

Chcesz powiedzieć, że prezent w postaci Czasopisma Artystycznego „Nestor” po tych pięciu latach wart jest aż ćwierć miliona złotych?

Nawet więcej! W normalnej sytuacji do prowadzenia pisma potrzeba co najmniej 1,5 etatu. Przy minimalnych płacach, po odprowadzeniu składek i podatków, daje to dokładnie 38 301,12 zł rocznie. Przeciętny koszt (po negocjacjach) druku z montażem elektronicznym to wartość 4 500 zł x 4 wydania = 18 000 zł. Po odliczeniu tych kosztów z rocznego budżetu o przykładowej wysokości 60 000 złotych zostaje około 300 złotych na każdy miesiąc. Tej sumy może i starczyłoby na tusz, koperty, znaczki, energię elektryczną, telefon, Internet i trochę paliwa. Ale już na pewno zabrakłoby na zakup komputera lub wypłatę wierszówek dla autorów. Zakładamy oczywiście, że lokal byłby bezczynszowy, jak dla innych redakcji.

Masz żal, że lokalne władze nie doceniają należycie skarbu, jakim jest „Nestor”?

E tam, od razu żal. Sądzę po prostu, że nie wiedzą jak się do tego zabrać. Łatwiej przecież samorządom finansować działalność statutową taką jak sport, oświata itp. niż wychodzić przed szereg i robić więcej od innych - do tego przecież nie zmusza prawo ani przepisy. Po co więc dodatkowe zobowiązania? A nóż widelec jakaś kontrola jeszcze coś zausterkuje... Co innego, gdybyśmy byli tubą propagandową, jak lokalne tygodniki. One dostają pieniądze za dobrą prasę, ale my w taki sposób nikogo nie szantażujemy - nie miesza się do polityki.

Usprawiedliwiasz ich, czy kpisz?

W żadnym wypadku, ani jedno, ani drugie. Szkoda mi tylko, że ta przygoda może się nagle skończyć z żalostnego powodu - braku pieniędzy. Bezcenne jest przecież zaangażowanie blisko stu osób, które z potrzeby serca służą „Nestorowi” wiedzą i zdolnościami. Trudno nie wspomnieć o tysiącu czytelników. Z drugiej strony obawiam się, że zależność finansowa mogłaby kusić sponsora do zamieszczania w „Nestorze” własnego serwisu. Pożegnaliśmy się wówczas z dobrym

poziomem. „Nestor” skończyłby jak zwykła gazeta lub informator.

Jakie są najważniejsze działy w tym czasopiśmie i co one zawierają?

„Nestor” nie wyznacza konkretnych działów. Pod tym względem stara się być elastyczny. Weszło już do kanonu, że numer zwykle rozpoczynają artykuły historyczne lub wspomnieniowe, nierzadko dotyczące literatury, sztuki sakralnej lub innych dziedzin. Później pojawiają się np. próbki literackie w postaci prozy i recenzje anonosujące nowe książki, filmy lub widowiska. Jest też miejsce na materiały o najważniejszych artystycznych wydarzeniach w regionie i kraju. Końcówka „Nestora” to tematyka kulturowa, krajoznawcza, artystyczna, a nawet popularnonaukowa. Są wśród nich reportaże, impresje, eseje i felietony. Wszystko przeplecione wierszami. Za każdym razem staram się tak ułożyć kolejność artykułów, aby sąsiadujące tematy mogły ze sobą korespondować. Po takim zabiegu zacierają się potencjalne granice działów.

Upredziłeś moje pytanie o dział, który się szczególnie wyróżnia lub trzyma wysoki poziom. Powiedz jeszcze kim są czytelnicy czasopisma i jaki jest jego zasięg?

Bardziej rozpoznawalny podział zarysowują sami czytelnicy. Jest spora grupa, która uwielbia artykuły historyczno-wspomnieniowe i to one otrzymują od nich bardzo wysokie oceny. Za to w opinii literatów i plastyków część artystyczna poziomem dorównuje pismom ogólnopolskim, więc i zainteresowanie środowisk twórczych jest także proporcjonalnie duże. Taka kompozycja pisma wydaje się jak najbardziej trafiona, bo dzięki pozorne-mu przemieszczeniu formy i tematu, niektóre artykuły mają szansę zdobyć nowych czytelników. Mimo, że są nimi w równej mierze uczniowie, studenci, nauczyciele i emeryci. Obok samych artystów, sięgają po nie także zwyczajni ludzie bez takich zainteresowań. Mieszkają w różnych częściach Polski, a nawet świata. Jeśli nie dociera do nich jeden z tysiąca papierowych egzemplarzy, czytają je w wersji elektronicznej, albowiem każde wydanie dostępne jest w całości na stronie www.nestor-krasnystaw.eu

Kto zasiada w redakcji i cóż są to za ludzie?

Kto wie, czy to nie dzięki temu, że „Nestor” jest pod każdym względem gratisowy, udało się skupić tak wielu życzliwych ludzi. Większość z nich traktuje współpracę bardzo poważnie i stosuje się do zasad etyki dziennikarskiej. Wyjątkowo rzadko podrzucane są materiały publikowane wcześniej w innych pismach. Czasem je jednak drukujemy. Pierwszy rok zweryfikował pierwotny skład redakcji. Nie na wszystkich można było liczyć. Rozluźniła się z różnych przyczyn współpraca z błyskotliwą Alicją Wiech, zawsze dobrze przygotowanym Dariuszem Włodarczykiem i zdolnym informatykiem Cezarym Szymańskim. Mariusz Kargul zaczął działać na własną rękę, ale pozostał jeszcze w innej części redakcyjnej stopki. Zespół zasilili nie mniej świetni autorzy, których nie powstydziałaby się zawodowa redakcja. Stale współpracują z nami: Zbigniew Atras, Artur Borzęcki, dr Leszek Janeczek, Mariusz Kargul (wszyscy z Krasnegostawu), Henryk Radej (Chełm), dr Kazimierz Stolecki (Puławy), Elżbieta Szadura-Urbańska (Warszawa) i dr Agnieszka Szykuła-Żygawska (Zamość). Widzę jak się uśmiechasz na dźwięk swojego imienia, ale chcę abyś wiedziała, że współpraca z Tobą otwiera nam więcej niż tylko okno na bliską naszemu sercu Zamojszczyznę.

Aaaaaa...ach, i co dalej?

Do listy współpracowników pretenduje jeszcze co najmniej dwukrotnie więcej osób, ale to delikatny temat. Natomiast w ścisłej redakcji są tylko cztery osoby. To ludzie od konkretnej roboty. **Tadeusz Andrzej Kiciński**, zastępca redaktora naczelnego, ma za zadanie przygotowanie materiałów na okładkę i jej projektowanie. Podejmuje też ostateczne decyzje w zakresie rozwiązań graficznych i czuwa nad przygotowaniem wystaw i spotkań promocyjnych. Następna postać to doktor **Wiesław Krajewski**. Dużo czasu musiało upłynąć, nim zdecydował się formalnie sprawować obowiązki redakcyjnego sekretarza, chociaż praktycznie pełnił je niemalże od początku. To pod jego okiem odbywa się korekta i adiustacja artykułów. Nie jest to łatwe i wdzięczne zajęcie, wzbudzało nieraz polemiki, a nawet konflikty z autorami. Wreszcie redaktor na-

czelny - nieskromnie przypomnę - **Andrzej David Misiura**. Co prawda, najtrudniej mówić o sobie, ale to od naczelnego wszystko się zaczyna i na nim kończy. Gromadzi materiały i dokonuje ich selekcji, ustala profil numeru i kolejność artykułów. Zajmuje się także wstępną adiustacją, poszukiwaniem sponsorów, kontaktami z autorami, czytelnikami, drukarnią itd. Wiele decyzji konsultuję w gronie ścisłej redakcji, a w ważkich sprawach literackich zdaję się także na doświadczenie Henryka Radeja. Czwartą, ważną funkcję redaktora technicznego pełni **Paweł Piłat**. W historii „Nestora” jest on też czwartą osobą, która zajmuje się łamaniem kolumn i montażem elektronicznym. Wcześniej robili to: Cezary Szymański, Saturnin Naliwajko i Henryk Wróbel.

Na początku naszej rozmowy wspomniałeś o statuetce Nestora, co z nią?

Co do statuetki, pomysł nie przekonał nas ostatecznie. Wobec Oskarów, Fryderyków, Wiktorów, kto wie czy Nestor nie zabrzmiałby extra, ale za to bardzo podobnie. Przyszło mi do głowy, aby rozbudzić i pomnożyć działania promujące ziemię krasnostawską. Najbardziej twórcze i wartościowe poczynania postanowiliśmy więc od 2008 roku wyróżniać nie statuetką, a bardziej oryginalnym Orderem Nestorii. W ten sposób uhonorowaliśmy już cztery osoby: Józefa Ziębę, Kazimierza Stoleckiego, Jana Henryka Cichosza i Leszka Janeczka. Nie wykluczam jednak, że statuetka może jeszcze kiedyś zaistnieć.

Jakie macie plany na przyszłość?

Pomysłów jest multum! Wspaniałe wizje pojawiają się jak w czarodziejskim filmie, ale ciągle brakuje czasu, odpowiedniego lokalu i pieniędzy, których mnóstwo trafia akurat nie tam, gdzie powinno. Udajemy, że nas to nie wzrusza i ostatnio nawet ogłosiliśmy, a za nami zrobiła to Rada Miasta Krasnostaw (!) rok **2012 Herbarzowym Rokiem Kaspra Niesieckiego** w 330-lecie urodzin naszego wielkiego heralda. Świętujemy więc oprócz piątej rocznicy Czasopisma Artystycznego „Nestor” i Rok Niesieckiego, do czego też gorąco zachęcamy.

Zbigniew Masternak



Mój prawdziwy ojciec

Na biurku w pokoju matki zawsze stało jego zdjęcie. Nie chciała nigdy powiedzieć, kto to jest. Myślałem, że to jakiś wujek albo inny krewny. Kiedy pytałem, o co z tym zdjęciem chodzi, machała zniecierpliwioną ręką i powtarzała: „Kiedyś zrozumiesz”. Mój ojciec patrzył na tę fotografię z nienawiścią - w końcu zaczął pić. Kłócili się o to często. Ale matka nie zgodziła się zdjąć fotki ze swego biurka.

Kiedy tylko zacząłem dobrze chodzić, matka wypędzała mnie na boisko, żebym grał w piłkę. Wolałem czytać książki, ale ona się uparła. „Graj w nogę, no czemu siedzisz w domu? Na boisko, ale to już!” Więc grałem. Moje pierwsze treningi odbywały się na błotnistym boisku za naszą starą stodołą. Schodzili się inni mali gracze z sąsiedztwa i graliśmy całymi popołudniami. Z czasem już nie trzeba mnie było na boisko ciągnąć, sam szedłem. Tylko ojciec się wściekał, gdy widział mnie z piłką przy nodze. Gonił mnie wtedy do roboty w polu albo w orborze.

Wiele żonglowaliśmy, urządzaliśmy slalom z piłką między pacholkami, ćwiczyliśmy przyjęcie piłki nogami, kłatką piersiową i głową. Od początku najbardziej imponował mi Diego Maradona. Potrafił strzelić gola z niczego. Niestety, nie przypominałem go stylem gry. Nie byłem nazbyt szybki, nie miałem bajecznego dryblingu ani atomowego uderzenia. Zwykle kręciłem się gdzieś w okolicy pola karnego i czyhałem na okazję do zdobycia bramki. Zazwyczaj coś wpadało. Moje bramki to były zwykle „szmaty”. Niektórzy twierdzili, że nie powinno się ich w ogóle uznawać. Bo co to za gol, jak piłka ledwie co wtoczy się za linię bramkową? Matkę szczególnie cieszyło moje upodobanie do gry podczas deszczu. Jak tylko była brzydka pogoda, sędzia zastanawiał się, czy dopuścić do meczu, wtedy wiedziałem, że będę groźny dla obrony i bramkarza przeciwników.

Z boiska za stodołą trafiłem do ligi regionalnej, a stamtąd, pod koniec liceum - do Korony Kielce, która gra obecnie w ekstraklasie i walczy o mistrzostwo Polski. To już było prawdziwe granie. Niestety, w wieku 19 lat doznałem poważnej kontu-

zji lewego kolana, która sprawiała, że odechciało mi się profesjonalnego futbolu. Zwłaszcza, że klub nie chciał sfinansować mojego leczenia. Próbowałem wrócić na boisko parokrotnie, ale nigdy nie dałem sobie prawdziwej szansy.

Do gry wróciłem w wieku 30 lat. Pracowałem nad scenariuszem filmu „Transfer” - o korupcji w polskim futbolu i zacząłem grać, żeby sobie przypomnieć zapach szatni. To był klub z lubelskiej klasy A - KS Drzewce, spod Nałęczowa. Początkowo kiepsko mi szło, bo przerwa była zbyt długa. Ale wiosną 2009 miałem udaną i za 5 piłek marki UMBRO trafiłem do klubu MKS Puławiak Puławy. W okresie przygotowawczym zrobiłem błyskawiczne postępy - w meczu z KS Zaborze, wygranym 12:5, zdobyłem 5 goli! Niestety, moja rosnąca dyspozycja strzelecka wzbudziła zazdrość kolegów z drużyny. Przed pierwszym meczem w oficjalnym sezonie poszarpałem się z jednym z nich. Ptaku myślał, że jak pisarz, to w mordę nie da. Miał po czterdzieście, a ciągle nie mógł dorosnąć. Żona prowadzi kwiaciarnię, interes idzie dobrze, bo żona ma talent do układania wiązanek i bukietów. Dzięki temu Ptaku może grać w piłkę, pić piwo z kolegami. Kiedy przyszedłem do klubu, trafił go szlag. Chciał mnie ośmieszyć, sprowadzić do zera. On zaczął, ja skończyłem. Powiedziałem w szatni: „Jeszcze raz coś do mnie powiesz, skomentujesz, kopnę cię w łeb, aż się potoczy po boisku”. Zdębiał. Trener Bojek posadził mnie na ławce rezerwowych. Wszedłem na ostatni kwadrans. I od razu zdobyłem gola na 3:1, potwierdzając nasze zwycięstwo. Pokazałem Ptakowi międzynarodowy znak przyjaźni. Kiedy z drużyny wołali na mnie „Redaktor”, bo innych piszących nie znają. Podczas meczu nie było dla mnie taryfy ulgowej - krzyczeli: „Zap...dalaj, Redaktor!”. Jeszcze gorzej traktowali mnie kibice - gdy coś zawałem, robiło się wulgarnie. Ktoś może zapytać, po co mi ta piłka? Użeranie się z Kropą (układacz asfaltu) czy Gzymsem (budowlanka)? Otóż, jak zostanę zbluzgany przez kibiców lub kolegów, to czuję jak bym wrócił tam, gdzie kiedyś zaczynałem. I mało brakło, gdzie mogłem skończyć. Ostatecznie we wszystkich 29 meczach, w jakich wystąpiłem, zdobyłem 21 goli i pomogłem w awansie drużyny do wyższej ligi.

Niespodziewanie, w czerwcu 2011 roku z Puławiaka trafiłem do BKS Roztocze Krasno-

bród. Miałem spotkanie autorskie w tamtejszym domu kultury i dowiedziałem się przypadkiem, że powstaje klub piłki błotnej. Okazało się, że to dość popularny sport, głównie w Skandynawii, ale też w Brazylii i Chinach. Byłem ciekaw, jak się w to gra. Jak zachowuje się piłka podczas gry, czy pomagają umiejętności z normalnej nawierzchni.

Gramy pierwszy mecz, z Arsenalem Lublin, i co? Nie mogłem się odnaleźć, tak jak chciałem - nogi grzęzły w błocie, nie dało się właściwie ustawić stopy, wyjść w tempo na pozycję. Parę okazji, które na zwykłej murawie wykorzystałbym z zamkniętymi oczami, tutaj zmarnowałem. Byłem kompletnie zagubiony. Wszędzie błoto i woda. Z czym mi się to kojarzyło? I wtedy nagle przypomniał mi się mecz Niemcy-Polska z 1974 roku. Mecz na wodzie! Wszystko zaczęło się od potężnej ulewy oraz awarii systemu drenów, przez co boisko stało się jedną wielką kałużą. Błotem. Kałuże wody uniemożliwiały Polakom szybką grę, która była do tej pory ich najmocniejszą stroną. Atakowaliśmy, a Niemców przed stratą bramki ratował jedynie Sepp Maier. Jednak to Biało-Czerwoni przegrali, a jedyne goła niespełna kwadrans przed końcem zdobył Gerd Mueller. Potwór błotny.

I nagle wszystko stało się dla mnie jasne! Ta fotografia na biurku mojej matki przedstawiała Gerda Muellera! Matka, jako młoda dziewczyna wyjeżdżała do pracy w Niemczech. Niedługo po jednym z takich powrotów wyszła za mojego ojca i się urodziłem. Tak, w tym przeblysku wszystko stało się dla mnie jasne! To Gerd Mueller jest moim ojcem! Mistrz w graniu na wodzie, na błocie! Jestem jego nieodrodnym synem! Więc to jest ta rodzinna tajemnica, która doprowadziła mojego ojca do pijaństwa. To dlatego matka kazała mi grać w piłkę, a ojciec - zabrania! Gerd Mueller, podobny do mnie wzrostem i sylwetką, i stylem gry. Mój prawdziwy niemiecki ojciec, mistrz gry na błocie.

Nagle lepiej zacząłem uderzać z przewrotki, ustawiać się do piłek wyrzucanych przez bramkarza, dogrywanych przez kolegów. I zdobywałem gola za golem. Zostałem najlepszym strzelcem drużyny, niedługo później wywalczyłem z Roztoczem mistrzostwo Polski i koronę Króla Strzelców. A fotografia Gerda Muellera stoi teraz na moim biurku.

Zbigniew Masternak

Paweł Kuszczczyński

Pożegnanie

Pociąg
jako zmysł najpewniejszy
oddaleniem znaczony

Dłonie zatrzymały jego pamięć
w przestrzeni

Nie chcę gasić spojrzenia
ręce próbują przyjąć z pomocą
zniknęła nużąca równoległość szyny

Na peronie pozostał chłód

Przygląda mi się
godzina wieczorna
bezwiednie przechodząca
w noc

Odwracam się do ściany
pełnej wspomnień
i obrazów

Nie kończę czekania...

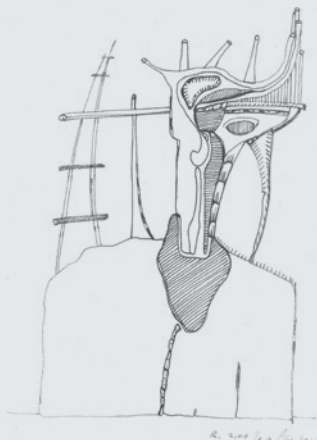
Już cię nie wołam
sama przychodzisz przed snem
i grasz z pacierzem

Zapamiętałem z tobą
kiedy o zachwyt
byliśmy więksi

Małeńki krzyżyk na nocnym
stoliku
błyszczący nie tylko srebrem

Upewnia się od początku
że nie ja jedynie cierpię

Paweł Kuschczyński - poeta i krytyk literacki, urodził się 7 czerwca 1939 roku. Liceum pedagogiczne ukończył w Kaliszu (1957 r.), studium nauczycielskie w Poznaniu (1959 r.). Początkowo był nauczycielem. Potem studiował na Akademii Ekonomicznej w Poznaniu, którą ukończył w 1970 roku. Ponad 40 lat pracował jako ekonomista, mając za hobby muzykę klasyczną, malarstwo i podróże. Autor tomików: „Powroty” (1991), „Róża spadająca kwiatem” (1993), „Nagłość chwili” (1994), „Łąki wyobraźni” (1994), „Widzieć choćby na chwilę” (1996), „Być w słowie” (1998), „Ciągłe żywe okno” (2001), „W zwierciadle źrenic” (2006) „Oswajanie czasu”, „Niedosyt istnienia” (wiersze wybrane z lat 1962-2007) oraz „Spotkanie pragnień” (2009). Wiersze publikował w antologiach, almanachach i prasie. Współorganizator Wtorków Literackich i redaktor wydawnictw Nauczycielskiego Koła Literackiego w Poznaniu. Współorganizator i juror ogólnopolskiego konkursu „Zanim pochłonie nas ekran”. W latach 2004-2007 wiceprezes Ekologicznego Stowarzyszenia Środowisk Twórczych EKO-ART. Laureat Poznańskiej Jesieni Poetyckiej w roku 1962 oraz Międzynarodowego Listopada Poetyckiego w roku 1987 i w roku 2009 za książkę poetycką „Spotkanie pragnień”. W 2011 roku otrzymał medal Zasłużony Kulturze - Gloria Artis nadany przez ministra kultury i dziedzictwa narodowego. Od 27 stycznia 2011 roku jest prezesem Zarządu Związku Literatów Polskich Oddział w Poznaniu, w poprzedniej kadencji (2006-2010) - wiceprezes.



rys. R. Znajomski

Zbigniew Cimek



Zwykła lubelska wieś. Niedzielne popołudnie. Jako mały chłopak przysłuchuję się rozmowie dorosłych mężczyzn o polityce, w której pada opis okrucieństwa, jakie dokonało się w Oświęcimiu. Rozmowa kończy się retorycznym pytaniem: gdzie był wtedy Bóg?

*

- *Mogę zniszczyć Twój Kościół.*
- *Potrafisz? Więc próbuj.*
- *Ale do tego potrzeba mi więcej czasu i władzy.*
- *Ile czasu i władzy potrzebujesz?*
- *Od 75 do 100 lat i większą władzę nad tymi, którzy mi służą.*
- *Będziesz miał ten czas i władzę. Które stulecie wybierasz?*
- *To nadchodzące. (XX w.)*

Oczywiście jest to znany dialog pomiędzy szatanem i Jezusem, jaki usłyszał w mistycznym przeżyciu papież Leon XIII, 13 października 1884 roku, po mszy świętej. Wiek XX rozpoczyna się rzezią Ormian. Dwie wojny światowe, komunizm, faszyzm, głód, czystki etniczne, prześladowania - wszystko to zbiera straszliwe żniwo. Jeszcze w 1995 roku dokonuje się niemal na naszych oczach masakra w Srebrenicy. Tak wielkie okrucieństwo każe politykom, filozofom, artystom i wszystkim nieobojętnym na ludzki los postawić zasadnicze pytanie - jak to możliwe?

*

Wspomniałem o lubelskiej wsi. W moim przypadku odpowiedź była bliżej niż myślałem. Gdy interesujemy się matematyką, prędzej czy później dowiadujemy się, że logikę stworzył Arystoteles, a Kartezjusz był nie tylko wielkim matematykiem, ale chyba jeszcze większym filozofem. Tak oto, dość przypadkowo trafiłem na Lubelską Szkołę Filozofii (LSF). Polska w naszej świadomości raczej nie kojarzy się z krajem o znaczących dokonaniach

w tej dziedzinie. Z tym większym zaciekawieniem sięgnąłem do prac prof. Krąpca, dominikanina związanego z KUL, z którego za życia emanowała swoista skromność, a który był filarem LSF. Szybko zorientowałem się, że jego dzieła dają możliwość obcowania z wielkim umysłem, który rozszerza horyzonty, rozwija wyobraźnię, ale - co może najważniejsze - dodaje odwagi do samodzielnego myślenia w szerszym wymiarze.

LSF stworzyła system filozoficzny, czerpiąc z filozofii klasycznej, mający być odpowiedzią na materializm marksistowski (PRL, lata 50.). Filozofowie tej szkoły nie bali się zmierzyć z najważniejszymi pojęciami i problemami filozofii, a trzeba zaznaczyć, że jednym z nich był Karol Wojtyła, który później jako papież, np. w encyklice *Fides et Ratio* dał wyraz poglądom właśnie Lubelskiej Szkoły Filozofii.

Jan Paweł II mówi nam (encyklika *Centesimus Annus*):

...podstawowy błąd socjalizmu ma charakter antropologiczny. Rozpatruje on bowiem pojędynczego człowieka jako zwykły element i część organizmu społecznego, tak że dobro jednostki zostaje całkowicie podporządkowane działaniu mechanizmu ekonomiczno-społecznego; z drugiej strony utrzymuje on, że dobro jednostki można urzeczywistnić nie uwzględniając jej samodzielnego wyboru i niezależnie od przyjęcia przez nią w sposób indywidualny i wyłączny odpowiedzialności za dobro czy zło.

Krapiec wyjaśnia, iż dobro ma zawsze konkretny wymiar, i największe zbrodnie popełnia się właśnie ze złego odczytania rzeczywistości i abstrakcyjnie rozumianego dobra.

Niezwykle cenne i praktyczne z punktu widzenia zwykłego obywatela wydają się być prace Krąpca poświęcone kwestii istoty polityki, które - mówiąc najkrócej - są przeciwstawieniem się koncepcji makiawelizmu, przedstawiającej politykę jako dziedzinę niepodlegającą ocenom moralnym, dla której celem samym w sobie jest zdobycie i utrzymanie władzy, a władca nie powinien być zakładnikiem własnych słów. Co chyba dla nas wszystkich brzmi znajomo.

Komunizm i faszyzm narodziły się w głowach filozofów. LSF uświadamia nam, iż stawianie jakiegokolwiek ideologii (która jest tworem abstrak-

cyjnym) ponad dobro realnie istniejącego człowieka, kończy się zawsze źle - dla nas, ludzi.

Krapiec podkreśla konieczność poznania prawdy, bo tylko dzięki niej możemy wybierać właściwe cele. Choć jedynym nieantagonistycznym celem, jaki wymienia w odniesieniu do polityki jest osobowy rozwój człowieka. Nie są to tylko czcze słowa. Wielu ludzi realizuje swój rozwój osobowy poprzez przedsiębiorczość. A jest ona przecież fundamentem zdrowej gospodarki. Wydaje się to być więc wskazówką jednego z ważniejszych filarów, na jakim powinno opierać się państwo spełniające oczekiwania jego obywateli. Krapiec, z filozoficznego punktu widzenia, całkiem jasno przedstawił istotę i cel sprawowania władzy, co może wiele wyjaśniać, zarówno wyborcom skłonny w nieskończoność wieszać psy na politykach, jak i politykom, mającym przeświadczenie, że rządzą... motłochem.

Mnie najbardziej zaciekawiło z pozoru proste, a zarazem głębokie zdanie Krąpca, które można odnieść również do bycia artystą, a mianowicie, że „człowiek jest sobą wtedy, gdy używa rozumu”.

I na koniec. Wszyscy w jakimś sensie jesteśmy pokoleniem Jana Pawła II. Zapalanie zniczy i niemające końca powielanie jego wizerunku... - to za mało i - być może - w ogóle nie o to chodzi. Wielu z nas ma pokusę krytykować siemienię polski katolicyzm, który stroni od czytania Biblii, jednak czy my sami, uważając się za ludzi wykształconych, nie powinniśmy raczej prawdziwie wsłuchać się w to, co mówią do nas jedni z najwybitniejszych Polaków, twórcy Lubelskiej Szkoły Filozofii? I zrobić z tej wiedzy użytek w naszym realnym życiu, co tak naprawdę opłaciłoby się nam wszystkim.

Zbigniew Cimek



Wiesław Krajewski



Chrześcijańskie niebo

Gdy Grek spojrzał na niebo wyiskrzono gwiazdami, jeśli nie był uczonym, nie myślał o astronomii, lecz widział wiele rzeczy dziwnych: historie bogów i bohaterów, wyhaftowane tymi migotliwymi światłkami, które Noc, milcząca bogini, wysypuje z zanadru swjej czarnej szaty. Gwiazdy bowiem były pochodzenia boskiego. Przysięgano na nie i wzywano je na świadectwo w ważnych sporach. Każda gwiazda była niegdyś bożkiem lub boginką - śliczne potomstwo jednego z tytanów, Astrajosa. Lecz zbuntowawszy się przeciw Dzeusowi, uległy te bóstwa przeraźliwej mocy jego piorunów i zdruzgotane rozsypały się po firmamencie pyłem świetlistym. Liczba gwiazd wzrastała, gdyż wola bogów umieszczała w ich gronie rozmaitych bohaterów, nimfy, a nawet przedmioty martwe.

Tak pisał Jan Parandowski w swojej *Mitologii*. Jeśli spojrzymy na niebo, posłużymy się przy tym odpowiednią mapą, zauważymy na pewno szereg postaci „żywce” wziętych z greckich mitów. Poszczególne gwiazdozbiory to bohaterowie barwnych opowieści o bogach, herosach, nimfach, potworach. Znajdziemy wśród nich myśliwego Oriona, Perseusza - pogromcę Meduzy, Andromedę - córkę etiopskiego króla Cefeusza i jego małżonki Kasjopei, mocarnego Herkulesa (rzymski odpowiednik Heraklesa), córki Atlasa - Plejady i cały zwierzyniec mniej lub bardziej realnych istot: Pegaza, Wielką i Małą Niedźwiedzicę, Smoka, Lwa, Skorpiona, Byka, Zająca, Węża, Centaura, Jednorożca. Bogowie greccy (i rzymscy) mieli ważniejszą pozycję, patronowali Słońcu - Helios (Sol), Księżycowi - Selene (Luna) i wędrującym wśród gwiazd planetom. Chociaż używane dziś przez nas nazwy planet pochodzą z mitologii rzymskiej, warto dodać, że w języku greckim nadal funkcjonują określenia wzięte z tamtejszej mitologii: Hermes (Merkury), Afrodyta (Wenus), Ares (Mars), Zeus (Jowisz), Kronos (Saturn) itd. Postaci związanych z mitologicznymi historiami można by wymieniać o wiele więcej, ale nie to jest moim celem.



Antyczne wizerunki gwiazdozbiorów nieba północnego

Zastanówmy się przez chwilę. Niemal całe nasze niebo wypełniają bohaterowie mitologicznych podań, z czasów, kiedy ludzie myśleli, że bogowie mieszkają na górze Olimp, kłócą się między sobą, walczą, zdradzają, uwodzą, toczą wojny, a przy tym rządzą światem, kierują ludzkimi losami, wpływają na ziemskie wydarzenia, opiekują się niemal wszystkimi przejawami aktywności człowieka. Wznoszono im świątynie, czczono ich, modlono się do nich, składano dary, ofiary. Cała mitologia stanowiła trzon starożytnej religii greckiej. No właśnie. Ale my przecież nie jesteśmy wyznawcami tej religii. Nie uznajemy istnienia wielu bogów, jesteśmy chrześcijanami. Dlaczego więc mamy tolerować na niebie i w naszym codziennym życiu elementy obcej nam religii? Czy to nie trąci bałwochwalstwem? Czy to nie jest aby grzechem przeciw pierwszemu przykazaniu? Nazywanie ciał niebieskich imionami obcych bogów jest w pewnym stopniu oddawaniem im czci, przyznaniem im honorowej pozycji, a przynajmniej uznawaniem ich istnienia. Może więc powinniśmy zerwać z tym nieuzasadnionym zwyczajem i stworzyć własną, zgodną z naszą religią terminologię astronomiczną?

Zapewne takim tokiem myślenia rozumował i niewątpliwie tego rodzaju chwalebne intencje miał astronom niemiecki Juliusz Schiller, który w roku 1627 wydał w Augsburgu dzieło *Coelum Stellatum Christianum* (*Chrześcijańskie niebo gwiazdzone*). Zrywało ono z dotychczasowym tradycyjnym po- gańskim nazewnictwem obiektów niebieskich na

rzecz terminów chrześcijańskich. Schiller, niemałym nakładem pracy, stworzył dzieło, w którym nowo wytyczone gwiazdozbiory przyjęły nazwy wzięte z ksiąg Starego i Nowego Testamentu. Znalazły się więc tam postaci aniołów, apostołów, patriarchów, proroków i innych świętych mężów. Miejsce Małej Niedźwiedzicy zajął Święty Michał, Cefeusza zastąpił Święty Stefan, Wolarza - Sylwester, Oriona - Józef, Wielkiego Psa - Dawid. Wśród gwiazd znaleźli się też Trzej Królowie, Maria Magdalena, Święci Joachim i Anna, Abraham, Izaak, Aaron, również Święte Niewiniątka, Hiob, Archanioł Gabriel czy Ewa (z jabłkiem w dłoni, a jakże). Nowymi konstelacjami stały się Żłobek, Łódź Świętego Piotra, Arka Noego, Korona Cierniowa, Baranek Boży, Arka Przymierza, a nawet... Grobowiec Chrystusa. Greckie gwiazdozbiory zodiakalne: Baran, Byk, Bliźnięta itd., zastąpili święci apostołowie, w kolejności: Piotr, Andrzej, Jakub Starszy, Jan, Tomasz, Jakub Młodszy, Filip, Bartłomiej, Mateusz, Szymon, Juda Tadeusz oraz Maciej. Jak można się było spodziewać, zabrakło wśród nich Judasza. Schiller zaproponował również zmiany w nazwach planet. W tamtych czasach wyróżniano siedem planet (zaliczając do nich także Słońce i Księżyc). Najważniejsze z nich, Słońce stało się Jezusem Chrystusem, rzymskiego boga handlu, Merkurego, zastąpił święty prorok Eliasz, boginię miłości - Jan - prekursor Chrystusa, z kolei Księżyc to błogosławiona dziewica Maria, planeta poświęcona bogowi wojny - Mars, nazwana została imieniem wojowniczego wodza Izraelitów, Jozuego, największa planeta, Jowisz, odtąd miała przyjąć imię Mojżesza, wyzwoliciela ludu Izraela i dawcę przykazań, a Saturn - Adama, praojca rodziny ludzkiej. Tak to wszystko wykoncypował sobie Juliusz Schiller. W ten sposób zerwał definitywnie z pogaństwem, a wprowadził na nieboskłon chwałę chrześcijaństwa. Całość była przemyślana we wszystkich szczegółach. Wystarczyło tylko wprowadzić pomysł w życie.

Propozycje Juliusza Schillera z początku XVII wieku, niestety, nie przyjęły się. Niestety? A może dzięki Bogu nie przyjęły się! Wprowadzenie zupełnie nowej terminologii byłoby zabiegiem karkołomnym. Wręcz rewolucyjnym, niosącym za sobą ogólny chaos i dezorientację. Wyobraźmy sobie, co by było, gdybyśmy nagle chcieli zmienić



Strona tytułowa *Coelum Stellatum Christianum* z wizerunkami planet



Gwiazdozbiór Trzej Królowie



Święty Andrzej

dotychczasowe, utarte od wieków nazwy geograficzne gór, rzek, jezior, miast, krain... Nie, to byłoby niewyobrażalne. Schiller, niewątpliwie działał w dobrej wierze, dla podniesienia wiary, wykorzenienia z życia przejawów pogańskich wierzeń, ale jego pomysł nie miał szans na akceptację. Nie przyjął go nikt. No bo jak by to miało wyglądać? Zamiast zrozumiałego i jednoznacznego określenia - Jowisz jest w Byku, Mars przebywa w Bliźniętach, Merkury porusza się w gwiazdozbiornie Wagi, a kometa przemierza Kasjopeję, należałoby mówić: Mojżesz jest w Andrzeju, Jozue przebywa w Jakubie Młodszym, Eliasza porusza się w Filipie, a kometa przemierza Marię Magdalenę. Nie uniknęlibyśmy wtedy dwuznaczności, brzmiałoby to momentami komicznie, a chwilami kontrowersyjnie. Jak na przykład bogobojny chrześcijanin miałby powiedzieć o zaćmieniu Słońca? Zaćmienie Jezusa Chrystusa? A jak powiedzieć o bliskim złączeniu (koniunkcji) Wenus z Księżycem? Złączenie Świętego Jana z Marią?

Dzięki Bogu ta niebieska rewolucja nie nastąpiła. Dziś inaczej przyjmujemy greckie i rzymskie nazwy mitologiczne na niebie. Nikomu to nie szkodzi, ani nie przeszkadza, nie rani niczych uczuć religijnych. Przecież i tak wierzący uznają, że w dniu czwartym: *Bóg rzekł: „Niechaj powstaną ciała niebieskie, świecące na sklepieniu nieba” [...] I stało się tak. Bóg uczynił dwa duże ciała jaśniejące: większe, aby rządziło dniem, i mniejsze, aby rządziło nocą, oraz gwiazdy.* I to wystarczy. Używanie mitologicznego nazewnictwa w astronomii nie jest niczym nagannym. Nie zmienia się nasza wiara, nawet jeśli Mars nadal będzie nazywał się Marsem. Czerpiemy z całej kultury starożytnych Greków i Rzymian, a nie tylko z ich religii. Wyrósłiśmy na tej kulturze, korzystamy z jej dorobku i na jej podstawach opieramy naszą europejską cywilizację. Dobrze, że pozostaliśmy przy Orionie, Perseuszu, Andromedzie, Wielkiej i Małej Niedźwiedzicy...

Wiesław Krajewski

Ilustracje pochodzą z dzieła *Harmonia Macrocosmica*, ze zbiorów Linda Hall Library. Źródło: Internet.

Henryk Radej



Sztuka życia... kulturalnego

Nie wiem, jak to się dzieje, ale co roku mam ten sam dylemat. Z nadejściem wiosny życie cholernie mi przyspiesza - i to w każdej dziedzinie. Jakby w coraz dłuższe dni chciało nadrobić wszelkie zaległości z zimowego letargu. I jestem bezradny wobec tej siły wyższej, która rzuca mną między Chelmem a Zamościem, Turobinem a Lublinem, rzadziej Włodawą. Od jakiegoś czasu przynajmniej wiem, co to jest, mam to zdefiniowane. Nazywa się to - siła kultury. Albo inaczej - moc kultury (nie mylić z „Nocą kultury”!). Pracownicy wszelkich instytucji od tzw. kultury zaczynają ścigać się w pomysłach serwowania ludowi coraz bardziej wymyślnych form uczestnictwa w niej. Chcąc to wszystko ogarnąć, a jednocześnie nie stracić tego, co wartościowe, dostaję kulturalnej zadyszki. Obiecuję sobie, że to już ostatni raz, że za rok nie dam się wkręcić w ten wir. Jednak, gdy spłyną śniegi i zakwitną sady, zaczyna się. Dokonuję ekwilibrystycznych wygibasów, aby pogodzić życie zawodowe z życiem kulturalnym, życie domowe z ogródkiem piwnym, kulturę picia z życiem ogrodowym, dzień z nocą, psa z kotem. I stoję przed ścianą z pytaniem: jak żyć? Wszak płacę podatki i chcę uczciwie skorzystać, skoro mi się należy. Normalny człowiek powie, że tego pogodzić się nie da. A jednak co roku jakoś godzę, dokonuję gorzkich wyborów w myśl zasady: szkoda nocy na sen i nie wiem ile kosztuje benzyna. Za to wiem, jaka jest cena kultury. Kultura jest bezcenna!

Kulturalny obłęd zaczyna się w majowy długie weekend. Na pozór to takie niewinne preludium: pierwsze festyny, pierwsze występy estradowe, trochę patriotycznych akcentów, jakieś kiermasze sztuki, wieczorami trochę jazzu. I poszło! Dostaję zaproszenie na spektakl „Kota w butach” w wykonaniu Teatru Ziemi Chełmskiej - zobaczyć trzeba, by mieć własne zdanie o metamorfozach tej trupy. Idę i bawię się, a jednocześnie oceniam i... doceniam. Nie mijają trzy dni, a moja biblioteka organizuje w tygodniu dwa spotkania autorskie z okazji wydania nowych książek. Autorów znam, trzeba

więc poznać, co piszą i jak. Kolejne podwieczorki spędzam kulturalnie. Wracam do domu, a tam czeka na mnie przesyłka z książkami, dwie płyty z muzyką i jednym filmem, zamówione wcześniej przez internet. „Żeby Polska była sexy i inne szkice” Andrzeja Horubały liczy prawie 400 stron, muzyki na ponad dwie godziny, tyleż samo filmu. Zaczynam od filmu, aby trochę odpocząć. Ale czy oglądając „Nightwatching” Petera Greenawaya można się zrelaksować? Sam tego chciałem. Orzeźwiam się mrożoną kawą i sięgam po sexy tytuł. Padam do łóżka, gdy tuż przed świtem, w pobliskim parku ptaki zaczynają drzeć dzioby. Płyty zostawiam sobie do przesłuchania w aucie w drodze do Włodawy. Pod szyldem majówki kulturalnej mam tam przybliżyć ludowi różne formy języka poetyckiego w sztuce. Na miejscu lud okazuje się być bardzo wybrany, wręcz elitarny. Nie jestem zdziwiony, wszak każdy wybiera taki rodzaj kultury, jaki mu odpowiada. A płyty z muzyką trafione. Etno-folk „Slavik soul” kołysze mnie z powrotem do domu. Zaczyna się pora deszczowa. A trawa w ogrodzie coraz większa, zielska przybywa. Dobrze, że ziemniaki posadzone i grządki warzywne obsiane. Samo się zrobiło, czy jak?

Jednak najważniejsze dopiero przede mną. Zaczynają się dwutygodniowe „Dni Kultury Chrześcijańskiej”. Przyjeżdżają Zanussi, Barciś i Ziemkiewicz - oczywiście, każdy z nich innego dnia. Są ambitne filmy i jakieś wernisaże sztuki. Filmy obejrzę kiedyś, wystawy jeszcze powiszą, wybieram się na spotkania z gośćmi. W następnym tygodniu dominują podróżnicy, maniacy Kapuścińskiego i jeden ksiądz biskup. Starcza mi czasu tylko dla biskupa. Nocami piszę zaległe raporty z pracy. Tu przynajmniej regularnie płacą. Z kultury wyżyć się nie da. Teraz trzeba mieć pieniądze, żeby być kulturalnym. Wbrew temu, co głosi konstytucja RP o równym dostępie do dóbr kultury.

Na szczęście, na „Noc muzeów” potrzebna jedna noc, na „Noc kultury” też tylko jedna. Zasympiam w aucie, tuż po wyłączeniu silnika, ale już pod domem i w cieniu drzew. W głowie kłębią mi się wszystkie polsko-ukraińskie estrady i uliczne prezentacje pomiędzy miasteczkiem uniwersyteckim a placem Zamkowym. Za dużo tego, jak na jedną noc. Ratunek znajdują tylko w wirydarzu dominikanów, a potem w redakcji „Akcentu”. Nad miastem

zgiełk i błysk światła, trochę kulturalnych dymów. Taki niby-kulturalny jazgot.

Na biurku coraz większy stos nieczytanych książek. Chwilami czytam tylko Jęczyka „Dlaczego toniemy, czyli jeszcze nowsze Średniowiecze” i Twardocha „Wieczny Grunwald. Powieść z końca czasów”. A gdzie czas na lekturę „Uważam Rze”, na wiersze Wencła, Cichosza i najnowsze stare Szymborskiej? Póki co, jadę na „Leśmianowską Ulicę Poetycką”. W nowym „Koszu” jest jazz w wykonaniu chełmskiego „Kwadratu Quartetu”, potem gra i gawędzi Jan Ptaszyn Wróblewski, jest Piotr Szewc i czytanie literatury. Dużo znajomych twarzy, więc odświeżamy znajomości przy muzyce i piwie. I znów nocy mało. Nad ranem od razu jadę na wieś i chwytam za kosiarkę. Dopadła mnie wreszcie proza życia.

W kolejce do kulturalnej konsumpcji - jak co roku - czeka Zamojskie Lato Teatralne. Na inauguracyjny spektakl „Salto Mortale” Teatru Strefa Ciszy z Poznania nie dojeżdżam, ale widziałem ich rok temu. Należała im się Buława Hetmańska, więc mają. Ich widowiska robią wrażenie. Czekam z niecierpliwością, co pokaże Teatr „Wędrujące Lalki Pana Pezo” z Sankt Petersburga, i jakie będzie „Requiem dla Gospodyni” w wykonaniu sceny polnej Fundacji Kresy 2000 w Nadrzeczu. Na razie moje kulturalne gusta zaspokoili swoimi wierszami Piotr Linek i młodzi piosenkarze z warszawskiego Studia Piosenki, nieodżałowanego Jana Machulskiego.

Następnego dnia znów jestem w Zamościu, bo tylko tam mogę obejrzeć „Historię Roja” - film polski, który oficjalnie nie istnieje, bowiem agendy naszego ministerstwa od kultury bawią się w cenzora. Film brutalnie i realistycznie ukazuje podwaliny budowania tzw. władzy ludowej w powojennym PRL-u oraz dramaty żołnierzy zbrojnego podziemia. Wstęp na film zrefundowali prawicowi sponsorzy, sala była pełna, a my w wolnym kraju mamy drugi obieg kulturalny.

Panie premierze, znalazłem odpowiedź na pytanie „jak żyć?” Proszę odpowiadać: szybko i kulturalnie! I za własne pieniądze!

Henryk Radej

Smażalnia

MODENA

zaprasza na:

- rybę
- kurczaka z różną
- kiełbasę na gorąco
- frytki
- napoje i lody

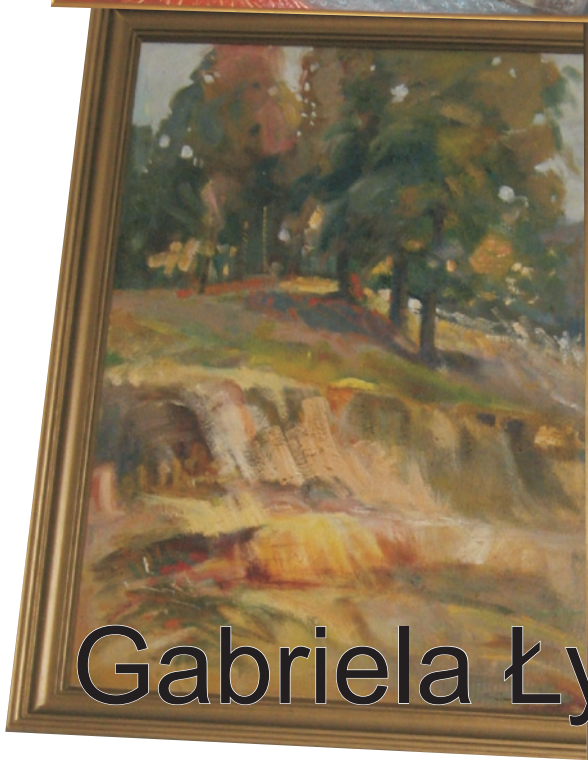
wkrótce również dostawa do biur i domów
zamówienia przez naszą stronę WWW lub telefon

poniedziałek-piątek	9 - 18
sobota	10 - 17
niedziela	14 - 17

ul. Nieczaja 10 (Zawieprze), Krasnystaw

tel: 881422 778

www.modena.kstaw.pl



Gabriela Łyko



Gabriela Łyko

Urodzona w Żółkiewce. Studia na Wydziale Artystycznym UMCS w Lublinie. Dyplom w pracowni prof. Mieczysława Hermana, pod kierunkiem adiunkta Walentego Wróblewskiego w 2000 r. Twórczość w dziedzinie malarstwa. Autorka wielu wystaw indywidualnych i zbiorowych w kraju, m.in. Lublin, Chełm, Kazimierz Ząbkowicki, Barlevice, Pasłęk, Sztum, Pleszew, Nadrzeczce, Zamość, Warszawa, i za granicą: Włochy, Francja, Niemcy. Udział w międzynarodowych plenerach malarskich, akcjach charytatywnych i konkursach. Prace w zbiorach w kraju i za granicą.

galeria jednego obrazu



fot. Agnieszka Szykuła-Żygawska